

Andrzej Daniluk, Grzegorz Daniluk, Stanisław Szymański

Fronolów, Mierzvice



okolice





Andrzej Daniluk, Grzegorz Daniluk, Stanisław Szymański

Fronków, Mierzvice

I

okolice

Zdjęcia: 15. 16. 17, 18 pochodzą ze zbioru Krystyny Rutkowskiej; 57 - ze zbioru Antoniego Radzikowskiego; 59 - ze zbioru Tadeusza Demianiuka; pozostałe ze zbioru autorów.

Autorzy składają serdeczne podziękowania za współpracę i krytyczne uwagi: Krystynie Rutkowskiej, Józefie Wojtulewicz, Tadeuszowi Demianiukowi, Andrzejowi Hackiewiczowi, Antoniemu Radzikowskiemu oraz Szymonowi Kowieskiemu.

A. Fronołów 1905 - 1948

(Trochę historii, trochę wspomnień)

I. Początki

Dziewiętnasty wiek nazywano wiekiem pary i elektryczności, rzeczywiście te dwa nośniki energii zaczynały odgrywać coraz większą rolę, w szczególności, w komunikacji. Europa i Ameryka pokrywały się siecią dróg żelaznych, po których przemieszczały się pociągi z parowozami, jak sama nazwa wskazuje napędzanymi parą wodną. Również Cesarstwo Rosyjskie próbowało bezkresne terytoria, pokryć siecią dróg żelaznych. W 1904 roku zaplanowano wybudowanie dodatkowej linii kolejowej łączącej Warszawę z Petersburgiem, ówczesną stolicą cesarstwa. Wytyczono trasę biegnącą w poprzek Podlasia przez Czeremchę i Hajnówkę w kierunku Wołkowyska.

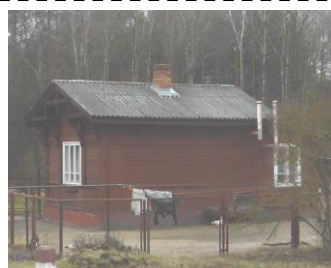
Był to fragment zamykający jedno z wielkich oczek sieci kolejowej pokrywającej europejską część cesarstwa. Po różnych przymiarkach i zabiegach miejscowych lobbystów, ostatecznie wytyczono taki przebieg linii kolejowej, jaki obecnie istnieje w tym rejonie. Stacją wyjściową był Siedlec, jak, wówczas nazywano Siedlce. Dalej zaplanowano stacje: w Primordach (to znaczy przy Mordach), w Niemojkach, w Platerowie, w Mierzwicach (razjezd Fronołowo nazwa późniejsza), w Siemiatyczach (nazwa późniejsza), w Nurcu, w Czeremsze (nazwa późniejsza), w Hajnówce. Do budowy przystąpiono w następnym roku. Próbowano ominąć Puszcę Białowieską. Ostatecznie została przecięta linią biegnącą w poprzek północnej odnogi zwanej Puszcą Ładzką.

Nad Bugiem tory wytyczono w poprzek majoratu rozciągającego się od Mierzwic do Bużki, jako części większej jednostki, której centrum znajdowało się w Konstancyńowie. Częścią nadbużańską prawdopodobnie zarządzał, jakiś carski oficer za pośrednictwem dzierżawców. Niewielki dworek istniał w Mierzwicach, usytuowany, jakieś dwieście metrów od kaplicy, w kierunku północno-wschodnim. Z końca dziewiętnastego wieku zachowała się dawna kuchnia dworska, a jeszcze po wojnie widoczne były fundamenty po dworku z fragmentem piwnicy. Na miejscu obecnej świetlicy stał czworak, a po drugiej stronie drogi drugi. Oba kryte słomą, zamieszkałe przez osiem rodzin fernali pracujących w majątku.

Budowa ruszyła w 1905 roku. Nasypy i wykopy wykonywano ręcznie przy wspomoczeniu zaprzęgów konnych. Przygotowywano je, jako podłoże pod linię dwutorową. Po obu stronach nasypu powstawały wyrobiska po kruszywie. Szczególnie dobrze je widać w pobliżu rzeki, ponieważ tutaj nasypy są bardzo wysokie. W tymże roku rozpoczęto budowę mostu na rzece Bug. Most miał być jedno-przelotowy, ale filary przygotowywano pod dwa przeloty. Podkłady kolejowe wykonywano z sosny, którą pozyskiwano w pobliskich lasach. W tym

celu został wycięty starodrzew. Nie wiemy, jak drewno sezonowano i nasycano środkami grzybobójczymi i przeciwnilnymi. Być może pozyskiwano dziegieć w smolarniach. Jedna była usytuowana na końcu Mierzwic Starych. Potem zręby zostały zalesione. Powstał rozległy zagajnik na południowy wschód i południe od obecnego Fronołowa. Prawdopodobnie sadzenie lasu nadzorował gajowy Paweł Sugiera zamieszkały w gajówce posadowionej na obrzeżach Nowych Mierzwic przy drodze, aktualnie, prowadzącej do Fronołowa i Bużki. Starsi wczasowicze korzystający z uroków nadbużańskich pamiętają grzybne lasy, które nazywano po prostu „zagajnikiem”. To wspomnienie po dawnej obfitości.

Według różnych źródeł budową mostu i fragmentu torów kierował carski inżynier Fronołow. Musiał być solidnie zasłużony, gdyż jego nazwisko posłużyło carskim urzędnikom do nadania nazwy przystankowi. Najprawdopodobniej położył on duże zasługi przy powstaniu przeprawy przez Bug, więc władze carskie uznały, iż może być dobrym patronem tego miejsca. Stacja leżała na terenie leśnym należącym do ówczesnych lasów państwowych przynależnych cesarstwu. Od terenów zamieszkałych dzieliło kilka kilometrów. Wsie małe i niepozorne. Chyba temu wydarzeniu nie nadawano zbyt wielkiego rozgłosu. Po prostu w pewnym momencie w dokumentacji pojawił się „Razjezd Fronołow”, czyli Rozjazd Fronołowa, twórcy i wykonawcy projektu. Nawet nie stacja, którejs tam klasy, tylko rozjazd. Tutaj kończyła się linia dwutorowa. Żaden z torów na szlaku nie mógł zakończyć się ślepo. Przez rzekę prowadziła jedna nitka torów. Po drugiej stronie mostu była już stacja czwartej kategorii, jako zaplecze leżącego w odległości siedmiu kilometrów miasteczka Siemiatycze. Dalej ponownie linia stawała się dwutorowa. Też o nazwie zdecydował, jakiś urzędnik, ani Boratyniec, na którego gruntach ją zbudowano, ani pobliskie Szerszenie nie zasłużyły, aby obdarzyć swoją nazwą stację. Nikt nie przewidział, czym może stać się Fronołów dla wielu mieszkańców Siedlec czy też Warszawy. Doceniono później. Nazwę spolszczono na Fronołów, nawet ładnie brzmiała, nikt nie znał jej pierwowzoru i nikomu to nie przeszkadzało. Goście ukochali fragment Nadbużańskiego Podlasia, jako Fronołów, przywiązali się do niego i już chyba, tak, to zostanie. Największy sentyment budzą przeżycia z dzieciństwa, młodości, a i w wieku dojrzałym też sentymenty pozostają, bo Dolina Bugu jest przepiękna, niepowtarzalna, a w niej taką małą perelką jest Fronołów, który ma stację, chociaż nie ma formalnie miejscowości.



Fot.1. Dróżnikówka –
widok współczesny

Wzdłuż torów, co kilka kilometrów, wybudowano z drewna, małe domki, w ciekawym stylu. Nazwano je budkami dróżników, czyli ludzi odpowiedzialnych za stan torów. W kolejarskim, oficjalnym żargonie nazywano je dróżnikówkami. Dróżnicy mieli czuwać z zewnątrz nad bezpiecznym podróżowaniem. Na

drugim przejeździe mieszkała i pracowała rodzina Wacława Hackiewicza z żoną Heleną i dziećmi: Kazikiem, Marysią, Józikiem, Rózią i Antosiem. W wolnej Polsce

mieszkali obok mojej rodziny w Mierzwicach. Już są po tamtej stronie. I jeszcze jedno wspomnienie, to Rutkowscy: Jan, Maria, Czesław, Janka i Wacek. Mieszkali w pierwszej budce, tuż za mostem, też rodzina dróżnika. To nasza rodzina. Też już ich nie ma. Zostały tylko mgliste wspomnienia. To ludzie, z którymi, w jakiś sposób się zetknęliśmy...

W kilka lat później, prawdopodobnie w 1909 roku, we Fronołowie wybudowano drewniany budynek dworca kolejowego. Podobno miał pięć kominów i piękną drewnianą architekturę. Zlokalizowany, jakieś trzydzieści metrów na zachód od przejazdu aktualnie prowadzącego do państwa Karwackich mieszkających tuż za torami. Prawdopodobnie budynek był spoziomowany z niskim peronem. Z dworca schodziło się wprost na peron. Fronołów został prawdziwą stacją kolejową i to chyba właściwe jego narodziny. W tej chwili nie sposób zidentyfikować dokładnie miejsce, w którym stał dworzec. Na powierzchni ziemi nie zachowały się żadne materialne ślady wskazujące na jego istnienie. Żył krótko. Tylko trzydzieści lat.



Fot.2. Może tak wyglądał dworzec? Ten budynek też ma pięć kominów i pochodzi z czasów carskich

II. Wojna

Początek roku 1914 zaczął napawać jednych niepokojem, a innych nadzieją. Coś się w Europie zaczynało dziać? Car zmieniał doktrynę wojenną. Chyba zamierzał bronić zachodnich peryferii cesarstwa, a może doszedł do wniosku, że warto ruszyć „na Zapad”, więc na Bugu przydałaby się przeprawa bardziej ofensywna. Wkrótce w Petersburgu zapadła decyzja, aby zbudować drugą nitkę przeprawy przez Bug, ważną dla Podlasia i dla Fronołowa. Najważniejsze dla stacji - nie zamierzano jej zlikwidować. Po „ukazie tolerancyjnym” cara Mikołaja Drugiego sytuacja na Podlasiu i w Chełmszczyźnie wyraźnie złagodniała. Parafie katolickie przeżywały niesamowity rozwój. Na Podlasiu przybywało w błyskawicznym tempie Polaków i rzymskich katolików. Niektóre parafie katolickie potroiły liczbę wiernych i to w ciągu kilku miesięcy. Okazało się, że dawni unicy przymuszeni do przejścia na prawosławie, nie tylko porzucili wymuszoną wiarę, ale zadeklarowali przynależność do Polski. Język polski zaczął odradzać się, bo pojawiły się szkoły polskie, zaprzestano agresywnej rusyfikacji. Prawie wszystkie wsie po lewej stronie Bugu przeszły na katolicyzm. W Mierzwicach została tylko jedna rodzina prawosławna, w Buźce wszyscy zostali katolikami, a więc zadeklarowali przynależność do narodu polskiego. Tak też było w Hołowczycach, Konstantynowie, Leśnej Podlaskiej i w wielu innych wsiach, i miasteczkach lewobrzeżnego Podlasia.

Tymczasem na Bugu rozpoczęły się prace przy budowie drugiej nitki mostu. Teraz prace poszły sprawniej, ponieważ koleją można dowieźć potrzebne

materiały. Most powstawał w błyskawicznym tempie. W tym wszystkim bardzo ważne okazały się filary, które, podczas pierwszej budowy zostały już przygotowane, pod ewentualną budowę drugiej nitki. Teraz je wykorzystano. Stalowe elementy łączono metodą nitowania.

Prawdopodobnie pracami kierował inżynier Antoni Płaczkowski. Z imienia i nazwiska wynikało, że Polak. Zlikwidowano rozjazdy i drugim torem połączono przeprawę przez Bug. Teraz pociągi mogły chodzić w obie strony. Poprzednio zbudowano most nitowany, teraz zastosowano podobną technologię. Długość przęsła zachowano taką, jaką miała pierwszą nitka, tylko wysokość przęsła została zmniejszona. Trochę to było dziwacznie i nie wyglądało najciekawiej,



Fot.3. Most dwukierunkowy – widok współczesny

najładniej. Nikt się tym, nie przejmował, bo państwa zamieszkujące Europę wzięły się, za tak zwane łby, ponieważ wybuchła wojna. Najprawdopodobniej most kończono już, podczas działań wojennych. Jeszcze lotnictwa nie używano i w 1914 roku na Podlasiu było spokojnie. Fronty przewalały się na północy i południu. Na Podlasiu wojna przysłała w następnym roku. Mocno ucierpiały Mierzvice Stare, gdzie, podczas działań wojennych spaliło się kilkanaście domów. Trochę ucierpiał most, ale został tylko uszkodzony. Front wkrótce przeniósł się za Bug i we Fronołowie zaczęli

rządzić Niemcy. Od ręki zabrali się do wyciągania, jak największych korzyści z zagrabionych terenów. Bogactwem tej ziemi były lasy. W pobliżu Fronołowa zostały wycięte na potrzeby budowanej linii kolejowej, Trzeba było sięgnąć po starodrzew, który rósł w tak zwanym Wielkim Lesie po południowej i południowo – wschodniej stronie Mierzwic Starych. Prawdopodobnie, wtedy została wycięta część lasu, którą miejscowi nazywali Płuszczą. Na Trojanie rosły piękne lasy dębowe. Był i starodrzew sosnowy. Stąd pnie splawiano Bugiem w okolicy mostu we Fronołowie. W dwu miejscach utworzono stanowiska rozbierania tratów. Jedno w pobliżu mostu, a drugie na przedłużeniu drogi obecnie prowadzącej nad Bug, a biegnącej obok torów kolejowych w pobliżu stacji Fronołów. Rozkopano piaszczysty wał i przez wykop poprowadzono tory kolejki wąskotorowej o rozstawie szyn 75 centymetrów do samej rzeki, którą transportowano kłocce do tartaku. Druga, taka sama, linia kolejki biegła wzdłuż torów kolejowych do bindugi tuż przy moście. Odległość między jedną, a drugą bindugą wynosiła, jakieś czterysta, pięćset metrów. Wagoniki ciągała parowa lokomotywka. Fronołów okazał się doskonałym miejscem, gdzie można dokonać obróbki kłoców i następnie tak przetworzone drewno załadować na wagony i wywieźć do cesarstwa Wilusia. Prawdopodobnie już w 1915 roku we Fronołowie zaczęto budować tartak i urządzenia pomocnicze w postaci kolejki leśnej przeznaczonej do transportu pni drzewnych z Wielkiego Lasu na teren tartaku. Ślady po nasypie kolejki można znaleźć w różnych miejscach w samym Fronołowie, jak i w pobliskich lasach.

Nasypy i torowiska, jak, i sam tartak prawdopodobnie budowali jeńcy rosyjscy, którzy byli przetrzymywani we Fronołowie. Do wojaczki raczej się nie rwali. Prawdopodobnie jeszcze w jesieni 1915 roku dla potrzeb tartaku w odległości, jakieś czterystu metrów od przystanku wybudowano budynek, w którym mieściło się biuro (komando) tartaku, a może i jakieś mieszkania zarządców. Wydaje mi się, że był to pierwszy, reprezentacyjny budynek, świeżo urodzonej miejscowości, pod nazwą Fronolów. Budynek miał charakter baraku, chociaż uznać go można za nietypowy. Posadowiono go na betonowej podmurówce, grunt pod budynkiem również pokryto betonem. Belki tworzące podwaliny pochodziły z tutejszego lasu. Część nośna konstrukcji składała się z kanciaków tworzących kratownicę, która została obita ćwierćcalówkami. Przestrzeń między zewnętrzną, a wewnętrzną częścią ściany wypełniono trocinami na grubość kanciaków tworzących szkielet. Trzy zewnętrzne ściany otynkowano i całość pomalowano na biało. Od strony południowej zbudowano sporą werandę, oddzieloną od zewnątrz balustradą, stąd wchodziło się do wielkiej kuchni ulokowanej centralnie. Od tej kuchni na prawo znalazł się jeden pokój i na lewo trzy pokoje. Centralne wejście, w postaci stylowego ganku otoczonego kolumnkami znajdowało się od strony Bugu. Wejście gościnne prowadziło jeszcze do trzech pokoi położonych z lewej i prawej strony sionki, która oddzielała wnętrze od ganka. Szybko budynek został nobilitowany i ochrzczoney „białym dworkiem”, chociaż został wybudowany z materiałów bardzo proletariackich. Zaszczyną nazwę nadano mu w okresie międzywojennym. W pobliżu tartaku wybudowano kilka baraków, które zamieszkiwali jeńcy i ich strażnicy.

Kolejką wąskotorowa przewożono kłocę z Wielkiego Lasu, a być może również z Płoszczy, ponieważ przebiegała blisko. Wagoniki ciągały konie. Tartak usytuowany był w odległości siedemdziesięciu metrów na północ od „białego dworku”. Trak napędzano maszyną parową. Ze stacji do tartaku poprowadzono bocznice w dość ciekawy sposób. Różnica poziomów między stacją, a tartakiem wynosiła kilka metrów. Tor ułożono na pewnego rodzaju pochylni o niewielkim nachyleniu. Torowisko składało się z normalnych, standardowych szyn. Tarcicę ładowano w tartaku na wagony, które były wciągane na poziom normalnego toru specjalną lokomotywką. Pociąg formowany był już w rejonie stacji. W tartaku również zainstalowano maszynę do wyrobu waty drzewnej, używanej w transporcie materiałów wybuchowych.

Paliwem wykorzystywanym do wytwarzania pary technicznej, były trociny. Tartak prawdopodobnie spłonął w 1918 podpalony przez rosyjskich jeńców, inna wersja, to podpalenie dwa lata później. Podobno są dowody, że pracował jeszcze 1923 roku, a spaliła go konkurencja. W dwudziestym roku tu nie było wielkich walk, tylko małe potyczki. Nawała bolszewicka ominęła tę część Podlasia. Nikt nie wspominał o poważniejszych walkach w okolicy. W lesie na południe od Mierzwic Starych zbudowano cmentarzyk, na którym pochowano wszystkich zabitych, jakich znaleziono nad Bugiem w kilku innych miejscach, to

były ciała zabitych ułanów. Spod Warszawy bolszewicy też uciekali innymi drogami, a w szczególności północną, w kierunku Prus Wschodnich i Wilna. W



Fot.4. Leśny cmentarz wojenny z 1920 roku

czasie wojny w czerwcu i lipcu ewakuowano wraz z rodzinami wszystkich urzędników carskich, w tym również pracowników kolei, nawet szeregowych. Wspomniane wcześniej rodziny znalazły się w Moskwie. I tam je zastała rewolucja. Opowiadano historie mrozące krew w żyłach. Moskwa była zasobnym miastem, gdzie nawet biedakom żyło się nie najgorzej. Nikt nie cierpiał głodu, a żywności było w bród i ceny zróżnicowane. Czerstwy chleb sprzedawano za pół ceny, podobnie było z innym

pieczywem, a nawet wędliny niesprzedane jednego dania następnego sprzedawano po dużo niższej cenie. Z tym, że wędliny nie straciły swoich świeżości. Po przejściu władzy przez bolszewików, w ciągu jednej nocy znikły towary z półek i zaczął się parszywy, i podstępny głód. Rutkowscy powrócili do Polski po zakończeniu Wojny Polsko – Bolszewickiej, a Hackiewicz podobno tuż po zakończeniu działań wojennych Pierwszej Wojny Światowej. Te relacje są sprzeczne i zawsze pochodzą z trzecich ust, ponieważ nikt ze świadków tamtych wydarzeń już nie żyje.

Do Fronołowa Polska wróciła dwunastego listopada 1918 roku, kiedy na czele oddziału Polskiej Organizacji Wojskowej Ignacy Humnicki, właściciel majątku w Ruskowie, rozbroił niemiecką załogę. tartaku i ochraniającą most na Bugu. Być może, wtedy jeńcy rosyjscy odzyskali wolność. Warto zwrócić uwagę, że ostoją polskości prawie zawsze bywali ziemianie.

III. Między wojnami

Po 123-ech latach niebytu rodziła się wymarzona Niepodległa. Jeszcze należało tylko odeprzeć śmiertelną nawałę sunąca ze wschodu. To najazd bolszewickiej barbarii. Z Ukraińcami też łatwo nie było i Czesi dobierali się nam do skóry. Na zachodzie wybuchły powstania przeciwko Niemcom: śląskie i wielkopolskie. Śląskie w zasadzie przegrane, wielkopolskie wygrane. Plebiscyt na Mazurach i na Śląsku dawał niezbyt korzystne rozwiązania dla Polski. Nadzorują go Francuzi i Anglicy. Niemcom sprzyjają Anglicy, Polakom bardziej Francuzi. Od końca dwudziestego pierwszego roku można było zastanawiać się nad zbudowaniem Niepodległej. Co prawda różne grupki polityczne żarły się w sejmie i poza sejmem. Jeszcze była śmierć pierwszego prezydenta Rzeczypospolitej - profesora Gabriela Narutowicza. Niestety, zabił go Polak. Zawsze lubiliśmy sobie wzajemnie podstawiać nogi. Trzeba było chwycić za mordę rozhisteryzowane towarzystwo zagrażające bytowi młodego państwa i „rozbuchaną demokrację”. To było trochę później. Carską własność przejęło państwo polskie i tak włości ciągnące się wzdłuż koryta Bugu od Mierzwic po

Bużkę stały się jego własnością, Uchwalona przez sejm w 1921 roku reforma rolna nie została wdrożona w życie od ręki. Dopiero zaczęto ją wdrażać od 25 roku w zmienionej formie. Za przekazywaną ziemię należało płacić. Naczelnik Państwa, Józef Piłsudski uważał, że majątki będące w gestii państwa powinny być rozparcelowane w pierwszej kolejności, a ziemia oddana we władanie byłych żołnierzy walczących o niepodległość. Nadbużańskie włości poddano pod parcelację. Ostatecznie ziemie parcelowanych majątków oddawano nowym użytkownikom za pieniądze. W latach 1926 i 1927 powstawały Kolonie Mierzvice sięgające od Mierzwic Starych po Bużkę. We Fronołowie wydzielono działkę pod działalność statutową Polskiego Czerwonego Krzyża. Z innych źródeł wynika, że działka została wydzierzawiona od Lasów Państwowych. Pozostałe ziemie podzielono na kilkanaście parceli. Z tego trzy powstały za torami kolejowymi, które otrzymali Karwaccy, Wereszczakowie i Marciniukowie. Po drugiej stronie torów parcele uzyskali Stanisław i Jan Bogdaniukowie, dawni mieszkańcy Bużki, dalej Szoplikowie, Chalimoniukowie, Jeżewscy oraz Maksymiukowie. Las, później nazwany „Obozem” pozostał państwowy. Za lasem, w kierunku Mierzwic powstało jeszcze pięć gospodarstw położonych już w pobliżu Mierzwic Starych. Na końcu pozostawiono kilkunastohektarową resztówkę, którą kupił ktoś z Sarnak. Sporą działkę przylegającą od południa i zachodu do terenów PCK kupił Piotr Hackiewicz, mieszkaniec Mierzwic Starych. Później zbudował na niej stodołę. W ciągu kilku lat po parcelacji zbudowano domy i budynki gospodarcze, które w różnych postaciach przetrwały do dzisiaj.

Tereny we Fronołowie, położone nad dzikim i pięknym Bugiem, w otoczeniu lasów sosnowych porastających miejscowe, piaszczyste nieużytki, okazały się bardzo atrakcyjne dla mieszkańców Siedlec, a nawet Warszawy. Kolej i stacja dawały wygodne połączenia komunikacyjne z tymi miastami. Walory klimatyczne miejsca też okazały się bardzo atrakcyjne. W owym czasie okolice na wschód, północ i północny wschód od stacji we Fronołowie były bezleśne. Jedyne niewielki lasek oddzielał budowaną posesję Bogdaniuków od mostu, a częściowo i od rzeki. Młode zagajniki porastały spore, lekko sfałdowane tereny na południe i południowy wschód od „białego dworku”. Władze PCK dostrzegły urodę Fronołowa i jego walory klimatyczne, i energicznie zabrały się za zagospodarowywanie zrzędzanych gruntów. W szybkim tempie powstawały budynki. Zarząd ulokował się w „białym dworku”, któremu udało się przetrwać wojnę światową i bolszewicką.



Fot.5. Przed 70-ciu laty był tu warzywnik państwa Szymańskich

Jak opowiadał Staszek Szymański, jego rodzice znaleźli tu pracę i zostali jednymi z pierwszych, stałych mieszkańców Fronołowa, w Niepodległej Polsce. Władysław Szymański, ojciec Stanisława, wydzierzawił siedem hektarów od

Ośrodku PCK, które zaczął uprawiać z żoną Rozalią. Rodzice Staszka pracowali na wydzierzawionych gruntach, ale również spełniali różne posługi w Ośrodku, Dom wynajęli z zasobów Ośrodku, a budynki gospodarcze wybudowali sposobem gospodarczym. Była, to stodoła i chlewy, w których trzymali zwierzęta. Grunty tu były niskiej klasy i plony nie udawały się nadzwyczajnie. Tuż za nasypem już nieużywanej kolejki leśnej założono spory warzywnik, dzięki splachetkowi urodzajnej i wilgotnej gleby. Jeden z autorów tego wspomnienia - reportażu przypomina wspaniałe truskawki, jakie uprawiała ciocia Rózia, jak ją nazywał. Jadł je znacznie później, bo już w latach czterdziestych, w czasie drugiej wojny światowej. Warzywnik powstał w drugiej połowie lat dwudziestych.

Latem na terenie Ośrodku przebywała młodzież i dzieci z Warszawy, i Siedlec. Często, to były dzieci z sierocińców i zagrożone gruźlicą. Uznano, że piaszczyste grunty, sosnowe lasy i dość suchy klimat bardzo pomagał przewyciężyć dzieciom chorobę. Leśnicy też chętnie przysyłali tu swoje dzieci. Podobno, bywał tu nawet doktor Korczak ze swymi wychowankami. Na użytek kolonistów wybudowano dziewiętnaście budynków o różnym przeznaczeniu. Z opowiadań rodziców Staszek zapamiętał: kuchnię, stołówkę, pensjonat dla dziewcząt pod wdzięczną nazwą „Grażyna”, podobny dla chłopców krył się pod mniej barwną nazwą „Hufiec”. Była również świetlica, poczta, ambulans, biblioteka bogato zaopatrzona w książki. W innych budynkach mieściły się również miejsca czasowe dla dorosłych. Część pomieszczeń „białego dworku” zajmowali ludzie z tak zwanego „haj lajfu”. Prawdopodobnie bywała tu siostra ministra Becka, z dziećmi, sędzia sądu wojewódzkiego i wielu innych, ważnych osobistości. Od 36 roku istniała już kaplica, w której odprawiano nabożeństwa. Kaplica obsługiwana była przez kapelanów przebywających w Ośrodku lub przez księży z sarnackiej parafii. Harcerze zamieszkiwali często w namiotach, które rozstawiano na obszernym placu. W lecie było tu gwaro i wesoło.. Między stacją kolejową, a ośrodkiem kursował konny tramwaj po szynach, które pozostały po zniszczonym tartaku. Ten tramwaj jeździł również nad sam Bug, drogą wytyczoną w pobliżu zabudowań państwa Bogdaniuków. Tory kończyły się na dawnej bindudze, tuż przy rzece. Bug tutaj był bardzo płytki. Przez czystą wodę przeświecało piaszczyste dno. Obok pyszniła się plaża z pięknym, żółtym piaskiem. Tramwaj składał się z jednego, zadaszonego wagonu, ale bez ścian, tylko z odpowiednią balustradą. Jak twierdził Staszek: wagon liczył sześćdziesiąt siedzących miejsc i był obsługiwany przez dwóch etatowych pracowników: woźnicy i hamulcowego. Woźnicą był młody mieszkaniec Mierzwic Starych - Wacek Karwacki. Niestety Staszek nie zapamiętał, kto był pomocnikiem i spełniał rolę hamulcowego. Tor kolejki zaczynał się nad Bugiem, a kończył przy stacji Fronołów. Nie było pętli. Na przystanku końcowym przepręgano konia i tramwaj mógł jechać z powrotem. Okazało się, że funkcja hamulcowego należała również do ważnych. Hamulce wrzucało się przy podjeździe do stacji i

w rejonie doliny Bugu. Za wałem był spory spadek. Tramwaj konny funkcjonował do końca sierpnia 1939 roku.

Obozy harcerskie, już takie z prawdziwego zdarzenia, organizowano w pobliżu gospodarstwa Maksymiuków w lesie, który został, potem nazwany „obozem”. Na placu alarmowym stanął krzyż, przy którym kapelani odprawiali nabożeństwa. Krzyż stoi do dzisiaj i można go oglądać przy drodze do Mierzwic, na skraju lasu, po lewej stronie. Teraz na skrzyżowaniu drogi prowadzącej do Mierzwic i do gospodarstwa państwa Sawczuków, spadkobierców Maksymiuków, którzy nie mieli potomków płci męskiej, i nazwisko rodowe się nie zachowało. Prawdopodobnie na potrzeby obozu leśnego i Ośrodka we Fronołowie pracowała piekarnia zlokalizowana w posesji Kordaczuków (drugie zabudowania za zakrętem drogi prowadzącej do mostu).



Fot.6. Krzyż z placu alarmowego

Po wakacjach wiele ruchomych rzeczy ośrodka magazynowano w wielkim namiocie wykonanym z bardzo wytrzymałego materiału. W okresie od jesieni do wiosny Władysław, ojciec Staszka pełnił funkcję dozorca. Pilnował Ośrodka i wykonywał razem z rodziną na jego terenie prace porządkowe.

W pamięci czteroletniego Stasia zachowała się historia z dzieciństwa. Bohaterem jej był kolega Staszka zamieszkujący w wakacje z mamą, jeden z pokoi „białego dworku”. Chłopcy bardzo sobie przypadli do gustu i często razem się bawili. Tymek był częstym gościem Szymańskich, bo ich domy stały blisko. Nie przeszkadzało, że Tymek należał do dobrze sytuowanej grupy warszawskich gości, a Staszek był synem stróża i szeregowego pracownika Ośrodka. Bardzo mu smakowały potrawy gotowane przez mamę Staszka - Różię. Trzeba przyznać, że gotowała wyśmienicie. Tymek docenił walory kuchni mamy Staszka i chętnie jadał jej obiady, które bardzo mu smakowały, czego nie można powiedzieć o bardziej wyszukany jedzeniu, serwowanym w kuchni Ośrodka. Chłopcy często bawili się w chowanego. Doskonałym miejscem zabawy był dom Szymańskich. W trakcie jednej z zabaw Tymek znalazł pod łóżkiem podsuszoną skórę chleba upieczonego przez mamę Staszka. Tymuś natychmiast przerwał zabawę i zabrał się za konsumowanie znalezionej skórki, którą uznał z najpyszniejszą potrawę, jaka mu się trafiła. Swoim zachowaniem wzbudził niesamowity zachwyty swojej mamy, bo synek uchodził za znanego w rodzinie niejadka.

IV. Znowu wojna

Opowiadał Staszek. *W trzydziestym dziewiątym roku już skończyłem pięć lat. Wiele rzeczy zaczynałem rozumieć. Miałem starsze rodzeństwo: dwunastoletnią siostrę Haneczkę i ośmioletniego brata Mariana. Rodzeństwo bardziej zdawało sprawę z rosnącego zagrożenia, niż ja. Byłem w rodzinie najmłodszy. Widziałem niepokój rodziców. Też, od jakiegoś czasu mówili o wojnie. Ośrodek opustoszał,*

Wczasowicze, harcerze i inni pensjonariusze opuszczali go w pośpiechu. Personel pracował nad zamknięciem działalności. Zapelniano magazyny, jak zwykle po zamknięciu sezonu. W wielkim namiocie gromadzono wszelkie ruchome rzeczy, które służyły wczasowiczom, podczas letniej kanikuly, Trzydziestego sierpnia został tylko personel, który ostatecznie zwijał jego działalność. Od tygodnia na moście stacjonuje wojsko, mają działka przeciwlotnicze. Na kolei wielki ruch. Pociągi jadą jeden za drugim. Na zachód pełne wojska i sprzętu. Na wschód najczęściej puste. Jeden pociąg jest w Platerowie, a drugi już w Siemiatyczach. We Fronołowie się nie zatrzymują. Dla nas, to wielka atrakcja. Widzimy pędzące pociągi, krótsze osobowe, ale i mnóstwo towarowych. Wojsko najczęściej jedzie towarowymi. Osobowymi cywile. Często do punktów zbornych. Rodzice z domu powynosili cenniejsze rzeczy i ukryli w pobliskim lesie. Rosło w nim wiele drzew liściastych i las miał podszycie, gęstwina. Żadnych schronów nie robiliśmy. Ogólny niepokój udzielił się nam wszystkim. Pierwszego września usłyszeliśmy straszne słowo - wojna. W domu mieliśmy aparat radiowy. Wtedy używano takich małych aparacików na kryształki. Radio było i w Ośrodku. Korzystało się ze słuchawek i potrzebna była długa antena rozpięta na tyczkach.

Trzeciego września przylatują samoloty, zrzucają bomby, tak bombardują most, aby go nie zniszczyć. Bomby spadają również w pobliżu torów kolejowych. Obrona mostu odpowiada ogniem. Podobno jeden samolot spada, We Fronołowie pali się drewniany budynek dworca. Straszno. Niemcy strzelają z samolotów do bezbronnych ludzi, nawet tych pracujących na polach. To zwykle polowania na bezbronnych. Ta wojna zaczyna być szczególnie straszna. Niemcy, to podobno bardzo kulturalny naród. Podobno? Teraz pokazują swoją kulturę. Ośrodka nie bombardują, ale ostrzeliwiają. Chyba zapalającymi pociskami, bo zapaliły się budynki gospodarcze moich rodziców - opowiadał Staszek – w czasie bombardowań skryliśmy się w młodniaku rosnącym kilkadziesiąt metrów od naszego domu leżeliśmy pod rozłożystym jałowcem mając nadzieję, że nas nikt nie zobaczy. Ojciec na widok palących się budynków gospodarczych pobiegł i wypuścił zwierzęta, które uciekły do lasu. Prawdopodobnie, w tym czasie, też spłonął tramwaj ukryty w wielkim namiocie Dom rodziców i kilka budynków Ośrodka ocalało. Ta wojna, to jednak straszna rzecz. Na szczęście nikt z moich bliskich nie został zabity, ani nawet ranny. Nie mamy schronu, zwierzęta poszły do lasu, a za zwierzętami my.

Nie wiem, kiedy żołnierze opuścili most, nie został wysadzony. Około dwudziestego września od wschodu nadciągnęli inni najeźdźcy, jeszcze bardziej brutalni i dzicy. Doszli do Mińska i się cofnęli. Po drodze grabili pobliskie dwory zabierając wszystko, co im wpadło w ręce. Więcej na ten temat pisał w pamiętnikach Bronisław Daniluk ojciec pierwszego autora. Pędzili też stada bydła. Zapomnieli, że zwierzęta muszą jeść i pić, sporo po drodze padało. Pod koniec września zajęli stanowiska za Bugiem - znowu opowiadał Staszek. Przez most przeszła grupa czerwonarmiejców, domagając się wydania broni od mego

ojca. Okazało się, że zza Bugu wcześniej, że dwa razy przejeżdżał konno tamtejszy łowca nie swoich rzeczy. Dobrze znał ośrodek PCK. Chyba chciał zabrać wielki namiot harcerski. Leżał zwinięty w rulon. Podczepił konia. Niestety rulon okazał się zbyt ciężki. Koń nie dał rady go pociągnąć. Zrobiony był z grubego brezentu. Zdenerwował się i pociął go nożem. Po prostu zniszczył. Nasłał, więc na ojca sowietów twierdząc, że ojciec posiada broń. Przyszli odebrać ją ojcu. „Jestem tylko cywilnym stróżem, nie posiadam żadnej broni” - tłumaczył się. Przez most przeprawiali się kilkakrotnie. W zasadzie majątek ruchomy Ośrodka został doszczętnie zniszczony, podczas bombardowań. Nie było ubrań, zegarków i żywności. Zapewne, to by zrabowali.

W październiku pojawili się Niemcy. Objechali okolicę mostu, obejrżeli budynki Ośrodka i się wynieśli. Następnym przyjeździe, to już listopad. Zajęli „biały dworek” postawili wartowników i zrobili wachę. To już byli pogranicznicy, nazywaliśmy ich „grenszucami”. Na moście stanęły straż, a wzdłuż Bugu rozpoczęły służbę patrole. Sojusznicy zza Bugu przestali odwiedzać Fronołów. Zlikwidowano przystanek we Fronołowie, w późniejszym okresie zlikwidowano bocznice, a szyny wywieziono do Rajchu. Na wiosnę 1940 roku z Sarnak przypędzili grupę kilkudziesięciu Żydów. Rodzicom kazali się wynosić z domu, w którym mieszkali. Zajęli jeden z ocalałych domów Ośrodka stojący poza strefą budowy. Tymczasem Niemcy w części terenu Ośrodka wytyczyli obszar, który zaczęto fortyfikować. Żydzi usypali wały, zrobili zasieki z drutu kolczastego. Tu miała być stacja. Wykorzystano budynki Ośrodka. Żydów przypędzali rano, a z powrotem odprowadzali ich wieczorem. Każdego dnia biedacy musieli przejść ze dwadzieścia kilometrów. Niewolników nie żywili. Ganiano ich tak przez kilka tygodni. Nadludzie obchodzili się z nimi znacznie gorzej, niż ze zwierzętami. Próbowaliśmy im podrzucać coś do jedzenia. Te czynności były surowo zabronione. Trudno wyobrazić, że można w taki sposób postępować z drugim człowiekiem. Zdziczenie sięgało zenitu. Zapamiętałem szczególnie jednego Niemca. Nadzorował czyszczenie dołu kloaczego. Oczywiście jeden Żyd musiał wejść do kloaki i napełniać rękami kubły, które wyciągali jego pobratymcy. Niemiec robił wszystko, aby go w łajnie zanurzyć z głową. Własną nogą wpychał głowę nieszczęśnika w głąb śmierdzącej brei. Widziałem to na własne oczy. Wtedy miałem już sześć lat. Byłem blondynem o niebieskich oczach, więc Niemcy mnie tolerowali. Po wykończeniu stacji Niemcy kazali się przenieść Szymbańskim do „białego dworku”. Sami zajęli budynki wewnątrz obwałowań zabezpieczone zasiekami. W tymże roku Żydzi, pod nadzorem niemieckich nadludzi, budowali zasieki z drutu kolczastego na brzegu Bugu, który stanowił granicę między dwoma największymi wrogami Polaków, chwilowo zaprzyjaźnionymi. Ruch przez most nasilił się. W obie strony szły transporty towarowe, na wschód dobra przemysłowe, a na zachód zboże i surowce. W sowietach panował głód, ale zboże wywozili do Rzeszy. Ani u jednych, ani u drugich człowiek się nie liczył, sowietci nawet swoich nie hołubili, trochę inaczej było u Niemców. Nordycy byli w cenie.

Niemcy przygotowywali się do wojny z sowietami. Za Bugiem też trwały bardzo intensywne prace, to powstawała linia bunkrów, zwana linią Mołotowa. Wymiana handlowa kwitła, pogranicznicy spotykali się na moście, częstowali się papierosami, przyjaźń miała się dobrze. 21 czerwca w nocy most przejechał pociąg pancerny. Sowietci go wpuścili. Zatrzymał się na stacji Siemiatycze. O godzinie trzeciej dwudziestego drugiego rozpoczęła się potężna nawała ogniowa. Pociąg ostrzeliwał linię bunkrów od tyłu. Do niektórych nawet nie zdążyły wejść załogi. Bractwo wkrótce wzięło nogi za pas i zaczęło uciekać w samych gaciach. Bunkry nie przeszkodziły Niemcom w gwałtownym ataku i szybkim ruchu na wschód.

W kilka tygodni później we Fronołowie nastąpiły duże zmiany. Niemcy likwidowali obóz, budynki rozebrali i wywieźli do Kornicy, we Fronołowie został „biały dworek” i dwa czy trzy budynki gospodarcze. Stodołę Szymańskich stojącą za drutami pozostawiono. Wartownicy pilnujący mostu przenieśli się do koszar wcześniej zajmowanych przez Polaków, a potem przez sowietów po drugiej stronie Bugu. We Fronołowie Niemców nie było. Czasem, zaglądały patrole pilnujące torów. Specjalnie nie dokuczali.

W owym czasie byliśmy częstymi gośćmi Szymańskich - wspominałem dawne dzieje. Mój ojciec pracował na roli, ale nie miał konia, podstawowego „narzędzia” pracy rolnika. Często korzystał ze sprzężaju Władka Szymańskiego, cioteczno brata mojej matki. Byliśmy spokrewnieni. Do lasu chodziliśmy na grzyby, też często wstępowaliśmy do Fronołowa. W międzyczasie zniknęły druty, pozostały tylko wały i aleja topolowa pamiętająca jeszcze czasy wielkiej prosperity, kiedy we Fronołowie rządził PCK. Fronołów na kilka lat zapadł w swoisty letarg. Nic tu się nie działo, dopiero na jesieni 43 roku okupanci zrzędzili wycinkę lasu, tuż przy moście kolejowym. Partyzanci dawali się już, wtedy solidnie Niemcom we znaki. Na wiosnę w 44 roku Podlasie stało się tarczą dla pocisków V-2 wystrzeliwanych z okolic Rzeszowa. Jeden ugrzązł w nadbużańskich błotach, kilka kilometrów na północny zachód od Fronołowa. Polacy przejęli niewypał i najważniejsze części wymontowali. i przestali Anglikom.

Na wschodzie Niemcy otrzymywali potężne bity od dawnego sojusznika, a teraz najbardziej zagorzałego wroga. Pod koniec czerwca przez most kolejowy na Bugu zaczęły wycofywać się zmotoryzowane jednostki armii niemieckiej. Węgrzy we Fronołowie i dalej w kierunku Mierzwic budowali prowizoryczne drogi z drągowiny, gałęzi, i zbóż na najbardziej piaszczystych odcinkach. Okolice Fronołowa były piaszczyste. Przez kilka dni szły czołgi, działa samobieżne i ciągnięte za samochodami, samochody. Cała potęga pancerna Niemiec szła przez most na Bugu, przez Fronołów do Mierzwic i dalej na Sarnaki. Stałem wiele godzin przed swoim domem i przyglądałem się, jak to wszystko jechało. Potem front się zatrzymał na Bugu, stał kilka dni, a może kilkanaście. Siedzieliśmy w schronie. Przez Bug strzelała artyleria sowiecka, a z naszej strony niemiecka. Szymańscy uciekli z Fronołowa i skryli się w schronie u

swoich kuzynów na Kolonii Mierzwice. Pod koniec lipca Niemcy wysadzili most na Bugu łącznie z filarami, zwinęli manatki i popędzili na zachód. We Fronołowie zostały opuszczone magazyny czy tylko okopy pełne różnych dóbr przydatnych cywilom. Przede wszystkim sorty mundurowe. Wysokiej jakości bele zielonego sukna, przyborniki i wiele innych pożytecznych rzeczy. Mieszkańcy Fronołowa i okolic wykorzystując ciszę po ucieczce Niemców, i przed wejściem Sowietów zgromadzili sporo zapasów w sobie tylko znanych miejscach. Akurat ci ostatni ominęli Fronołów przepływając się przez Bug w okolicach Mielnika. W pościgu za zmotoryzowanymi Niemcami ruszyło mrowie ludzi poprzetykane nielicznymi samochodami, wmieszanymi w ciżbę ludzką.

Przez kilka lat okoliczni mieszkańcy paradowali w strojach uszytych z tkaniny feldgrau, a to były garnitury, garsonki, kostiumy, płaszcze i wiele innych strojów. Część z nich powstawała we Fronołowie w „białym dworku”, bowiem na kilka miesięcy zamieszkał w nim, wraz z rodziną naszą, inny kuzyn, zdolny krawiec, Czesław Rutkowski. Spod jego igły wychodziły bardzo twarzowe ubiory panów i pań. Po kilku miesiącach Rutkowsky opuścili Fronołów i zamieszkali po drugiej stronie Bugu, w Maćkowiczach. Do Fronołowa za to przybyli wygnańcy z Brześcia, inni Szymańscy, bliżej spokrewnieni z moją matką. W 41 roku Niemcy uratowali im życie. Polacy na wschodzie nie mieli dobrej marki, więc Sowietcy towarzysze starali się ich zadołować, albo przynajmniej przesiedlić na bezkresne stepy Kazachstanu lub bardziej na północ, do różnych obozów zajmujących się wyrębem tajgi. Udało się. W 1944 roku ze wschodu mieliśmy już przyjaciół.

W sierpniu i we wrześniu wojska sowieckie wybudowały na Bugu drewniany most, znowu ruszyły pociągi, teraz zaopatrywały front, który zatrzymał się na Wiśle, a w styczniu znowu ruszył na Zachód.

„Biały dworek” przetrwał dwie wojny, a nawet trzy i miał się zupełnie dobrze. po wojnie znowu zatętnił życiem.

V. Wojna, niewojna

Zaraz po wojnie pociągi we Fronołowie nie stawały. Przed mostem, musiały zwolnić, a przeprawa przez rzekę zajmowała trochę czasu. Drewniany most nie pozwalał na szybkie przeloty. Zwolnienia były tak duże, że bez trudu można było z pociągu wyskoczyć, a nawet wsiąść. Czasem zaprzyjaźnieni maszyniści przed mostem specjalnie zatrzymywali pociągi. Dzieci miały frajdę, bo Sowietci ze zdobytych terytoriów wywozili do Sojuza całe fabryki, więc bez przerwy szły na wschód długie pociągi towarowe z dwiema lub nawet trzema lokomotywami wpiętymi również w środku pociągu. Przed mostem pociągi rozpinano i wolniutko przeprowadzano na drugą stronę rzeki. Ponownie je spinano na stacji w Siemiatyczach. Przez most przejeżdżał pociąg znacznie krótszy i lżejszy. Przejazd dawał sporo adrenaliny, bo most się kołysał. W czasie wojny tory też zostały w znacznej mierze zniszczone, więc z linii dwutorowej skonstruowano

jednotorową biegnącą po szerokim nasypie często przechodząc z jednego brzegu na drugi. Filary mostu chronione były przez specjalne ostrogi. Przed ruszeniem lodów saperzy starali się wcześniej połamać lód przed mostem używając materiałów wybuchowych. W czasie ruszania lodów na moście zawsze stacjonowali saperzy, którzy rzucali ładunki wybuchowe na kry zagrażające filarom. Jakoś most udawało się utrzymać, a ówczesne zimy były mroźne i śnieżne. Na Bugu kry miały do czterdziestu centymetrów grubości i wiosenne stany wód były bardzo wysokie. Cała dolina bywała zalewana przez wody powodziowe. W niektórych miejscach szerokość rozlewisk znacznie przekraczała jeden kilometr.

Po wojnie we Fronołowie został tylko „biały dworek” i kilka budynków gospodarczych zagospodarowanych przez Szymańskich, głównych rezydentów dworku. W tym czasie Fronołów odwiedzało wielu oficerów sowieckich i polskich. Niektórzy wywodzili się okolicznych miejscowości. Oczywiście chodzi o Polaków. Najczęściej byli to frontowcy. Przynajmniej jeden pochodził z Sarnak. W tym czasie moje kontakty z Fronołowem były bardzo częste. Przyjaźniłem się ze Staszkiem, starszym, wujecznym bratem. Bardzo mi imponował wiedzą o wszystkim, co się wokół Fronołowa działo. A działo się tu bardzo wiele. Matka bardzo często odwiedzała swojego ciotecznego brata. Z frontu nie wrócił mój ojciec, więc wszystkie męskie prace starał się wykonać w jej gospodarstwie swoim koniem i swoimi rękami - Władek, Owych kuzynów odwiedzaliśmy często, kuzyni również byli częstymi gośćmi w Mierzwicach.

Na wiosnę, podczas wysokich wód sowieci ciągnęli Bugiem zdobyczne statki z Niemiec. Czasem zatrzymywały się przy brzegu we Fronołowie. Stosunki z załogami statków były poprawne, głównym zainteresowaniem cieszyła się „wodka”, ale tym już zajmowali się dorośli.



Fot.7. Rok 1945. Na pierwszym planie siedzi Stanisław Szymański - współautor tego artykułu - z ojcem Władysławem, w środku widać Romka Szymańskiego, najmłodszego syna uciekinierów z Brześcia

W 45 roku zaczęły się prace przy odbudowie mostu żelaznego. Inżynierowie, którzy nadzorowali roboty przy rozbiórce zniszczonego mostu, a potem przy budowie nowego, zamieszkiwali „biały dworek”. Inżynier Czerniawski budował kesony i filary. W tym jeden na bużańskiej wyspie. Z rodziną mieszkał we Fronołowie, w „białym dworku”, wraz z Szymańskimi, jedynymi stałymi mieszkańcami. Wojnę przeżył „biały dworek” i stodoła Szymańskich. Z rodziną Czerniawskich zetknąłem się w szkole podstawowej w

Mierzwicach, bowiem ze mną uczęszczała do tej samej klasy Krysia, córka pana

inżyniera. Zapamiętałem ją, jako bardzo uroczą koleżankę z warkoczykami. Kiedyś inżynier zaprosił całą klasę Krysi, a więc i moją do zwiedzenia wnętrza kesonu. Wcześniej inżynier zademonstrował zasadę działania kesonu na bardzo pomysłowym modelu. Dla nas też taki pokaz okazał się nadzwyczajną sensacją. Wydarzenie bardzo rzadkie, w którym mogli uczestniczyć uczniowie małej wiejskiej szkółki. Na wyspę dostaliśmy się drewnianym pomostem, którym transportowano materiały budowlane. Na szczycie kesonu, który jeszcze był tylko lekko zagłębiony, wchodziliśmy przez specjalną śluzę przypominającą kiosk okrętu podwodnego. Wewnątrz panowało podwyższone ciśnienie. Szczególne wrażenie robiła znikająca woda po każdym wydobyciu szpadlem piasku z dna kesonu. Wewnątrz robotnicy kopali ręcznie, zbierając urobek do specjalnego pojemnika, który wyrzucany był na zewnątrz przez drugą śluzę. Nie muszę tłumaczyć, że dzieciaki wycieczkę długo pamiętały. Oczywiście byliśmy w „kisonie” i opowiadaliśmy o „kisonie”. Czerniawscy chyba byli warszawiakami. Druga rodzina, z którą mieliśmy do czynienia we Fronołowie, to byli państwo Sztukiewicz z Siedlec. Pan Sztukiewicz zdaje mi się, był specjalistą od konstrukcji stalowych. W pierwszym okresie zajmował się rozbiórką zniszczonego przez Niemców mostu, a potem budował nowy. Państwo Czerniawscy po zbudowaniu filarów opuścili Fronołów. Sztukiewicz zagościli na dłużej. W okresie wakacji rodziców odwiedzał najmłodszy syn, którego zapamiętałem. Wtedy był uczniem szkoły średniej. Potem został moim nauczycielem fizyki, w liceum im. Hetmana Stanisława Żółkiewskiego, w Siedlcach. Rodzice nazywali go „Misiem”, pozostali mieszkańcy też. Misio, to od Mieczysława, a nie od Michała. Stawał się stałym gościem „białego dworku”, w okresie wakacji. Należał do nowej, już powojennej generacji miłośników tego miejsca. Do Fronołowa zaczęli przyjeżdżać ludzie związani z budową. Budowniczości przywozili tu swoje rodziny. Fronołów zaczął ich przyciągać. Potem zjawiali się już, jako wczasowicze. Do Fronołowa zaczęli przyjeżdżać letnicy. W lecie „biały dworek” był gęsto zaludniony. W maju 46 roku Szymańscy opuścili Fronołów wyjeżdżając na tak zwane Prusy Wschodnie. Moje więzi z Fronołowem się urwały. W 47-ym roku oddano do użytku nowy, żelazny most. Była, to tylko jedna nitka, a tor też był pojedynczy. Fronołów nie był już do niczego potrzebny. Teraz pociągi przejeżdżały z dużą prędkością. Już się nie zatrzymywały. Powstała stacja w Sarnakach. Pamiętam uroczystość otwarcia mostu. Z Warszawy przyjechał minister komunikacji. Przy ołtarzu polowym ksiądz kanonik Bolesław Kulawik z Sarnak odprawił uroczystą mszę świętą, wygłosił płomienne, patriotyczne kazanie. Było przecięcie wstęgi i poświęcenie. Potem



Fot.8. Most na Bugu - sfotografowany przez A.D. 6 04 2017 roku, prawie sześćdziesiąt lat po jego odbudowaniu

przejechał pierwszy pociąg z ministrem i zaproszonymi gośćmi. Uroczystość zgromadziła wielkie tłumy okolicznych mieszkańców i gości. Moja szkoła też uczestniczyła w uroczystościach.

Potem na moście stali żołnierze, po kilku latach zastąpili ich kolejarze. Z Siemiatyczami kontakty też się przyhamowały. Przez most trudno było przejść, chociaż obok toru zabudowano dwie kładki dla pieszych. Czasem wartownicy przepuszczali. Wszystko zależało od widzimisię i dobrego humoru aktualnego wartownika.

Na Podlasiu wielu młodych mężczyzn znalazło się w antykomunistycznej partyzantce. W partyzantce był również jeden z synów pana Karwackiego, sąsiada Fronołowa. Władza ludowa nie mogąc dopaść syna, zemściła się na ojcu i reszcie rodziny. W ramach represji, wojska KBW rozebrały dom i pocięły go na drobne kawałki. Karwacki nie był ziemianinem, ani nawet kulakiem. Klepał biedę, jak większość tutejszych mieszkańców. W pewnym momencie został bez dachu nad głową, chyba też nie miał prawa go odbudować. Nie było wyjścia. Państwo Karwaccy przez kilka lat, z konieczności, musieli zamieszkać w opuszczonym przez poprzednich użytkowników „białym dworku”. Była to formalna własność nadleśnictwa w Zabuzu. Nie wiem, jak długo, to trwało...?

Przed kilku laty na terenie późniejszego Ośrodka Wczasowego Kolejarzy widziałem, fundamenty po zacnym „białym dworku”. Rósł świerk, który dawniej strzegł domostwa. W głębi widziałem okupacyjne wały. Bardzo zmalowały i mogły stanowić, tylko fortyfikację nadającą się do dziecięcych zabaw. Fronołów, to zupełnie inne miejsce. Wcześniej prawie bezleśne, teraz pokryte w całości lasem. Między drzewami przeświecają domki, domy. Jedne okazałe, inne skromne, jeszcze inne brzydkie. We Fronołowie szukałem odniesienia do wspomnień z dzieciństwa... Zostały wały..., aleja topolowa..., świerk... i fundament po „białym dworku”... Wszystko przemija... Niczego nie da się zatrzymać... Takie są prawa przyrody... Fizycy nazywają, to entropią..., a my szarzy mieszkańcy TEJ ZIEMI – PRZEMIJANIEM ... Niestety, wszystko przemija...



Fot.9. Obraz przęsła fronołowskiego mostu, w nurtach Bugu

B. Jeszcze Fronołów i jego okolice

(Jeszcze wspomnienia i historie przekazane przez rodziców.)



Fot.10. Robotnicy przy budowie kuchni

Na wstępie prezentujemy dwa zdjęcia odnalezione w archiwum rodziny Szymańskich. Pierwsze przedstawia robotników pracujących przy budowie kuchni, Ośrodka PCK. Autor zdjęcia nieznany, być może jest nim, ktoś z pracowników ośrodka.

Prawdopodobnie zostało wykonane w 1928 roku. Drugie pochodzi z roku 1933 lub 34.

Przedstawia rodzinę Stanisława Szymańskiego. Jego na zdjęciu nie ma,

bo się jeszcze nie narodził. Autor nieznany. Zrobiono je we Fronoławie, w pobliżu ich domu. Zdjęcia są w dość słabej formie. Nic dziwnego, przetrwały trzy fronty (1939; 1941 i 1944), jeden pożar (1939) i kilkanaście przeprowadzek, w tym jedną do Kraskowa, za Kętrzynem. **Uwaga do Fot.11:** Haneczka i Marian - rodzeństwo Stanisława; Władysław i Rozalia – rodzice; Marianna mama Władysława, Józefa mama Rozalii, czyli babcie trzeciego autora oraz Henio cioteczny brat Stanisława.



Fot.11. Rodzina Szymańskich. Od lewej: Haneczka, Marianna, Władysław, Rozalia i Marian Szymańscy, Józefa Bogdaniuk i Henio Hackiewicz. Nikt, z nich już nie żyje

I. Jeszcze trochę o wojnie

Jak już wspominaliśmy „grenszuce” zainstalowali się we Fronoławie na początku listopada. *Po Ośrodku PCK pozostał „biały dworek” i kilka budynków, które nie zostały spalone, podczas ataków niemieckich lotników na początku września. Dom moich rodziców też ocalał – mówił Staszek.*

Przed frontem wywieszono niemiecką, a w zasadzie hitlerowską flagę z hakenkrojcem i postawiono strażę. Niemcy wobec nas zachowywali się dość przyzwoicie - twierdził mój ojciec. Komendantem strażnicy był jakiś berlińczyk w miarę ogładzony. Wśród szeregowych „grenszuców”, było kilku Ślązaków, doskonale znających, język polski. Z nimi czasem rozmawialiśmy, nie okazywali wobec nas wrogości. Wiele zależało od dowództwa. Byliśmy sąsiadami. Nasze gospodarstwo znajdowało się kilkadziesiąt metrów od „komanda”. Przez zimę zajmowali budynki, które zastali. Strażnicę rękami Żydów budowano na wiosnę

tak, jak opisywaliśmy w poprzednim artykule. W rejonie działania tutejszego „grecnszucu” znalazły się Kolonie Mierzvice i Bużka. Po zainstalowaniu się Niemców we Fronołowie zbudowano linię telefoniczną łączącą Fronołów, przez Mierzvice z Sarnakami. Linia rozpięta była na słupach. W Sarnakach, na potrzeby łączności, pracowała przenośna prądnicą napędzana silnikiem spalinowym, albo motorem na tak zwany „holcgaz”.

Ojciec Staszka twierdził, że grecnszuce często ostrzegali miejscowych rolników przed przyjazdem gminnych urzędników i policjantów sprawdzających wykonanie nakazu kolczykowania zwierząt, więc, to były ważne informacje dla miejscowych rolników. Zaczynały się kontyngenty. W porę ostrzeżenia gospodarze mieli czas ukryć w pobliskich lasach trefne zwierzęta, to znaczy pozbawione znaku legalności, w postaci kolczyka. Za niełojalność kary były wysokie, ale to



Fot.12. Mierzvice. Na początku wojny w tym domu mieściła się siedziba „grecnszucu”. Widok współczesny

dopiero później, w latach czterdziestych. Od ilości zwierząt naliczano, kontyngenty, a najważniejsze, w tym było, to, że nie pozwalano zabijać zwierząt na własny użytek czy na handel, ponieważ kolczykowane zwierzę stawało się własnością „Reichu”. Miasto też chciało jeść, a polcie słoniny, boczku, szynki najczęściej sprzedawano ze sztuk niekolczykowanych. „Grecnszuce” też kupowali prowiant u sąsiadów. Jakiś rodzaj koegzystencji między okupantami, a miejscową ludnością się utworzył. Tak było we Fronołowie i w okolicy działania fronołowskiej strażnicy. Ruch

oporu zaczynał kielkować w dużych miastach, wieś, jeszcze drzemiała i lizala rany. Zupełnie inaczej układały się sprawy w sąsiedniej strażnicy, w niedalekich Mierzwicach Starych. Tamtejsza załoga mocno popijała i była bardzo nieprzyjemna dla sąsiadujących z nimi Mierzwiczian. Na początku posterunek „grecnszuców” zainstalowano w nowym, jeszcze nie zamieszkałym budynku, należącym do Bronisława i Heleny Daniluków, prawie dokładnie zlokalizowanym w środku wsi, od strony rzeki Bug. Placówka została obsadzona mniej więcej, w tym samym czasie, co we Fronołowie. Przed budynkiem wywiesili hitlerowską szmatę, postawili uzbrojonego wartownika i od razu zaczęły się represje. Przed szmatą przechodnie obowiązani byli zdejmować czapki. Gdy, ktoś nie dopełnił narzuconego obowiązku, dostawał, w tak zwany łeb i czapka spadała na ziemię. Potem trzeba było przedefilować kilkakrotnie, przed strażnicą, aby utrwalić nawyk okazywania szacunku hitlerowskim znakom, panom i władcom. Stosowano stare, typowe zagrania pruskiej dyscypliny wojskowej. Mieszkańcy próbowali na różne sposoby bojkotować szwabskie nakazy. Najprostszym sposobem była zmiana trasy poruszania się. Wielu mieszkańców, od zarania lubiło wędrować ścieżką prowadzącą poza stodołami, czyli poza wsią. Ten unik nie uszedł uwadze niemieckiej władzy. Wystawiono tam czujkę, która zmuszała do przejścia przed feralnym znakiem. Ostatecznie

zaczęto chodzić z gołymi głowami, co na wsi, w owym czasie stanowiło zupełnie nowy, rzadko stosowany zwyczaj.

We Fronołowie takich prześladowań nie było. Inna spawa, że tamtędy nikt nie musiał przechodzić i nie oplacało się wprowadzać represji, a poza tym, jak twierdził Staszek, komendant był w miarę przyzwoitym Niemcem. Ślężacy zachowywali się również bardziej po ludzku, nawet względem Żydów. Wszystko się zmieniło na niekorzyść, gdy został wymieniony skład osobowy strażnicy. Przeszedł inny komendant, a załogę stanowili starzy rezerwiści. Część pochodziła z Mazur. Oni zajmowali strażnicę już ufortyfikowaną.

Tymczasem w Mierzwicach na wiosnę 1940 roku Niemcy zajęli niewykończony budynek szkoły, Żydzi go wykończyli, wokół usypali wały, wykopali fosy i założyli zasieki z kolczastego drutu. Kończyły się dwadzieścia centymetrów od ściany mojego, rodzinnego domu. Niemcy nie wyrzucili miejscowej rodziny ze swego sąsiedztwa, uważając ją za dodatkowe zabezpieczenie. Strzecha mogła być łatwo podpalona odstrasząc ewentualnych napastników. Zachowywali się inaczej, niż sowieci, którzy pobliski Mielnik oczyścili z mieszkańców, wyrzucając ich do Grabowca, niewielkiej miejscowości, odległej o dwa kilometry, w której stało tylko kilka chałup. Po kilku miesiącach powstała spora osada. Po ucieczce sowietów prawie wszyscy mieszkańcy powrócili do swoich domów w Mielniku. I tak już zostało.



Fot.13. Mierzvice. W tym budynku, do lipca 1941 roku, mieściła się strażnica „grenszucu”. Widok współczesny

We wrześniu i październiku Dolina Bugu cieszyła się wielkim powodzeniem. Okupanci z obu stron jeszcze się dobrze nie usadowili na brzegach rzeki i w nocy wielu ludzi próbowało przedostać się na sowiecką stronę. Najczęściej byli, to Żydzi uciekający przed hitlerowcami. Przechodzili również Polacy, zazwyczaj mający do spełnienia, jakąś misję, albo powracający do swoich rodzin żołnierze, którym udało się zbiec z niemieckiej niewoli. Wielu miejscowych pomagało w przeprawie, robił, to również mój ojciec, o czym pisał w pamiętnikach. Wiem, że kilka takich przypadków było. Nie robił tego sam, przewodników bywało kilku. W pobliżu Fronołowa aktywny był Józef Szoplik. Człowiek, który najlepiej znał koryto rzeki, z racji wykonywanego zawodu, drugiego z taką wiedzą, to tutaj nie było. Dysponował puchówką, której jeszcze mu nie zarekwirowali Niemcy, bo się jeszcze nie zjawili na granicy. W zasadzie mógł nią posługiwać się do samej zimy. Parę razy strzelali do niego sowieci, ale, nawet nie zastał ranny. Być może były to strzały ostrzegawcze. Zima już się nie nadawała na tego typu wyprawy, Przeprowadził uciekinierów jeszcze w grudniu wśród kier. W śniegu pozostawały



Fot.14. Resztki puchówki pamiętające wojnę

ślady i sowieci szybko wylapywali przybyszów, czasem słyhać było strzały po sowieckiej stronie, ani mój ojciec nie wiedział, co tam się działo, ani inni, którzy pomagali przepawić się na drugi brzeg? Znany jest tylko jeden przypadek śmiertelny, kiedy na rzece została śmiertelnie postrzelona mieszkanka Siemiatycz pochodząca z Mierzwic.

Zza Bugu na niemiecką stronę uciekali ludzie, którzy wyrwali się z sowieckiej niewoli. Znam taki jeden przypadek, ponieważ uciekinierem był ojciec mego przyjaciela. Jego brawurowa ucieczka mogłaby być kanwą sensacyjnego filmu. Uciekał w pojedynkę i to prawie z okolic Dniepru. Aby nie zbłądzić szedł wzdłuż torów, oczywiście, nie samymi torami, tylko obok nasypu. Omijał miasta i osady. Wędrował prawie dwa miesiące. W dzień spał w stogach, gęstych młodnikach, a szedł nocą. Czasem pomagały mu gwiazdy. Jadł wszystko, co się do jedzenia nadawało. Sowiety, to była kraina głodna, na terenach dawnej Polski nie znajdował przyjaciół. Na wsiach mieszkali Ukraińcy, bardzo nieprzyjaźnie ustosunkowani do Polaków. Na Białorusi było lepiej. W nocy spotykał sowieckie patrole, ale udawało mu się uniknąć bezpośredniego spotkania. Na szczęście psów nie mieli. Wreszcie dotarł do Bugu, w okolicach mostu, we Fronołowie. Na moście stały patrole sowieckie i niemieckie. Ta droga odpadała. Z tego, co udało mi się wywnioskować, to przepawił się w nocy, wplaw przez rzekę, na wysokości gospodarstwa Bogdaniuków. Na Kolonii Mierzvice miał znajomych, był to Tadeusz Radzikowski. Tu został umyty, nakarmiony i przebrany w suche i czyste ubranie. W dwa dni później w przebraniu woźnicy dotarł do rodziny mieszkającej w Siedlcach i oplakującej ojca, i męża. Przebranie gwarantowało mu względne bezpieczeństwo. Do miasta dostarczano różne towary transportem konnym, którym zarządzali woźnice. To było cudowne ocalenie. Był oficerem. Oficerów kierowano do obozów, z których większość znalazła się we wspólnych dołach Katynia, Miednoje, Charkowa...

Znam jeszcze jedną historię związaną z Fronołowem, jego okolicami i moją rodziną. Historia zaczęła się po odzyskaniu niepodległości, na początku lat dwudziestych. Młodemu Państwu Polskiemu potrzebni byli specjaliści z różnych dziedzin gospodarki. Z dalekich Kaczor, miejscowości leżącej w pobliżu Piły przy ówczesnej granicy polsko-niemieckiej, zawitał do Wołkowyska młody Franek Welnic, który tam został zatrudniony na stanowisku zastępcy zawiadowcy. Zapewne przyciągnęła go dość samodzielna funkcja i niezłe pobory. Żona również znalazła się obok męża. Wołkowysk, to zapadła dziura, prawie dziki wschód, nie podobała się młodej małżonce, która wkrótce powróciła do siebie, pozostawiając męża na pastwę losu. Franek w Wołkowysku zabawił dwa czy trzy lata i przeniósł się do Siemiatycz, stacji leżącej na tej samej linii, ale położonej trochę bliżej Warszawy. Tutaj został zawiadowcą stacji, zastępcy nie miał, ponieważ stacja była znacznie mniejsza. Nie wiem, co skłoniło go do przeniesienia. Być może tak zdecydował zarząd zawiadujący koleją. W każdym razie młody kolejarz ostatecznie wylądował w Siemiatyczach. To był prawdziwy mężczyzna, a więc nie miał zielonego pojęcia, jak zarządzać

własnym gospodarstwem. Na ratunek bratu pospieszyła rodzona siostra, wówczas siedemnastoletnia dziewczyna. Franek zarządzał stacją, a siostra Janka, jego gospodarstwem domowym. Po kilku latach została żoną ciotecznego brata mojej matki. W ten sposób zostaliśmy spokrewnieni. Niestety przyszła wojna i wkrótce do samego Bugu sięgnęło władztwo Stalina, człowieka bardzo uczulonego na Polaków. Już Marks twierdził, że Polacy absolutnie nie nadają się na komunistów i, jako naród niepełnowartościowy powinni być zlikwidowani, albo przetworzeni. Nie wiem czy Stalin znał owe myśli brodatego teoretyka, czy też z własnej, nieprzymuszonej woli, intuicyjnie wdrażał je w życie, mając do dyspozycji niezmiernie obszary Środkowej i Północnej Azji, doskonale nadającej się na takie eksperymenty. Po przybyciu nowych gospodarzy Franek opuścił stanowisko i cichcem przeniósł się na drugą stronę rzeki, do władztwa innego „reformatora” - Adolfa Hitlera. Przez jakiś czas zamieszkał u moich rodziców. Jako jeszcze zupełnie mały brzdąc pamiętam bardzo pogodnego mężczyznę absolutnie łysiego, z którym fantastycznie się bawiłem.

Od czasu, do czasu Franciszek próbował się porozumieć ze swoją siostrą, która pozostała z mężem i dwoma córeczkami po prawej stronie rzeki. Przez Bug



Fot.15 Janka

dawało się porozumieć. Więc czasem rozmawiali przez rzekę. Janka przekradała się przez Maćkowicze i dalej wzdłuż rzeczki o nazwie Moszczona. Poważnym problemem było przekroczenie szosy biegnącej wzdłuż Bugu, w kierunku Brześcia. Drogą bez przerwy jeździły samochody wiozące materiały budowlane przeznaczone na budowę linii bunkrów, które nazwano Linią Mołotowa. Często szosą przemieszczały się oddziały wojskowe, ponieważ rzeka stała się granicą, a jednocześnie bastionem, z którego miały za kilkanaście miesięcy wyruszyć czerwone sotnie na podbój Europy.



Fot.16. Franek

Trzeba było okazać dużo sprytu, aby niezauważona przez nikogo, dotrzeć do Bugu i tam znaleźć miejsce dobrze osłonięte od lądu, w krzakach, a jednocześnie widoczne dla brata. Po drugiej stronie w pobliżu gospodarstwa Bogdaniuków, na niewielkiej górcie, tuż przy kolczastej zaporze wyznaczającej granicę, ale dobrze widocznej ze stanowiska siostry, ustawiał się Franek. Po sowieckiej stronie żadnych płotów nie było. Rozmawiali gestykując, albo pół głosem. Pomagali sobie kartonowymi tubami, które głos ukierunkowywały i trochę osłaniały przed niepowołanymi słuchaczami. Kilka takich rozmów przeprowadzili. We Fronołowie była niemiecka stacja, a Franciszek, jako dziecko pogranicza polsko-niemieckiego dobrze znał niemiecki. Całe dzieciństwo spędził w Niemczech, bo Kaczory, wtedy należały do cesarstwa Wilhelma. Stalin uważał, że obecny stan nie potrwa długo i granica wkrótce

przesunie się daleko na zachód, więc plotów nie stawiał, co prawda budował bunkry, to na wszelki wypadek, gdyby ekspedycja się nie udała.

Rozmowy przez Bug dziewczyny i mężczyzny nie uszły uwadze sowietów, i rodzina Rutkowskich znalazła się na liście przeznaczonych do eksterminacji. Na razie, to była wywózka, w głąb Azji. Zaprzyjaźnieni mieszkańcy, podpatrzyli listy i dyskretnie ostrzegli. Przez dwa tygodnie cała rodzina siedziała na tobołkach ukrytych w różnych zakamarkach mieszkania. Podczas wywózek sowietci dawali piętnaście minut na spakowanie. W panice zabierało się rzeczy zupełnie



Fot.17. 1941 rok. Ze zdobyczym, sowieckim transporterem. Rozpoznano od lewej: Marysię, Krysię, Lucię i Jankę Rutkowskie

przypadkowe i niepotrzebne. U Rutkowskich było inaczej. W tobołach była pościel, bielizna, ciepłe ubrania i mnóstwo suszonego chleba. Przed wywózką uchronili ich Niemcy, zniemacka atakując sojuszników 22 czerwca 1941 roku. Chyba Hitler wiedział, że, jak nie uderzy on, to jego zaatakuje Soso. Właściwie nie miał wyjścia.

Tak na marginesie, ciotka Janka nigdy się już nie spotkała z bratem, ponieważ wyjechał jeszcze przed inwazją do Białej Podlaskiej, tam zachorował na zapalenie płuc i zmarł, rodzina, nawet nie wiedziała, gdzie został pochowany.

Prawdopodobnie w kontaktach Franka z Janką pomagali Szymańscy, oni doskonale wiedzieli, kiedy wychodziły patrole niemieckie na obchód granicy, wiedzieli, w jakich momentach można przeprowadzić rozmowę niezauważoną przez strażników, a może Franek, jako dobrze znający język, miał cichą obstawę ze strony niemieckiej. To są tylko domysły. Wiemy, że z Niemcami, nigdy nie współpracował.

U Szymańskich przebywała przez rok rodzina wysiedlona z Zamojszczyzny, to była matka z dzieckiem, albo dwójką dzieci. Niemcy w tym czasie rozbierali, we Fronołowie, domy i wywozili do Kornicy, do kopalni kredy. Dołączył do niej mąż, któremu udało się zbiec z transportu wiozącego mężczyzn do obozu koncentracyjnego. Dołączył do rodziny, ale cały czas się ukrywał. Po roku wyjechali, do jakiejś swojej rodziny.

II. Powojenne remanenty

Front zatrzymał się na Bugu, przez kilka dni, w lipcu. Przez rzekę strzelała artyleria w obie strony. Po przejściu frontu we Fronołowie znaleziono jednego zabitego i to był Węgier. Nie wiemy czy zabitych było więcej?. Nie wiemy, kto pochował zabitego Węgra? Może jego koledzy? Węgrzy w rejonie Bugu nie walczyli na pierwszej linii frontu. Pełnili funkcje pomocnicze. W okolicach

Mierzwic też znaleziono jednego. Niemcy zabierali tylko swoich. Węgrami się nie zajmowali. Być może tego zabitego pochowali w lasku, w pobliżu swego domu, Bogdaniukowie. Na ziemnym grobie ustawiono krzyż. Od samego początku mogiłą opiekowały się dzieci, zdobiąc ją kwiatami i utrzymując porządek. Podczas działań wojennych mieszkańcy opuścili Fronołów i większość zabudowań w Kolonii Mierzvice. Kryli się w lasach uważając, że okolice mostu są wyjątkowo niebezpieczne. Nasylenie wojskiem okolicznych terenów rzeczywiście było bardzo duże.

W Dzień Zaduszny, albo na Wszystkich Świętych, na tym grobie dzieci Szymańskich i Bogdaniuków paliły świece. Potem obowiązki opieki przejęli wczasowicze i mieszkańcy osiedla, które wyrosło na dawnych polach Fronołowa i Kolonii Mierzvice. Grób istnieje do dnia dzisiejszego, jest zachowany, odnowiony i zawsze na nim leżą kwiaty. Jest to ofiara frontu z 44-ego roku.

Jako powojenne trofeum, przez dłuższy czas na drodze, w pobliżu domu państwa Bogdaniuków, straszył wrak spalonego samochodu łącznościowego. Zaopatrzony był w dwudziestometrowy maszt antenowy. Dawalo się go rozpoznać. Wnętrze zostało wypalone, pozostały tylko metalowe ramy. Z przodu tkwił kadłub silnika. Nikt specjalnie nim się nie interesował. Uważano go za szmelc. Przez dłuższy czas tkwił w piaszczystej drodze. Zdawało się, że jest to już zupełnie bezużyteczny wrak, zawalidroga. Rupieciem zainteresował się nasz wujek, uciekinier z Brześcia, zawodowy kierowca i dobry mechanik samochodowy, Jan Szymański, rodzony brat matki Andrzeja. Jak się okazało Szymańskich w jednym miejscu nazbierało się sporo. Byli ze sobą spokrewnieni poprzez matki, rodzone siostry. Ich mężowie mimo identycznego nazwiska byli ludźmi obcymi.

Koło wraku wielu przechodziło, chociażby w drodze do rzeki. W pewnym



Fot.18. Mieszkańcy (m) i goście (g) Fronołowa, 1945 rok. Stoją od lewej: Jan Rutkowski (g), Lodzia Daniluk (g), Jan z Romkiem Szymańscy (m), Hanka Szymańska (m), Janka Kozłowska (g), Różia Szymańska (m). Leżą lub stoją: Józik Kozłowski (g), Marysia Rutkowska (g), Hela Szymańska (m), Władek Szymański (m) i Janka Rutkowska (m)

momencie wrakiem zainteresował się wujek Janek. Coś robił i potrzebował odpowiedniego materiału, który spodziewał się znaleźć w złomie. W tamtym czasie prawie niczego nie dało się kupić, nie było towarów i nie było pieniędzy. Różne przeróbki pozwalały na normalne egzystowanie. Przerabiano ubrania, ze starych butów robiono nowe, a wojenny złom był zupełnie dobrym źródłem surowców, potrzebnych do wyrobu narzędzi i różnego sprzętu. Na kolei łatwo dostawało się karbid, bowiem kolej do oświetlania wnętrza wagonów używała karbidu, a kolejarzy swoje lampki też karmili karboidem. Oczywiście karbid był paliwem, z którego wytwarzano się

acetylen i dopiero spalający się acetylen dawał światło. Żeby z karbidu dało się otrzymać acetylen potrzebna jeszcze była woda. Wkrótce we Fronołowie powstała manufaktura wytwarzająca karbidówki i to ze zwykłych puszek po konserwach i kawałków metalowych rurek. Karbidówka dawała znacznie silniejsze światło, niż kopcąca lampa naftowa. Wujek Janek zastosował różne modyfikacje, tak, że karbidówki stawały się jeszcze bardziej wydajne, a to dzięki odpowiednio wmontowanym lustrom, które w handlu się spotykało. W naszych domach obok lampy naftowej używano też karbidówki.

Szperając we wraku uważniej przyjrzał się silnikowi. Nie zauważył, aby osłona była, jak to się popularnie mówi, przepalona. Wykonano ją z grubego odlewu a silnik zdaje mi się należał do rodziny benzyniaków. Nie dał się wymontować, więc wyciął go z przepalonej karoserii piłką do metalu, wrzucił na wózek i zabrał go do warsztatu, który już funkcjonował w gospodarstwie ojca Staszka. Okazało się, że silnik nie został zniszczony przez pożar. Wujek należał do ludzi, określanych mianem złotej rączki. Rozebrał go, oczyścił, naoliwił, wlał paliwo, ruszył starterem i silnik zapalił. Wkrótce został zainstalowany na podwoziu dającym się przewozić. Zainstalowano bęben pozwalający na założenie pasa i silnik zaczął służyć do różnych celów. Zaczęto od napędu młocarni, gdzieś znaleziono przedwojenną, wyremontowano i Szymańscy przestali młócić zboże cepem. W podobne ślady poszli sąsiedzi. Postęp wciskał się drzwiami i oknami. W okresie poza omłotowym silnik wykorzystywano do napędu żaren służących do mielenia zboża na mąkę, kaszę, śrutę oraz do napędu sieczkarni przygotowującej paszę dla zwierząt. Co by o Fronołowie nie mówić wojna wyraźnie przyniosła tej miejscowości postęp. Jan przeniósł się do Mierzwic i zamieszkał w dawnym budynku podworskim, a Szymańscy z Fronołowa wyjechali i osiedlili się w pobliżu Kętrzyzna. Co się stało z motorem, niestety nie wiemy? Prawdopodobnie zakończył swój burzliwy i pracowity żywot w składnicy złomu tak, jak, i pozostałość po spalonym radiowozie.

Laski w pobliżu mostu miały jeszcze inną bardzo groźną zawartość. W piasku znajdowało się wiele zagrzebanych pocisków, najwięcej moździerzowych. Wśród młodych mieszkańców okolicznych miejscowości zagnieździł się bardzo nieprzyjemny zwyczaj, który można określić, jako głuszenie ryb. Podczas wojny, a w szczególności, wtedy, gdy na Bugu była granica, w rzece nie łowiono ryb, co zaowocowało pojawieniem się dużej ich ilości. Rozmnożyły się.

Fronołów stał się zagłębiem, w którym pozyskiwano materiały wybuchowe, które potem wykorzystywano do głuszenia ryb. Zapamiętałem trzy wypadki w okolicy, podczas, których doszło do tragedii. We wszystkich przypadkach materiały wybuchowe pochodziły z Fronołowa. W pierwszym doszło do wybuchu, podczas próby głuszenia ryb, ciało zostało rozszarpane na strzępy, którego fragmenty eksplozja rozniosła po dużym obszarze, w drugim, podczas próby rozebrania pocisku, doszło do eksplozji i badacz stracił dłoń, w trzecim, granat rozerwał mieszkańca Koloni Mierzvice mieszkającego tuż za mostem.

Demonstrował kolegom sposób posłużenia się grantem ręcznym, osadzonym na rękojeści. Urwał się sznurek uruchamiający splonkę i grant rozerwał się w rękach. Zginął „nauczyciel”. Nie ucierpiał żaden z „uczniów”.

III. Uroczysko Fronolów

Najważniejszą drogą łączącą Fronolów ze światem była kolej, a okno na świat otwierało się na przystanku, który miał swój budynek stacyjny, a w pewnym okresie, nawet swoją bocznicę. Nazwę - Uroczysko Fronolów - przypisywano lasom leżącym w pobliżu torów kolejowych. Obejmowała ona laski na piaszczystych górkach, znajdujące się przy kolei i to z obu stron, Zagajnik, i tak zwane Błota. Górki rzeczywiście były piaszczyste. W pobliżu torów ziemi były szczególnie nieurodzajne. Poza poczciwą sosną, a czasem brzoźami, nic na nich nie chciało rosnąć. Sosny też nie mogły się pochwalić nadzwyczajną urodą. Drzewa były cienkie, niewysokie, korony mizerne.. Tak było w pobliżu torów, bo



Fot.19. Leśniczówka Fronolów. Zauważ w środku zdjęcia resztki żurawia

nasyp kolejowy biegł wzdłuż wyjątkowo nieurodzajnej krainy. Właścicielem ziemi były lasy państwowe, na początku dwudziestego wieku jeszcze carskie, a w Niepodległej Polsce już własność Państwa Polskiego. Bezpośrednią opiekę nad tymi lasami sprawował Paweł Sugiera rezydujący w gajowce położonej w pobliżu Nowych Mierzwic. Oczywiście gajówka nazywała się Fronolów, bo otaczające lasy należały do Uroczyska Fronolów. Gajowy również sprawował nadzór na

lasami leżącymi na obrzeżach Uroczyska. Do nich można zaliczyć Reski, Pasicę i „Obóz”. Szczególne miejsce zajmowały lasy, które rosły na bagnach, a które nazywano po prostu Błotami. W pobliżu torów kończyły się dużą polaną, która była tworem naturalnym, bowiem sosny tam rosnąć nie chciały, pokrywała ją trawa, gdzieś tam poprzetykana krzakami jałowca. W południowej części ciągnęły się bagna, które nie wysychały nawet, podczas suchego lata. Nie były, to bezdenne topiele, ale zdarzało się miejscowym mieszkańcom ratować krowy, które nieopacznie zapuściły się w tamte rewiry i same z błota wydostać się nie potrafiły. Błota zajmowały sporą część lasu i ciągnęły się, aż do drogi prowadzącej na Pasicę, a która oddzielała państwowe lasy od pól będących własnością prywatną. Bagna zasilała rzeczka spływająca z pól, na której w okresie międzywojennym jeden z pracowitszych gospodarzy wykopał stawy, w których ryb nie hodował, bo brakło w nich wody. W owym czasie lata były burzliwe i okolicę nawiedzały liczne nawałnice, zimy śnieżne. Często ziemię zalegała kilkudziesięciocentymetrowa pokrywa śnieżna. Wiosną



Fot.20. Leśna figurka

wody roztopowe spływały na Błota, które je zalewały. Wspomniana polana stawała się jeziorem. Również znaczna część lasu znajdowała się pod wodą. Jeszcze teraz można spotkać w lesie olchy rosnące na charakterystycznych kępach. Wody zalewały teren i to o powierzchni kilku kilometrów kwadratowych. Ciągnęły się od szosy biegnącej do Kózek, aż do Sarenki, która je częściowo odwadniała. Sama Sarenka zbierała wody z rozwadowskich, sarnackich i chlebczyńskich łąk i odprowadzała je do Bugu w okolicach Bużki. Skrajem południowo-wschodnim biegły tory kolejki wąskotorowej, którą zwożono, trakcją konną, kłocę z Wielkiego Lasu rosnącego pod drugiej stronie Mierzwic Starych.

Fronołów z Mierzwicami łączyła droga, której fragment od strony Mierzwic używany jest w dalszym ciągu. Początkowo pokrywa się z szosą, aby kilkadziesiąt metrów za tablicą z nazwą miejscowości skręcić w prawo już, jako polna droga. Dalej biegnie skrajem pól, na tak zwanych Gnoiskach. Dochodzimy do zapory zamykającej leśną drogę prowadzącą do przyjazdu kolejowego, na Stacji Fronołów. Tam widać krzyżującą się drogę leśną łączącą Mierzvice Nowe z Koloniami, tuż za „Obozem”. Aby znaleźć starą drogę prowadzącą do Fronołowa, należy skręcić w prawo i wejść do wysokiego lasu tuż za cięciem, od strony północno-zachodniej i przejść skrajem ze sto metrów uważnie obserwując lewą część wysokiego lasu. W pewnym momencie zaobserwujemy bardzo wyraźne ślady dawnej drogi. Jeżeli ruszymy wzdłuż niej, to dojdziemy do wałów. Siatkowy płot nie pozwoli na dalszą wycieczkę. Tędy się chodziło lub jeździło do Szymańskich i do białego dworku. To była najkrótsza droga. Z tą drogą wiążą się dość przykre wspomnienia pierwszego autora, wtedy miałem siedem lat. Z matką i młodszym bratem wybraliśmy się do Szymańskich, zaopatrzeni w koszyczki, aby po drodze nazbierać grzybów, których w zagajniku, w owym czasie było bardzo dużo i praktycznie zbierało się je przez całe lato, a nawet spory kawałek jesieni.

Zbieramy, też doskonale sobie radzę, coraz to wyciągam dorodne prawdziwki, czasem trafiał się grzyb czerwony, nazywaliśmy je kraśniakami lub czerwonogłówkami. Chętnie rosły pod brzożami. Rzeczywiście zbiór wspaniały. Tak mnie zaabsorbowały grzyby, że nie zwróciłem uwagi na to, co robi moja mama, a ona miała dwuletniego berbecia, którym musiała się opiekować a najczęściej dźwigać na rękach. Wyszedłem, na jakąś drogę, wokół rosną brzozy, których nigdy nie widziałem, nie wiem, gdzie jestem? Panika. Krzyczę, nikt nie odpowiada, tylko leśne echo powiela głos wystraszonego dziecka. Grzyby przestały mnie interesować, szukam panicznie wyjścia. Zagajnik jest dość gęsty, niczego daleko zobaczyć się nie da, kręcę się w kółko, znowu znalazłem się na drodze z rzędem dorodnych brzoż. Nie wiem, jak długo, to trwało. Pamiętam, że przed tymi brzożami stawałem kilkakrotnie. Wreszcie trafiłem na drogę, którą poznałem, zawróciłem w kierunku domu.

Matka też wpadła w panikę, musiała załatwić sprawę u Szymańskich, załatwiła i prawie biegiem wróciła do lasu. Wołała, też nikt na jej wołania nie reagował.

W pewnym momencie na piasku, na drodze, znalazła ślad synowskiego sandała. Potem na większym splachetku piasku tych śladów było więcej, wszystkie prowadziły w dobrym kierunku. Nie trzeba mówić, że radość ze spotkania była wielka. Łez też się trochę polało. To był jedyny przypadek w życiu, kiedy zbłądziłem w lesie.

Lasy wokół Fronołowa były bardzo grzybne. Moje wyprawy na grzyby sprowadzały się głównie do tak zwanych choinek. Choinkami nazywaliśmy młodniki, które powstawały z samosiejek, zazwyczaj na obrzeżach lasów we Fronołowie, jak i w Mierzwicach. Sosenki na ogół rosły rzadko, chociaż były i gęstwiny. Gałęzie sięgały do samej ziemi. W piasku znajdowaliśmy prawdziwki o białych trzonach i kulistych kapelusikach, czasem lekko brązowych. Do suszenia się nie nadawały, natomiast marynowane były wyśmienite. W jesieni zabieraliśmy również zielonki, też uwielbiały piasek i też kryły się pod ziemią. Zbieranie wymagało sporych umiejętności. Nigdy nie niszczyliśmy grzybni. Zbierało się również, tak zwane „bedki”, tak je nazywaliśmy. To były wszystkie grzyby, oprócz: borowików, kurek, zielonek i kraśniaków. Powszechnie zbierano olszówki, które przyrządzano na różne sposoby. Nie było żadnych zatruc. W naszym dzieciństwie i młodości te grzyby nie były trujące, nawet uchodziły za bardzo smaczne. Oczywiście, ich się nie suszyło. Jadano się po solidnym ugotowaniu. Technologia gotowania wymagała specjalnych zabiegów. Po prostu woda była ciemna, więc ją się wymieniało do momentu, kiedy stawała się już wystarczająco jasna, cały czas gotując.

Ważną drogą była, droga prowadząca wzdłuż torów. w kierunku Sarnak. Do Rozwadowa prowadziła przez las. Staszek z bratem Marianem chodzili tędy do sarnackiej szkoły. Na początku w Mierzwicach były tylko cztery klasy, potem sześć, a na końcu siedem. Szkoła funkcjonowała od czterdziestego trzeciego roku. Przed wojną też była czteroklasowa, do szkoły w Sarnakach chodziły również starsze dzieci Bogdaniuków. Mieli trochę dalej. Kiedyś doszło do incydentu. Ze szkoły wracała najstarsza córka Stanisława Bogdaniuka. Jak zwykle, szła drogą biegnącą wzdłuż torów, obok nasypu kolejowego. Wtedy była uczennicą szóstej czy siódmej klasy, dobrze nie pamiętam, Staszek też nie pamiętał. Torami szedł czewonoarmiejec. Zobaczył samotną dziewczynę, więc zaatakował, chciał zgwałcić. Zdołała mu się wyrwać z łap i zaczęła uciekać w las, strzelił za nią, na szczęście tylko lekko zranił w nogę. Była w szoku i rana nie krwawiła. Jakoś dowłokła się do domu Szymańskich, oni mieszkali bliżej. Mama Staszka opatrzyła jej ranę, a ojciec założył konia do wozu i odwiózł ją do domu. Ruscy zachowywali się, jak psy, często chodzili pijani, jak trafili na samotną kobietę, a zwłaszcza dziewczynę, to nie było pamiłuj! Droga do szkoły mogła dla dziecka zakończyć się tragicznie. I tak miała dużo szczęścia.

Tą drogą wożono również osoby, które odeszły. Pamiętam „jedne eksporta - wyprowadzenie”. Zmarła mama, ciotki Heleny. Przyjechała z Brześcia razem z resztą rodziny. Jeszcze nie była stara. Odprawialiśmy ją aż do Błot, a potem ojciec Staszka z wujkiem Jankiem zawieźli trumnę do Sarnak. Jechali wzdłuż

torów, a potem skręcili do Rozwadowa i dalej już drogą bitą do Sarnak. Na cmentarzu, na pogrzebie już nie byłem.

Uroczysko ma ciekawe konotacje. U dawnych Słowian oznaczało miejsce tajemnicze, kultowe, odludne. Opowiadanie, jakie, kiedyś usłyszałem z ust pana Bobińskiego bardzo nazwę uzasadniało. Ożenił się z córką starego Chalimoniuka, mieszkańca Kolonii Mierzvice, wybudował sobie dom na posesji teścia i tam zamieszkał. Trudnił się ciesiołką, więc wiecznie był w ruchu. Stawiał nowe budynki i często naprawił stare. To zajęcie było źródłem utrzymania rodziny. Często odwiedzał również braci i siostry mieszkające na Nowych Mierzwicach. Stąd się wywodził. W lesie miał wydeptaną, swoją prywatną ścieżkę, którą prawie każdego dnia przemierzał dwukrotnie. Znał każdy załomek gruntu na tej trasie. Mógł chodzić z zamkniętymi oczyma i nie zboczyłby z drogi i nieważna była pora roku: lato, zima czy wiosna. W zimie też tędy chodził. Ścieżka biegła przez Zagajnik, który był częścią Uroczyska Fronolów. Opowieść dotyczyła zdarzenia, które miało miejsce w jesieni. Śniegu jeszcze nie było. Szedł późnym wieczorem, zazwyczaj na pokonanie leśnej trasy wystarczało mu pół godziny. Szedł, jak zwykle. W pewnym momencie poczuł się bardzo dziwnie. Ogarnął go zupełnie niezrozumiały, irracjonalny lęk. Nie należał do ludzi lękliwych. Czuł, że jakaś siła wymusza na nim czynności, których nie chce wykonywać, ale bezwiednie je wykonuje. Trwało to ze cztery godziny. Nie wiedział, gdzie był? Cały czas wędrował, wreszcie wyszedł z lasu na szeroką drogę, czuł potworne zmęczenie, tajemnicze siły przestały go dręczyć.

Dziwne rzeczy działy się również na starej kolejce w pobliżu drogi



Fot.21. W nocy, niektórzy w tym miejscu widzieli jeźdźca bez głowy

prowadzącej do Kózek. Też byli tacy, którzy widzieli jeźdźca bez głowy. Słyszeli tętent rozpędzonego konia. Kilka osób przyznawało się do spotkania. Tamtędy chodziłem wielokrotnie, o różnej porze dnia i nocy, niczego nie widziałem. Czasem przebiegło stado saren, zdarzały się jelenie, nawet łosie, konia z jeźdźcem bez głowy nie widziałem. Wiele strachów buszujących w różnych miejscach Nadbużańskiej Krainy wypłoszyło światło elektryczne, a jeszcze bardziej telewizja.

Uroczysko to nazwa historyczna. Zagajnik dorósł, ma już ponad sto lat. Podszycia prawie nie ma, nie licząc rozrośniętych jagodnisk, czarnej jagody. Zniknęły jadalne grzyby, pozostały muchomory i bedłki, które nikogo nie interesują. Rodzina Sawczuków wykopała rów odwadniający Błota. Pomagali im sąsiedzi. Bagna zostały osuszone. Wielką polanę, leśnicy zalesili i na niej wyrósł już kilkudziesięcioletni las. Utworzono ostoję zwierząt. Zmienił się klimat. W zimie słabo mrozi, śniegu też zbyt wiele nie spada. Wiosna, lato i jesień są dość suche, burze prawie nie występują, z nieba spada znacznie mniej wody. Sam Fronolów i północno-zachodnia część Kolonii Mierzvice zatraciła swój rolniczy charakter. Zarosły lasem, w którym umieścili swoje siedziby ludzie. Wszędzie spotyka się domy. Wszystko się zmieniło. Prawie wszystko, co o

Uroczysku napisaliśmy jest historią. Wszystko się zmienia, wiele rzeczy przemija...

IV. Rzeka

Rzeka! Rzeka istniała od zawsze. Ludzie się zmieniali, a ona trwała. Ślady osadnictwa na brzegach Bugu archeolodzy szacują na dziesięć tysięcy lat. Rzeka była wygodną arterią komunikacyjną, zwłaszcza wtedy, kiedy okoliczne ziemie pokrywały nieprzebyte puszcze. W okolicach Fronołowa, w szczególności w rejonie mostu, zachowała, w tym samym miejscu niezmiennie koryto, przynajmniej od ponad stu lat. Pierwszy most, jaki tu powstał, został zniszczony w 1944 roku, wtedy również zostały wysadzone filary. Drugi zbudowano prawie dokładnie w tym samym miejscu. Na ogół rzeka się zmieniała i zmienia, i to



*Fot.22. Starorzecze -
bużysko*

bardzo. Dolina jest szeroka, na kilometr, a może i więcej. W różnych miejscach znaleźć można pozostałości po starym korycie w postaci rynnowatych wgłębień, często podmokłych lub wydłużonych jeziorok, które nazywamy bużyskami, otoczonych gęstym szuwarem i zaroślami wierzby. Jest to prawdziwy raj ptaków, które znajdują tam doskonale warunki rozwoju, świetne kryjówki, ale i żerowiska. Bużyska często utrudniają dostęp do

właściwego koryta. W rejonie Fronołowa też były i są, takie pozostałości po rzece, i to po obu stronach. Bieżąca woda, to żywioł, którego nie można lekceważyć. Dysponuje dużą energią w zależności od wielkości przepływu i szybkości prądu. W niektórych miejscach następują szybkie zmiany, w innych wolniejsze.

Wzdłuż koryta ciągnęły się wydeptane przez wędkarzy ścieżki biegnące tuż przy brzegu. Zarośla krzaków najczęściej wierzbowych nie były gęste, nie towarzyszyły im kępy zielska. W miejscach bardziej wilgotnych rosły jeżyny dające bardzo smaczne, wielkie owoce, podobne do dorodnych malin, tylko granatowe, pokryte białym nalotem, podobnym do nalotu na owocach, niektórych

śliw. Spotykało się dzikie, czerwone porzeczki, o drobnych owocach i ostrym smaku oraz czarne z charakterystycznym zapachem, które nazywaliśmy smrodzinami. Prawie wcale nie spotykało się pokrzyw. Gleby nadbrzeżne były jałowe, i poza wierzbą prawie żadne rośliny nie zarastały brzegów. W miejscach bardziej bagnistych rósł szuwar, tataraki, sitowie, wodne skrzypy. To były zastoiska, gdzie wody zatrzymywały się i na dnie osadzał się muł. Tworzyło się żyzne podłoże. Na prądzie rzeka prezentowała czyste wody i widać było dno do



Fot.23. Bug tuż za mostem

głębokości kilkudziesięciu centymetrów. Tam, gdzie nic nie przeświecało, były głębiny lub muliste dno. Czystość wód objawiała się czystością plaży i obecnością małży, które nazywaliśmy żabami. W piaszczystym dnie zostawiała charakterystyczne bruzdy. Było ich bardzo dużo. Biedniejsi zbierali je na paszę dla świń. Na marginesie, warto zauważyć, że mięso świń karmionych tymi mięczakami było niesmaczne. Liczne wysypiska muszli wskazywały na powszechność procederu. Spotykało się dwa rodzaje małży: skójki i szczeżuje.

Podczas niskich stanów wody, odsłaniały się długie łachy piasku, niezanieczyszczonego mułem. Na przedłużeniu drogi prowadzącej do rzeki znajdowała się długa piaszczysta łacha przylegająca do trawiastego brzegu i ciągnąca się, aż do gospodarstwa Chalimoniuków. Tutaj skupiało się życie gości, mieszkańców Fronołowa i Kolonii Mierzvice, podczas letniej kanikuły, którzy korzystali z kąpeli słonecznych na plaży, i wodnych w nurtach rzeki. Przylegające do niej wody były płytkie, a dno pozbawione dołów. Mięszczość plaży duża i na każdym poziomie występował tylko piasek

Główny nurt rzeki uplasował się przy prawym brzegu. Tam woda wypłukała głęboką rynnę, to miejsce mogło zagrażać życiu, bo tak zwanego gruntu nie było. Słowa „mam grunt” oznaczały, że, jeżeli stanąłem na dnie rzeki, to jeszcze głowa wystawała nad powierzchnię wody. Tuż po wojnie, w pobliżu mostu były dwie wyspy. Jedna zachowała się. To ta, na której znajduje się środkowy filar. Była i druga, położona bardziej w górnym biegu rzeki. Sięgała do drogi prowadzącej nad rzekę w pobliżu państwa Bogdaniuków. Od lądu oddzielała ją odnoga płytkiej i bezpiecznej wody, w której dzieci miały swoje kąpielisko. Oczywiście z wodą żartów nie ma i należy o tym pamiętać. Szczególnie wielką ostrożność należy zachować przy obcowaniu z wodą bieżącą. W korycie Bugu zdarzają się wychodne kurzawki. Kurzawka, to taka dziwna, ilasta skała, która w stanie bezwodnym jest twarda, jak przysłowiowy kamień, a zmieszana z wodą, tworzy breję, którą można wybierać tylko wiadrem. W miejscu zetknięcia złoża kurzawki ze strumieniem wody, powstają głębokie dziury, w wyniku wypłukiwania jej przez bieżącą wodę.



Fot.24. Widok na most z dawnego kąpieliska

Dziura może mieć głębokość, nawet kilkunastu metrów. Z każdej strony krawędzie opadają gwałtownie w dół. Często tworzą się wiry. Czasem bardzo wyraźnych znaków nie ma. Po prostu trzeba wiedzieć, że ona tam jest. Ślady po takich tworach można znaleźć na łodzi, który, kiedyś był korytem. Na dnie jest bardzo zimna woda, co powoduje kurcze wywołane szokiem termicznym. W wielu przypadkach takie miejsca są po prostu topieliskiem. Giną w nim, nawet dobrzy pływacy. Drugie niebezpieczeństwo wynika z właściwości bieżącej wody, która wlecze materiał skalny, w postaci piasku i usypuje podwodne wydmy. Od strony nurtu dno na takiej wydmie wznosi się łagodnie, aby się gwałtownie obniżyć za jej grzbietem. Bezpieczniejsze jest chodzenie wzdłuż rzeki, pod prąd.

Bardzo niebezpieczne jest brodzenie z prądem. W Bugu było wiele utonięć wywołanych tego typu zachowaniem.

Zaraz po wojnie we Fronołowie zjawili się wczasowicze rekrutujący się z rodzin inżynierów czy techników pracujących przy odbudowie mostu, którzy kwaterowali w „białym dworku”. Po zakończeniu budowy, głównie z nich rekrutowali się miłośnicy tego miejsca. Już wspominaliśmy o siedleckiej rodzinie Sztukiewiczów. Prawdopodobnie zjawiali się tu również Falkowscy i Wierzchowscy. Dojazd nie był łatwy, bo we Fronołowie nie było stacji kolejowej, a komunikacja samochodowa ledwie raczkowała, również z wykorzystaniem własnych aut. Z Siemiatycz trudno było się dostać do Fronołowa. Co prawda działała przeprawa promowa lub przy pomocy puchówki, ale wiązał się z tym pewien kłopot. Od Siemiatycz do przeprawy nie jeździło. Prom kursował na uwięzi. Jednym i drugim zarządzał Józef Szoplik, a przeprawiano się w pobliżu jego gospodarstwa. Otworzono stację w Sarnakach. Połączenie z Fronołowem też było bardzo niewygodne, drogami polnymi lub leśnymi.

W latach czterdziestych zimy były ostre i śnieżne, Szczególnie ostra była zima 1939/40 roku. Na Podlasiu mróz dochodził do czterdziestu stopni Celsjusza. Wtedy wymarzły prawie wszystkie sady. U moich rodziców też. We Fronołowie drzew owocowych nie było. Lód na rzece dochodził do trzydziestu centymetrów grubości. Ostra zima również zawitała w te strony na przełomie roku 1947 i 1948. Mrozy były trochę mniejsze, niż, podczas tej pierwszej, okupacyjnej zimy. Przez Bug prowadziły ścieżki dla pieszych, ale również jeździły zaprzęgi konne. Taka droga funkcjonowała we Fronołowie na przedłużeniu drogi prowadzącej nad rzekę w pobliżu Bogdaniuków. Miejsce musiało spełniać kilka ważnych kryteriów. Po pierwsze: powinien być łatwy dostęp do koryta rzeki, a więc niskie



Fot.25. Ruszyły lody

brzezi; po drugie: nie powinno w tym miejscu być oparzelisk i po trzecie: powierzchnia lodu powinna być względnie gładka. Przeprawa w pobliżu Bogdaniuków spełniała te kryteria, chociaż w 1953 roku doszło w tym miejscu do tragedii. Załamał się lód pod zaprzęgiem konnym jednego z gospodarzy Kolonii Mierzvice. Nie wiem, w jaki sposób uratowano konie, ale gospodarza ratownicy znaleźli siedzącego w lodowatej wodzie, z której wystawał tylko czubek głowy. W pobliżu prawego

brzegu jednak było głęboko.

Druga taka przeprawa istniała na wysokości Osłowa, w górze rzeki.

Prawdziwym i niezapomnianym misterium zawsze było ruszanie lodów. Miałem szczęście uczestniczyć w kilku takich spektaklach, będąc jeszcze dzieckiem, a potem młodzieńcem. Zazwyczaj działo się, to na początku wiosny, czyli pod koniec marca lub na początku kwietnia. Śniegi topniały i wody roztopowe podnosiły poziom wody w rzece. Lód też się podnosił i odrywał od brzegów. Blokowały nierówności brzegu, buzańskie kępy i krzaki porastające

brzegi. Walczyły ze sobą siły rzeki, czyli prądu, napór lodu spływającego z górnej części rzeki, oraz stacjonarne lody uniemożliwiające ruch. Dochodziło do stanu krytycznego, gdy siły atakujące przeważały siły blokujące. Pokrywa zaczynała z hukiem pękać, zamieniać się w kry i ruszać w swoją ostatnią podróż, w kierunku morza. Rzeka zrywała pęta, jakie narzuciły jej mrozy. Kry się kotłowały, wchodziły jedna na drugą, woda wyrzucała je na brzegi, ale parły już do przodu. W jednej chwili statyczna tafla lodu zamieniała się w rojowisko ruchomych kier. Wszystko się ruszało. Na płycznach i między kępami, tworzyły się zatory, które błyskawicznie podnosiły poziom rzeki. Widowisko oglądaliśmy zawsze z bezpiecznej góry. Wody zalewały Dolinę i rozlewały się szeroko. Kiedyś widziałem wyjeżdżoną lodową drogę, chyba lód się na niej utwardził, bo się nie rozpadła. Popłynęła ustawiając się równolegle do nurtu. Zmierzała ku morzu. Ciągle trwała. Woda wlokła całe powalone drzewa, osadzała je na mieliznach, wyrzucała na brzegi, zdobyła nimi bużańskie kępy. Rzeczywiście woda, to wielki żywioł. Mieli rację starożytni Grecy. Wody podnosiły się przez kilka dni, ze szczególnym akcentem, kiedy do Bugu wlewał swoje wody roztopowe Muchawiec, odwadniający Polesie.

We Fronołowie takich efektów się nie oglądało, ponieważ saperzy starali się zniszczyć pokrywę lodową w pobliżu drewnianego mostu. Podczas spływu lodów ruch pociągów był zawieszany. Po odbudowie mostu żelaznego kłopoty się zmniejszyły, dbano tylko, aby na moście nie utworzył się zator. Z zatorami zawsze walczyło wojsko.

Jeszcze kilka wspomnień związanych z rzeką. W potocznym rozumieniu fragment rzeki w pobliżu mostu kojarzono z Fronołowem. Było tu kilka utonięć. Przeważnie w nurtach rzeki pozostawali przedstawiciele wycieczek szkolnych, które odwiedzały, to miejsce. Koryto rzeki przy samym moście było i jest nieczyste. W dzień tkwią resztki słupów po starym drewnianym moście, tu i ówdzie, znajduje się jeszcze pozostałości po zniszczonym moście żelaznym. Poza tym koryto Bugu zawiera wiele przykrych niespodzianek, o jakich wspominaliśmy. Zdarzyły się dwa upadki z mostu w części nad lądem. Oba śmiertelne. Raczej niezamierzone, a nieszczęśliwe, to już czasy trochę późniejsze.

Obecna rzeka niewiele przypomina tę dawną. Jest przede wszystkim brudna, na brzegach i w korycie zamulona, a więc żyzna. Objawia się to dzunglowatym otoczeniem rzeki. Brzegi są zarośnięte nieprzebytą gęstwą krzaków, pokrzyw i innego zielska. Piasek na plażach jest szary, poprzekładany warstwą mulów. Zawdzięczamy to beztrosce epoki gierkowskiej i brudom, jakimi obdarzał, i obdarza nas Brześć, aktualnie ponad trzystutysięczne miasto.

Święto Morza

Polacy po odzyskaniu niepodległości dostali niewielki fragment Wybrzeża nad Zatoką Gdańską, bez żadnego poważniejszego portu. Największym portem był

Puck, z bardzo trudnym dostępem do „wielkiej wody”, z uwagi na płycizny Zatoki Puckiej. Urodziła się Gdynia, która w szybkim tempie przekształciła się w jeden z największych portów na Bałtyku. Szkoła próbowała zaszczerpić w duszach wybitnie lądowego społeczeństwa miłość, do właściwie, nieznanego morza. Miłość narzucana trochę odgórnie zmaterializowała się w Święcie Morza, które obchodzono w okolicach Święta Piotra i Pawła, czyli 29 czerwca. Niewiele wiemy, jak je świętowano przed wojną, bo wszyscy, którzy świętowali już się przenieśli do lepszego świata. Nie ma, kogo zapytać? Źródła pisanych też nie ma. Turnusy w Ośrodku PCK zaczynały się po zakończeniu roku szkolnego, to musiało być około 24 czerwca. Harcerze na swoje obozy mogli wyjeżdżać wcześniej. Święto Morza było ważnym wydarzeniem w ich życiu. Największym statkiem, jaki egzystował w okolicach Fronołowa, był prom linowy pana Józefa Szoplika. W okresie kanikuly na wodach, w pobliżu mostu, Staszek zapamiętał wielki łopatkowiec wypełniony pasażerami. Płynął w pobliżu brzegów, przy których było wiadomo, że jest głęboka woda. Na rzece tyczkami oznaczono, tor wodny. Robił to również pan Józef.

W szkołach jednak uczono wiele o morzu. Uczyliśmy się wierszy i piosenek. W rodzinie miałem dwu marynarzy. Jeden służył w marynarce na Oksywiu, to rodzony brat mojego ojca, a stryjeczny brat mojej matki podobną służbę odbywał, ale na pińskich błotach. Sam też we krwi miałem sporo morza. Moja pierwsza wyprawa „morska” zakończyła się niepowodzeniem. Z kolegą próbowaliśmy zwodować na pobliskim rozlewisku wód roztopowych, nasz pierwszy statek, z adaptowanego do celów żeglugowych wieka wielkiego kufra. Niestety „wieczna zmarzlina” rozmarzła i ekspedycja ugrzęzła w błocie nie docierając do upragnionej wody.

Z wielką pompą organizowane były Święta Morza w pierwszych latach, tak



Fot.26. Dwie urokliwe wysepki w korycie Bugu

zwanego Peerełu. Uroczystości miały charakter religijno-patriotyczno-rozrywkowy. Organizowane były w okolicach promu, na nadbużańskich pastwiskach, będących we władaniu Szoplików, Chaliomoniuków i Hackiewiczów. Głównymi organizatorami byli druhowie Ochotniczej Straży Pożarnej w Mierzwicach. Mierzwicka straż swoim zasięgiem organizacyjnym obejmowała trzy wsie: Mierzvice Stare, Mierzvice Nowe i Mierzvice Kolonie. Strażacy byli najbardziej zorganizowaną grupą społeczną na wsi. Wokół siedziby straży, w remizie koncentrowały się wszystkie wydarzenia kulturalne. Remiza obok magazynu sprzętu gaśniczego dysponowała obszerną salą ze sceną, na której wystawiano spektakle teatralne, przygotowywane przez artystów-amatorów, pod kierunkiem miejscowych nauczycieli. Tu odbywały się potańcówki i tu organizowano dochodowe zabawy z zyskiem przeznaczonym na określone cele.

.Wróćmy do Święta Morza. Zazwyczaj na promie budowano okazały ołtarz polowy, według jeszcze przedsoborowego rytu, plecami do wiernych. Nie wiemy,

kto, to robił? Trzeba przyznać, że budowniczy miał niezłą fantazję, umiejętnie łącząc elementy religijne z morskimi, bo akcentów morskich nie mogło zabraknąć. Oczyszczono kawał łąki w pobliżu promu, nieestetyczne kępy zostały wykoszone. Sporo roboty było na pastwiskach, gdzie pasły się krowy, które niestety do największych estetek nie należały, więc wszystkie niedoróbki, jakie pozostawiły, należało usunąć. Idealem, zawsze bywało pastwisko użytkowane przez konie. Prawie wszystko jadły, to, co rosło i elegancko przycinały trawę, bo dysponowały tak ułożonymi siekaczami, które doskonale sobie radziły ze strzyżeniem trawników. Podobnie zachowywały się owce i kozy, ale to już były brudasy.

W dniu święta od wczesnego ranka z różnych stron jechały fury wyścielone kolorowymi pasiakami lub, jakimiś eleganckimi nakryciami. Na każdej furze było od kilku, do kilkunastu osób. Zdarzały się i szykowne bryczki. Te zabierały mniej pasażerów. Wszystkie pojazdy jechały w kierunku Kolonii i dalej w pobliżu gospodarstwa Chalimoniuków skręcały w prawo i wjeżdżały na nadbużańskie błonia. Miały one właścicieli, ale właściciele się zgadzali na świąteczne wykorzystanie ich włości. Często rodziny zajmowały miejsca w pobliżu własnych pojazdów, pod jakimś ustronnym krzaczkiem. Bywało i tak, że konie wyprzęgano, dawno im, tak zwany, obrok, w specjalnej torbie. Też wypoczywały. A inne stały, w specjalnym do tego celu przeznaczonym boksie, a ich właściciele mościli sobie wygodne gniazdko, w innym miejscu. Z lewej strony Bugu najczęściej korzystano z pojazdów konnych. Z prawobrzeżnej krainy przeprowiano się łódkami, albo pieszo, przez most uzyskując od strażników zgodę na przejście.

Przed ołtarzem gromadziła się pokaźna gromada różnobarwnie ubranych kobiet i dziewczyn. Panowie ubierali się mniej szykownie.

Dla młodzieży i chętnych do tańcowania wydzielono specjalny, kolisty plac otoczony przez młode brzoźki, wbite w ziemię. Grała orkiestra. Parkiet stanowiła krótko przycięta trawa i w miarę płaska powierzchnia. Dobry tancerz i na piasku zatańczy, złemu przeszkadza, nawet najwykwintniejszy parkiet. Oczywiście, najsamprzód była msza, odprawiał ją ksiądz kanonik Bolestaw Kulawik, zdaje nam się, że był doktorem, proboszcz parafii Sarnaki. To krasomowca i jego kazania mogły porwać słuchaczy religijnie i patriotycznie. Znalazły się w nim akcenty morskie. Mówił głosem donośnym, bez żadnego nagłośnienia, którego, wtedy nie stosowano. Głos szedł z góry, nie tłumił, go tłum zalegający niżej, a nad głowami docierał dalej i był dobrze słyszalny. Chyba nawet znacznie lepiej, niż teraz, gdy stosuje się wspomnienie elektroniczne. Mówca zawsze, to robił z podwyższenia, zwanego amboną, a poza tym zapewne robił, to głośniej. Stare kościoły też są doskonale pod względem akustycznym.

Potem rozpoczęła się zabawa, która przypominała majówkę. Zazwyczaj zjawiali się producenci lodów. Swoje produkty sprzedawali wprost z wozów. Przechowywano je w specjalnych bańkach opatulonych, jakimiś izolatorami.

Wozy wyścielano białymi obrusami lub serwetami. Mimo gorąca lody były dobrze zamrożone i to zamrożenie z upływem czasu się nie zmniejszało. Sprzedająca lodziarka zawsze przepasywała się białym fartuszkiem. Wyglądała czysto, a zarazem schludnie. O żadnych zatruciach nie słyszeliśmy. Lody cieszyły się dużym powodzeniem, bo były bardzo smaczne. Nic dziwnego? Wtedy robiło się je z prawdziwego mleka, prawdziwej śmietany i prawdziwych jajek. Każda rodzina przywoziła ze sobą wałówkę i zazwyczaj coś mocniejszego. Ludzie się bawili do godziny osiemnastej. Jeszcze przed zachodem słońca zaczynał się ruch. Goście się rozjeżdżali lub rozchodzili. Nie pamiętamy, aby, podczas tych uroczystości były jakieś awantury. Milicjantów też nie było. Podobno zdarzało się naruszenie szóstego przykazania z zaskakującymi, a nietypowymi konsekwencjami, bo z konieczności grzech się upubliczniał.

Tak na marginesie warto zauważyć, że zarówno przed wojną, jak i po wojnie zabawom wiejskim często towarzyszyły bójki. Młodzieńcy z różnych wsi byli ze sobą zantagonizowani, chodziło o dziewczyny, albo wyrównywanie krzywd rzeczywistych czy wyimaginowanych, coś w rodzaju wendety. Między sobą też chętnie się tłukli. Podstawowym narzędziem ataku lub obrony była sztacheta wyrwana z przygodnego płotu. Plemienna natura drzemiała w umysłach miejscowych osiłków. I to zostało. Sztachety zastępują obrzydliwe słowa i gesty. Przykładów dostarcza telewizja.



Fot.27. Dolina Bugu rzeczywiście jest urokliwa

C. Pomniki (przyrody)

Drzewa należą do istot żywych, potrafiących żyć bardzo długo. Długowieczność zależy od różnych czynników, a najważniejszym jest ingerencja człowieka. Według znanego leśnika, niemieckiego naukowca Petera Wohllebena leśnicy wycinając sosny, świerki, buki w wieku stu lat, wycinają je w wieku niemowlęcym. Podobnie jest z innymi drzewami. Do najbardziej długowiecznych drzew zaliczamy amerykańskie mamutowce (ponad trzy tys. lat), sekwoje (ponad 2 tys. lat), oliwki (ponad 1000 lat) czy nasze dęby (ponad 800 lat).

Tak naprawdę, to zapewne na ten temat jeszcze niezbyt wiele wiemy, ponieważ zainteresowanie długowiecznością drzew, to czasy znacznie późniejsze, a ocena jej, nie jest taka prosta. Można liczyć słoje, po ścięciu drzewa, często stare okazy nie mają już środka, bowiem pnie są zniszczone. A wiek tych, które legły, chociażby w Puszczy Białowieskiej, też jest trudny do oszacowania. Oczywiście, nie można negować różnych stosowanych metod, ale wyniki zawsze są przybliżone. To są tylko szacunki.



Fot.28. Stare drzewa oliwne na Ibizie, w Saint Vincent

I. Wiąz

Już go nie ma. Zmarł w 1944 roku, właściwie został zabity. Rósł mniej więcej w połowie drogi między zabudowaniami państwa Bogdaniuków, a mostem we Fronołowie, w odległości, jakieś dwudziestu, trzydziestu metrów od krawędzi koryta Bugu, w tym miejscu od lat bardzo ustabilizowanego. Obok biegła ścieżka w kierunku mostu. Teraz jest tam dość szeroka droga wykorzystywana przez samochody, chociaż nieprowadząca do celu, ponieważ zamyka ją rów odwadniający Błota. Dawniej też tędy biegła droga. Prowadziła do bindugi zlokalizowanej, tuż przy moście i torach kolejowych, od strony wschodniej. Wiąz prawdopodobnie został wysadzony w powietrze przez sowietów, ponieważ uznano go za dobry znak nawigacyjny dla samolotów. Jego pozycja była zaznaczona na mapach sztabowych. A obok był most, bez wątplenia obiekt strategiczny. Zwykłą piłą, raczej nie dało się go ściąć, bo średnica jego pnia przekraczała dwa metry. Wiąz już był schorowanym staruszką. Właściwie prawie nie miał typowej korony. W dolnej części pnia odrastały gałęzie pokryte listowiem, a więc dziadek jeszcze żył. Nikt go nie wpisał na listę pomników przyrody, bo, wtedy takich wpisów się nie robiło. Poza tym wojna rządziła się swoimi prawami. Przeszkadzał, a nawet zagrażał, wobec tego, musiał zginąć. Dobrze go pamiętał Staszek Szymański mieszkaniec pobliskiego Fronołowa. Świadców jego istnienia praktycznie nie ma, ponieważ przenieśli się do lepszego

świata. Sędziwy wiąz był siedliskiem wielu zwierząt, przede wszystkim zamieszkujących dziuple. Głównymi twórcami dziupli były dzięcioły. W trakcie budowy korzystały z usług grzybów, dzięki temu dziuple budowały dość długo, ale znacznie mniejszym wysiłkiem, bo grzyby swoją grzybnią rozmiękczały drewno. Grzyby raz wprowadzone do dziupli już jej nie opuszczały, jak za przeproszeniem wojska sowieckie i po pewnym czasie dziupla okazywała się zbyt obszerna, i dzięcioły się z niej wyprowadzały. Tutaj znajdowały mieszkania liczne rodziny wiewiórek. Korzystały z dziupli zrobionych przez innych, a w wyniku „działalności” grzybów i erozji zbyt powiększonych, i trudnych do zabezpieczenia przez poprzednich użytkowników. Dziuplami nie gardziły kowaliki. Same ich nie robiły, często zajmowały dziuple opuszczone przez dzięcioły zmniejszając otwory wejściowe przez zalepianie ich gliną. Wnętrze dziupli napelniały drobnymi kawałkami sosnowej kory podnosząc dno tak, aby piskłeta po osiągnięciu wieku wylotu, mogły dostać się do otworu wyjściowego. To chyba jedyny specjalista wśród polskich ptaków potrafiący chodzić po pniu głową w dół. Czupurny. Staje do walki z dzięciołami o terytorium żerowania, często zwycięża i dzięcioła przepędza. Pień starego wiązu był źródłem pożywienia licznych owadów, którymi z kolei interesowały się ptaki. Dzięki temu stary wiąz mógł zaistnieć i jego rozkład przebiegał wolno. Podobno w pierśnicy drzewo miało około siedmiu metrów obwodu (pierśnica to wysokość 130-tu centymetrów odpowiadająca średniej wysokości piersi dorosłego mężczyzny). Pień składał się, jakby z kolumn związanych w jeden olbrzymi pęk. Przez to robił wrażenie mocarza. Obwód przypominał okrąg z falistymi brzegami. Nawet w późnej starości wyglądał imponująco. Wiąz mógł urodzić się w szesnastym, albo w siedemnastym wieku, a rzeka nigdy go nie zabrała... W tej chwili nie ma najmniejszego śladu po olbrzymie...

II. Wierzba



Fot.29. A oto Ona, w całej okazałości. Wierzba w „Jamie”

Ona zawsze tu była. Potwierdzi, to każdy mieszkaniec wioski, a nawet gość, który tu przyjeżdżał na wczasy, na letnisko... Jak daleko sięga ludzka pamięć, to ona tu rosła, zawsze potężna, mocarna, dostojna. Piękna w swojej niepowtarzalności. Oryginalna. Charakterystyczna. Zawsze na brzegu rzeki, zawsze w „Jamie”. Drzewo nie potrafi się przemieszczać, trwa w miejscu swego urodzenia do samej śmierci. Kiedyś służyła ludziom. Była strażnikiem ich łodzi. Wiernie chroniła przed rzeką i obcymi. Do drzewa przylegały głębie, a ona rosła na samej granicy wody i ładu, doskonale nadawała się na strażnika. Nigdy nie zawiodła właściciela łódki, ufnie oddającego ją pod jej opiekę. Wichury jej nie naruszały, więc nie groziła nikomu złamanym konarem, nie czyniła szkód,

nie niszczyła mienia. Ludzie też jej nie robili krzywdy, doceniali miejsce, w którym rosła. Chyba nikomu nie przeszkadzała. Była skromna, a jednocześnie okazała. Zielono-szare, wydłużone listki dodawały jej skromności, a grube konary i potężny pień dostojności. Na początku opiekowała się dłubankami – łodziami zrobionym z jednego pnia topoli, lipy czy innego drzewa o wystarczająco dużych rozmiarach, to dawne czasy. Nikt ich nie pamięta. Potem przyszedł czas na pychówki robione w skromniejszej postaci z trzech szerokich desek. Z jednej robiono dno, a po jednej desce używano na budowę burt.



Fot.30. Pień tej wierzby
rzeczywiście jest imponujący

Potem robiono większe i bardziej funkcjonalne łodzie. Do ich budowy używano już sześć szerokich desek, a nawet większe ich ilości. Łączono je na zakładki, uszczelniano pakułami i zalewano drzewną smołą. Na rufie zawsze była



Fot.31. Pychówka
widok współczesny

masywna, szeroka ława spinająca deskę rufową i obie burty, a w środku druga. Konstrukcję wzmacniano naturalnymi krzywulcami wyciętymi z twardego drewna: dębu, grabu czy wiązu. Łodzie kryły się pod rozłożystą koroną poczciwej wierzby. Przypinano je łańcuchami obejmującymi pień i zabezpieczano wielką kłódką. Pychówki na rzece panowały bardzo długo. Były bezpieczne, funkcjonalne, łatwe w prowadzeniu. Wiosłowało się jednym wiosłem z długim piórem zakończonym specjalnym okuciem, z długą, gładką rękojeścią, którym posługiwał się jeden wiosłarz, stojąc w rozkroku w pobliżu rufy. Wiosłowało się zawsze z

jednej strony odpychając się wprost od dna na płycznach, a od wody na głębinach. Posługiwanie się wiosłem należało do ważnych umiejętności. Zdolny wiosłarz potrafił idealnie poprowadzić łódkę do zamierzonego celu. Raz tylko zdarzyło się nieszczęście. W pobliżu wierzby, z uwagi na łatwy dostęp do rzeki, często przeprawiano ludzi na drugi brzeg. W pierwszych miesiącach wojny, kiedy jeszcze granica między sowietami, a Niemcami nie była zabezpieczona, przeprawiała się zza Bugu jedna z mieszkańek stacji, w Siemiatyczach, oczywiście nie sama, ktoś jej towarzyszył, podczas przeprawy, łódkę ostrzelano, zginęła kobieta. Zabił ją, jakiś młójec strzegący sowieckiej granicy. Była to jedyna ofiara tej wojny, jaka wydarzyła się w tej części rzeki.

Jeszcze przed paru laty, kiedy rzeka i wierzba były blisko siebie, a wody wystarczająco głębokie, staruszka dostąpiła pewnej nobilitacji. Tu cumowały nowoczesne kajaki, zbudowane z tworzyw sztucznych, zabezpieczone łańcuchami, a nawet przez kilka sezonów stały bardzo nowoczesne motorówki. Okres prosperity się zakończył. Koryto rzeki odsunęło się o kilka metrów od

wierzby. Drzewo znalazło się na suchym łądzie. Można ją obejść ze wszystkich stron nie zmoczywszy stóp. Od jakiegoś czasu rzeka od niej się odsuwa...

. Wierzba zawsze tu była. Tu się urodziła i tu zawsze mieszkała i pozostanie do samej śmierci. Wierzby, to drzewa szybko rosnące, często przybierające bardzo dziwne kształty, o krótkich, pokręconych i grubych pniach, rozłożystych koronach. Nie żyją zbyt długo. Ta zapewne ma nie więcej, niż dwieście lat, to wierzbową prababcia, w pobliżu rodziny nie ma, bo jest samotna. Jej dzieci rozsiały się po całej okolicy, a może i dorzeczu rzeki. Nasiona niósł wiatr, ale i woda. Dzieciństwo i najwcześniejszą młodość wierzba spędziła na wyspie. Tu wyspa się zaczynała. Na południu, od stałego lądu oddzielała ją zapewne wielometrowa głębia, to ona dała początek bużysku zwanym Jamą. Nurt rzeki tu się rozgałęził i część wód sphywała w dół, tuż pod wysoką krawędzią doliny, na której leżą Mierzvice.



Fot.32 „Jama” - bużysko w pobliżu bohaterki tego felietonu



Fot.33. Stara wierzba. Widok w promieniach wschodzącego słońca od strony rzeki

Bez trudu można znaleźć ślady starego koryta rzeki. To są wyraźne obniżenia dna doliny, często zalewane, podczas wyższych stanów wód, ciągnące się aż do pasma istniejących bużysk, zwanych Sadzawkami, na wysokości drogi, będącej przedłużeniem szosy prowadzącej do Sarnak.

Według starych wierzeń w wierzbach, zwłaszcza tych zlokalizowanych blisko dróg, gnieździły się nieczyste siły w postaci czarownic, diabłów czyhających na zagubione duszyczki nocnych wędrowców, Często były, to drzewa dziuplaste, które chętnie zasiedlały sowy, zwłaszcza, wtedy, gdy rosły w pobliżu pól. Nasza wierzba nie nosiła żadnych przykrych historii. Nawet w niej nie mieszkały utopce czy „potopielcy”, jak nazywali mieszkańcy Podlasia stwory, wciągające nieostrożnych pływaków w głębiny, przestrzegając dzieci przed niebezpieczeństwami czyhającymi na nie, na rzece.

Przed kilku, laty wichura mocno uszkodziła koronę drzewa łamiąc potężną gałąź, która nie odpadła, a stała się podporą wspierającą drzewo od strony północno-zachodniej. Teraz pod drzewem raczej nie jest wskazane cumowanie, zresztą nie da się tego zrobić, bo woda jest płytka, a dno bagniste i rzeka odsunęła się na północny wschód. W dalszym ciągu drzewo jest fotogeniczne. Zaprasza młodożeńców do utrwalenia swego szczęścia z jego sylwetką w tle. Kiedyś na łące, do niego przylegającej, często biwakowali wędrowcy, wędrujący szlakami nadbużańskimi i rzeką:



Fot.34. Wichura mocno uszkodziła koronę drzewa

kajakarze, piesi, rowerzyści, survivalowcy. Odpoczywali. Widoki rzeczywiście były i są zachwycające. Ekolodzy i przyrodnicy chyba drzewa nie zauważyli. A może uznali za niegodne szlachetnej nazwy i szczególnych względów, jakimi cieszą się pomniki przyrody. Wierzba, to nie tutejsza sekwoja – arystokratka, tylko dość poślednia nadbużańska roślina, drzewo o uduchowionych kształtach, jak współczesny świat. Różni się jednym. Świat preferuje brzydotę i bylejakość, a tu mamy absolutne piękno zamknięte w drzewie. Wierzba zaprasza na seans fotograficzny. Rzeczywiście jest fotogeniczna. Łatwo do niej trafić. Wystarczy wsiąść do samochodu, to dla tych, co nie znoszą spacerów i pojechać w kierunku rzeki polną drogą będącą przedłużeniem szosy biegnącej z Sarnak, a



Fot.35. Ta droga zaprowadzi piechura i zmotoryzowanego do opisywanej wierzby

potem należy pojechać piaszczystą, a czasem trochę zabagnioną nadbużańską drogą w górę Bugu. Należy jechać wolno i rozglądać się na wszystkie strony. Rzeczywiście jest pięknie. Warto popatrzeć na Dolinę i Rzekę... Wierzby nie da się przegapić, sama rzuci się w oczy. Rośnie, jakieś trzysta metrów na północny wschód od tak zwanego Rynsztoka, w Mierzwicach Starych. To najniższy punkt w tej części wsi za przystankiem autobusowym, gdy jedziemy od strony północno zachodniej lub z drugiej strony po osiągnięciu najwyższego punktu szosy biegnącej przez Mierzvice. Na piechotę jest jeszcze prościej, bo wszystkie drogi dadzą się przejść, można skorzystać ze ścieżek, a nie wszędzie można przejechać. A poza tym możemy się delektować przyrodą, wdychać balsamiczne powietrze i oddawać się kontemplacji i rozmyślaniom.

III. Dąb

Zapewne nikt nie wie, kiedy się urodził? Czteryście lat temu, a może i pięćset? Ktoś, to zbadał? Nie wiemy? Należy do miejscowych olbrzymów. Średnica pnia, to ponad dwa metry, obwód około siedmiu metrów. Trzeba kilku ludzi, aby go objąć. Posiada oficjalny znak - pomnik przyrody. Nobilitacji dostąpił stosunkowo niedawno, w latach sześćdziesiątych, a może w siedemdziesiątych poprzedniego wieku. Był własnością prywatną, należał do naszej rodziny. Na pewno był we władaniu naszego pradziadka Franciszka potem przejął go dziadek Michał, potem jego syn Jan, a potem stał się własnością publiczną, a zawładnęły nim Lasy Państwowe. Wtedy też został nobilitowany i stał się **POMNIKIEM PRZYRODY**. Bez wątplenia jest najstarszym drzewem w okolicy. Okolica, to pojęcie bardzo nieprecyzyjne. Dla piechura, to tylko kilka kilometrów, dla rowerzysty już może być większa, a dla właściciela samochodu kilkadziesiąt. Okolica, to jakaś powierzchnia? Raczej niesprecyzowana. Koło? Inna figura geometryczna? Tego się nie precyzuje. Dąb na pewno rośnie w

Przechrześciu – kto tę nazwę jeszcze pamięta? Na Łysej Górze? Jaka ona była, kiedy wokół lasy? Dawniej była. Wszystko na opak. A więc dąb rośnie w okolicy Mierzwic Starych, w Gminie Sarnaki, w Powiecie Łosice. W ten sposób udało nam się dziadka zlokalizować. Pola, na których wyrósł zawsze związane były z Mierzwicami. Rósł tu od zawsze. Tak można, to określić biorąc pod uwagę długość życia pojedynczego człowieka.

Ziemia, na której wyrósł należała do najgorszej klasy, którą w zamierzchłych czasach nazywano przepodłą. To były piaski okraszone żwirami, pełne różnej wielkości głazów przywleczonych ongiś z dalekiej Skandynawii przez lodowiec, jak, to się chętnie dzieciakom opowiada. Wokół dębu ciągnęło się pole, na którym rosło rachityczne żytko, czasem zasiewano je seradela lub łubinem. Te rośliny przy wystarczającej ilości wilgoci nieźle radziły sobie, nawet na piaskach. Seradela i łubin, to ta sama rodzina motylkowatych, rośliny, które przy pomocy bakterii brodawkowatych potrafią wykorzystać azot występujący w atmosferze, wobec tego nawet na lichych gruntach dawały nieźle plony, a poza tym je użyźniały. Koło dębu siano również grykę, która tu się udawała.



Fot.36. Dąb. Koniec lat sześćdziesiątych XX wieku

.Dąb rósł na polu. Niewielki las istniał od strony południowo – zachodniej o szerokości kilkudziesięciu metrów i długości pół kilometra, początkowo należał do naszego dziadka Michała, a potem do jego synów: Jana i Bronisława, Z



Fot.37. Fragment dawnej drogi „hołowczyckiej” biegnącej w pobliżu dębu. Widok współczesny

prawej strony las miał jeszcze pięciu właścicieli, ponieważ rósł na ich działkach, ale ciągnął się tylko dwieście metrów przylegając do lasu naszych rodziców. Wszędzie królowały pola. Od połowy wsi, na posesji Maksymiuków zaczynała się polna droga prowadząca do mierzwickich pól i do Hołowczyc. Pamiętam ją, jako niezwykle kamienistą, pełną głębokich kolein i wybojów, wspinającą się cały czas pod górę. Mniej więcej w połowie odległości od lasu kamienie się kończyły, a zaczynał się „zakalisty” piach.

Podczas suszy koła chłopskich wozów zapadały się w głębokie, piaszczyste koleiny sięgające do połowy szprych. Droga biegła obok dębu. Tutaj była już tylko piaszczysta. Cały czas pięła się pod górę. Sto metrów dalej zaczynał się państwowy las. Pod lasem biegła droga graniczna i tu obie się krzyżowały. Państwowy las istniał od bardzo dawna, być może jego przodkiem były pradawne puszcze pokrywające Ziemię Podlaską.

Dąb był widoczny z różnych miejsc w pobliżu wsi. Doskonale go było widać z drogi prowadzącej do Sarnak. Zawsze tkwił w zabużańskim pejzażu oglądanym od stacji kolejowej w Siemiatyczach, aż po Moszczonę Królewską, a nawet widoczny był z dalekiego Drohiczyzna, z tamtejszej Góry Zamkowej. Robił wrażenie małej zielonej kulki przycupniętej w pobliżu sinego pasma lasu. Doskonale był widoczny z lotu ptaka. Wojsko o nim nie zapomniało i oznaczyło na swoich sztabówkach, W czasie wojny jego znaczenie docenili Niemcy. Od października 1939 roku do czerwca 1941 istniała na Bugu granica. Za Bugiem rządząli sowioci. Dwa „zaprzyjaźnione” narody za bardzo sobie nie ufały i mimo wielkiej miłości, i licznych spotkań na różnych szczeblach łącznie z wymianą papierosów między pogranicznikami, na granicznym moście, wzajemnie się podglądali. Soso budował bunkry i po cichu przygotowywał się do ataku na zachód. Adolf tylko myślał o ataku na wschód. Piękny i okazały dąb okazał się wspaniałym miejscem do oglądania dość płaskiej, w tym miejscu, północno-wschodniej doliny. A tam działo się wiele rzeczy ciekawych. Na dębie szybko zbudowano punkt obserwacyjny w postaci specjalnej platformy dobrze ukrytej wśród listowa wielkiego drzewa. Nazywaliśmy je widetą, chyba tak je nazywali nasi



Fot.38. Ta sama droga ten sam dąb, ale korona bardzo „przejrzysta”



Fot.39. Tu widać wielką ranę zadaną drzewu przez piorun

nieproszeni goście. Rzeczywiście z pomostu rozciągał się ciekawy widok na pobrzeże Bugu od Mielnika po Drohiczyn. Można się delektować wspaniałymi widokami, jaki oferuje przyroda, ale również można było doskonale się przyjrzeć działalności sojuszników bez narażania się na bezpośrednią konfrontację.

To już historia i wcale tu nie chodzi o wojnę, ale znikły pola, pojawił się las. Wyrosły drzewa. Dąb znalazł się w jego środku. Znikły wspaniałe widoki. Co najwyżej możemy obejrzeć korony pobliskich sosen, które już zdążyły dorównać wysokością sędziwemu drzewu. Nie ma dawnych widoków. Na początku lat sześćdziesiątych przydarzyło się nieszczęście. W owym czasie Podlasie, w letnim sezonie nawiedzały częste burze. Klimat był bardziej

wilgotny. Na wschodzie istniało bagniste Polesie. Co się wydarzyło? Można powiedzieć krótko. Wielka katastrofa dla drzewa. Uderzył piorun. Wcześniej zapewne też nieraz uderzały pioruny, ale ten był wyjątkowy. Morderczy. Prawdziwy bandyta. Prawie od samego szczytu do ziemi rozłupał pień na dwie

części. Pień się nie rozleciał, był potężny, ale na pniu od strony północnej pojawiła się wielka rana, kora została zniszczona i odkryte żywe drewno.

To była katastrofa. Wyrok śmierci. Do wnętrza drzewa szeroko otworzono drzwi dla wszelkich organizmów czyhających na mocarza. Dostały się grzyby, a grzyby, to rozkład drewna. Wnętrze pnia zostało poważnie uszkodzone. Dopiero po kilkudziesięciu latach blizna została zamknięta przynajmniej częściowo, ale wróg już buszował we wnętrzu. Drzewo nie mogło sobie z nim poradzić. To, stąd wywodzą się rozrzedzone korony, rachityczne liście i wiele uschniętych konarów. Widać wyraźnie niedomaganie olbrzyma. Już wyrok został wydany. Drzewo również umiera. W odróżnieniu od zwierząt i człowieka umiera długo. Mogą to być dziesiątki lat. Kres musi przyjść. Żadna żywa istota nie jest wieczna. Każda ma swój początek i każda swój koniec. Tylko człowiek marzy o wieczności i wierzy, że kiedyś ją osiągnie. Oczywiście nie każdy.



Fot.40. Korona. Widać, jak bardzo jest prześwietlona

Od zarania wieków drzewu towarzyszył krzyż. Starzy ludzie opowiadali, że tu były dwa krzyże po obu stronach drzewa. Z jakiej okazji zostały postawione, gdzieś na polu i to nie na rozstajnych drogach, na końcu wsi, na jakimś grobie,



Fot.41. Ten krzyż urodził się w 1772 roku

jak to praktykowano, a pod drzewem na skraju polnej drogi? Nie wiemy. W miejscu specjalnie niczym nie wyróżnionym. Nikt nie wiedział? Czy oba stanęły w tym samym czasie? Też nikt nie potrafił odpowiedzieć na to pytanie. Jeden runął prawdopodobnie w ostatnich latach dziewiętnastego wieku. Nikt go nie podniósł. Nie postawił. Chyba za bardzo nie przywiązywano wagi do krzyża pozbawionego pasyjki, a może władze nie pozwalały. Krzyż był łaciński, a więc katolicki, a to były czasy prześladowań unitów. Ówczesnym władcom bardzo przeszkadzał. Ktoś go zabrał, porąbał i spalił. Ten, co został, był zrobiony z trwałego materiału, z wiekowego, polnego dębu.

Robak się go nie imał i zgnilizna nie brała. Został jeden. Też się chylił ku upadkowi. Znaleźli się ludzie, którzy go wsparli, oczyścili, wzmocnili, i na nowo ustawili. A byli, to dwaj bracia: Broniek i Janek. Zrobili, to już w wolnej Polsce, na początku lat dwudziestych. Ojciec kazał im, to zrobić, a może zrobili z potrzeby serca? Ten znak wiązał się z polskością. Oni czuli się Polakami, chociaż urodzili się jeszcze pod carskim butem. Na poprzeczce i na pionowej belce był jakiś napis, prawdopodobnie zapisany w języku łacińskim, była też data postawienia krzyża. Dała się odczytać, jako 1772. A więc krzyż powstał jeszcze w wolnej Polsce, bo te ziemie dostały się pod obce panowanie, dopiero

po trzecim rozbiorze. To tu, przez krótki okres stykały się granice trzech państw zaborczych. Jak się okazało przetrwał okres niewoli, wielkich prześladowań, kilka większych wojen, kilka mniejszych. Widział płonące Mierzvice, podczas Pierwszej Wojny Światowej, Najazd Bolszewicki, Drugą Wojnę Światową, okupację niemiecką. Korzystali z dębu, jako widety, ale krzyża nie zaczepiali. Sowieckie wojska tędy nie szły, więc go nie zniszczyły.



Fot.42. Fragment krzyża ze śladami napisów

Miejscowi, miejsce w pobliżu dębu z krzyżem nazywali Przechręściem. Nazwa jest stara i wiąże się z krzyżem, a nie z dębem. Dąb jest stary, ale krzyż też dożył sędziwego wieku, bo jest to krzyż oryginalny, wykonany w osiemnastym wieku. Zabiegi, jakie nad nim zostały wykonane, należy raczej zaliczyć do konserwatorskich. Wróćmy do nazwy tego malutkiego fragmentu Podlasia. Mierzvice zamieszkiwała ludność, która posługiwała się gwarą białoruską, albo chachłacką, sami

określali się, że mówią po prostemu, wówczas okolice dębu z krzyżem nazywano Perechrestiem. Z bratem Grzegorzem nie mogliśmy rozszyfrować znaczenia terminu. Pod krzyżem nie odbywały się żadne tajne nabożeństwa unitów. Nie było tam żadnych chrztów, ani ślubów. Te odbywały w lasach, w dobrze ukrytych miejscach. Nazwa wiązała się z bardziej prostym rytuałem. Po prostu, każdy rolnik spieszący do pracy na swoim zagonie przechodząc przed krzyżem zatrzymywał się, żegnał się i wędrował dalej.



Fot.43. Widok dębu i krzyża z drogi od strony Mierzwic.

Od dawna jest praktykowany przez wczasowiczów zwyczaj zdobienia krzyża polnymi lub leśnymi kwiatami. Chętnie, to robią dzieci, ale takie zachowania zdarzają się i dorosłym. Warto zauważyć, że krzyż i dąb są nierozzerwalnie ze sobą związane od prawie dwustu pięćdziesięciu lat.



Fot.44. Tu należy skręcić

Do dębu łatwo dojedziemy skręcając w prawo lub w lewo (w zależności, z której strony jedziemy) w kierunku lasu, na polną drogę, prowadzącą do Hołowczyc, tuż za (przed) białym domem przy podjeździe na najwyższe (zjeździe z najwyższego) wzniesienie(a) szosy w Mierzwicach. Z drogi chętnie korzystają grzybiarze, bo jest ogólnodostępna, spacerowicze, a także ci, którzy chcą szybko dojechać do Hołowczyc.

IV. Martwa natura

Ongiś tu był skraj lasu. Od wschodu, południowego wschodu, południa i południowego zachodu ciągnęły się: nędzne, piaszczyste, nieurodzajne, „przepodłe” grunty uprawne. W owym czasie wykorzystywano każdy, najmniejszy splachetek ziemi pod uprawę. Starzy ludzie, z naszej młodości, pamiętali jeszcze czasy, kiedy stosowano coś w rodzaju trójpolówki. Na słabszych gruntach, co kilka lat pozostawiano odłogi. Pasło się tam krowy lub owce. To była jedna z metod zachowania, w miarę, jako, takiej żyzności gleby. Plony były liche, a gąb do wyżywienia przeważnie sporo. Ta część terenu ciągnąca się prawie od gościńca, prowadzącego do Sarnak, do granicznej drogi oddzielającej państwowe lasy na południowym wschodzie, od mierzwickich gruntów nosi nazwę Łysa Góra. Od południowego wschodu wyznacza ją droga łącząca gościńiec z Płoszczą. Od strony Mierzwic wyraźnej granicy nie ma.



Fot.45. Najwyższy punkt w południowej części Łysej Góry. Szczyt zwieńcza wielki, granitowy głaz

Według przekonania, a może wiary dawnych mieszkańców okolicy, Łysa Góra była postrachem burz idących z południa. Po prostu je przepędzała. Podobno bardzo rzadko się zdarzało, aby burza idąca z południa przeszła nad Mierzwicami. Najsilniejsze nawałnice szły z zachodu i północy, a z rzadka zdarzały się ze wschodu. Z południa prawie nigdy. Obecnie Łysa Góra zarosła i straciła łysinę i prawdopodobnie zatraciła magiczną moc rozpędzania burz zmierzających z południa. Mierzwickie pola w

zdecydowanej większości zamieniły się w państwowe lasy. Ostania wichura, która spustoszyła sporą połąć lasu w okolicach Mierzwic i Fronołowa akurat wyszła z południa, Teraz tę część Podlasia burze nawiedzają rzadko, częściej padają, w środku lata, jesienne deszcze, chociaż nie przesadzają w obfitości. Kraina odczuwa niedobór wilgoci.

Na południu jest niewielkie wzniesienie przypominające regularny stożek z centralnie osadzonym wielkim, granitowym głazem. Kamień o średnicy większej, niż dwa metry jest największym głazem w okolicy. Nieco większy granitowy okruch można znaleźć



Fot.46. Wielki głaz w Rezerwacie Zabuże

w Rezerwacie Zabuże. Należy na Wysokości Wysokiego Łądu, tuż za ostatnim ośrodkiem czasowym, skręcić na dobrze oznakowaną ścieżkę prowadzącą do Rezerwatu i przespacerować się trzysta, czterysta metrów w głąb lasu. Powinniśmy z lewej strony zauważyć wielki kamień ogrodzony prowizorycznym płotem z nieobrobionych krzywych żerdzi. W odróżnieniu od tego głazu z Łysej Góry, ten leży wśród drzew, na płaskiej powierzchni i jest znacznie mniej zerodowany.

Wracając do głazu leżącego w południowej części Łysej Góry. W oczy postronnego obserwatora rzuca się obraz regularnego stożkowatego wzniesienia z wielkim kamieniem na jego szczycie. Można się zastanawiać czy to obiekt naturalny, czy też sztuczny? Sylwetką przypomina kurhan z wielkim kamieniem ułożonym na szczycie. Jeżeli, to miałby być kurhan, to musiał być bardzo stary, usypany przez ludy kultury stepowej, bo na ukraińskich stepach takie obiekty się spotyka. Dawniej góra była znacznie wyższa.



Fot.47. Wielki Kamień w świetle pełnego dnia

Piaszczysta konsystencja wzniesienia została rozmyta przez padające od wieków tu deszcze, a w szczególności ulewy. Sztuczne ludzkie twory ziemne z biegiem czasu ulegają erozji, jako przykład nam znany, możemy przytoczyć ziemne wały, wybudowane w 1940 roku wokół niemieckiej strażnicy we Fronołowie. Zachowały się do dzisiaj. W pierwotnej postaci miały wysokość około dwu metrów, a teraz zmalały do metra. Otaczający je rów zniknął prawie zupełnie, a



Fot.48. Wielki kamień widziany z bliska

od momentu ich powstania upłynęło niespełna osiemdziesiąt lat. Środowisko jest wybitnie piaszczyste i bardzo niestabilne.

To są dywagacje, nie muszą być prawdziwe. A, co o tym kamieniu mówili ludzie zamieszkujący Mierzvice?

W pobliżu tego kamienia, na wzgórzu ukryty jest skarb. Oczywiście znaleźli się poszukiwacze, którzy w tajemnicy przed innymi próbowali przekopać wzgórze, w pobliżu kamienia. Robili to w tajemnicy. Zważywszy na

fakt, że górka i kamień były własnością prywatną. Czy coś znaleziono...? Nie wiemy... Takimi wiadomościami szczęśliwi znalazcy nie chwalili się. Nawet nie wiemy, kto próbował go znaleźć? Żadna poważniejsza fortuna w pobliżu też się nie objawiła, więc należało sądzić, że skarbu nie znaleziono. Gdyby to był kurhan, wówczas pogłoska mogła okazać się prawdziwa. Kurhany budowano dla wodzów, a z nimi chowano również cenne rzeczy.

W pobliżu tego kamienia straszy. Przekaz słaby i niezweryfikowany. W nocy praktycznie nikt tędy nie chodzi. Do drogi daleko, a droga i tak jest leśna.

Rzeczywiście kamień i wzgórze wyglądają niesamowicie oglądane, podczas pełni księżyca, w odległości trzydziestu, czterdziestu metrów od glazu. Trzeba się ustawić tak, aby księżyc świecił od strony kamienia, wtedy rzeczywiście obrazy, jakie nam się jawią, mogą być źródłem, wielu nieznanym, normalnemu śmiertelnikowi przeżyć. Wytwarza je specyficzny nastrój. Brak hałasów ludzkiej cywilizacji, srebrzyste światło księżyca, odgłosy lasu, pohukiwanie puchacza, trzask łamanych gałęzi pod nogami większych zwierząt i wielki, tajemniczy glaz na górze. Czasem pojawi się rogacz na tle księżyca i kamienia. Tego się nie zapomina. Robimy to sami, we dwoje lub w bardzo małej, ale zdyscyplinowanej grupie. Jesteśmy tu gośćmi, więc musimy zachować się, tak, jak przystoi przyzwoitym gościom.



Fot.49. Skręcany w tę drogę...



Fot.50. ... potem, w prawo...

W dawnych czasach, jak opowiadały nam nasze babcie, w pełni księżyca tańczyły tu czarownice i duchy lasu: dziewanny, wiły, a kamień zapewne doznawał czci od pierwotnych mieszkańców krainy. Ślady dawnego osadnictwa sięgają ośmiu tysięcy lat. Dolina Bugu od dawna cieszyła się uznaniem ludzi. Napływali z różnych stron. Najwięcej z południowego wschodu i ze wschodu. Korzystali z wygodnej arterii, jaką był Bug i Muchawiec. Przybywali także z północy i zachodu. Tym było trudniej, ale, jakoś sobie radzili.

Do „kurhanu” najlepiej wyruszyć spod dębu. Należy iść w kierunku Hołowczyc, jakieś sto metrów. Spotykamy słabo wyjeżdżoną drogę przecinającą hołowczycką. Skręcamy w prawo i idziemy, jakieś pół kilometra. Mijamy niewielkie wzniesienie, schodzimy po łagodnym stoku w dół i skręcamy w prawo, w pierwszą, lepiej wyjeżdżoną, piaszczystą drogę. Wypatrujemy po prawej słabo widocznej ścieżki. Powinniśmy ją zauważyć w odległości stu pięćdziesięciu, dwustu metrów od początku nowej drogi, którą aktualnie idziemy. Skręcamy w prawo i idziemy przed siebie obserwując prawą stronę lasu. W odległości dwustu metrów powinniśmy zauważyć na wyraźnym wzniesieniu poszukiwany glaz.



Fot.51. ...jeszcze raz w prawo na ledwie widoczną ścieżkę

Dla tych, którzy mają niezłą orientację w lesie proponujemy trasę przez las, skręcając tuż za dębem w prawo, na ledwie widoczną drogę, która powinna doprowadzić wędrowca do poszukiwanego kamienia. Do przebycia mielibyśmy około sześciuset metrów, słabo widocznej leśnej drogi. Można się posłużyć kompasem zachowując cały czas kierunek, jaki ustaliliśmy na wspomnianej już drodze, tuż za dębem.

Mówimy o pomnikach przyrody. Pomnikami były drzewa, ale za pomniki możemy uznać naturalne obiekty martwe, jakimi są głazy. Podlasie, to kraina kamienista, w szczególności ta nadbużańska część. Wspominaliśmy o wielkim kamieniu w Rezerwacie Zabuże i, o tym na Łysej Górze. Warto wspomnieć o jeszcze jednym, wielkim głazie, który w czasach naszego dzieciństwa tkwił w korycie rzeki, mniej więcej na wysokości świetlicy - remizy zlokalizowanej w Mierzwicach. Piszemy w czasie przeszłym, ale to nie znaczy, że głazu nie ma tylko skrył się pod ziemią i, od jakiegoś już czasu jest niewidoczny. Koryto przesunęło się na północny wschód i głaz wrósł w łód odsunięty o kilkadziesiąt metrów od współczesnego łóżyska rzeki. Żyje jeszcze trochę ludzi, którzy go pamiętają. To są nieliczni mieszkańcy Mierzwic teraz już sędziwi ludzie, jak i ci, którzy tu spędzili dzieciństwo, a rozproszyli się po całym kraju szukając swego miejsca egzystencji. Sądzymy, że znajdują się jeszcze dzieci letników, które przyjeżdżały z rodzicami czy babciami na letnisko do Mierzwic, w końcu lat czterdziestych i w latach pięćdziesiątych poprzedniego wieku i tu w pobliżu kamienia, na wielkiej piaszczystej łasze spędzali wiele czasu, podczas letniej kanikuly. Tutaj powstawały szałowe zamki, ciekawe budowle hydrotechniczne, kanały, stawy rybne, a zabawom nie było końca. Płytkie wody i gładkie, piaszczyste dno zachęcało do bezpiecznej kąpieli, oczywiście pod czujnym okiem dorosłych. Kamień, wtedy już tkwił na płyciźnie w pobliżu brzegu. Za nim



Fot.52. Prawopodobnie tu znajdują się wielki kamień, który przed laty tkwił w korycie rzeki

utworzyło się trochę głębsze bajoro wypłukane przez prąd rzeki, w którym z przyjemnością się wylegiwano po pływaniach w chłodniejszej wodzie, w głównym nurcie. W pobliżu kamienia istniało kąpielisko, z którego korzystały dzieci. Zgodnie z dawnym obyczajem w Bugu można było zażywać kąpeli dopiero po świętym Janie (24 czerwca). Święty powinien poświęcić wodę, aby była bezpieczniejsza i nie wywoływała chorób. Miało to praktyczne znaczenie, bo po mroźnych i śnieżnych zimach, na wiosnę wody rzeki zalewały dolinę, i były wysokie. Do końca czerwca znacznie opadały i się nagrzewały. Woda była cieplejsza, a liczne łachy pozwalały na brodenie po

płyciżnach, pojawiały się plaże, również w pobliżu kamienia. Piaski w owym czasie jeszcze były jasne i czyste, a wody bużańskie dość przezroczyste. W wodzie po pas można było zobaczyć swoje stopy. O czystości wody świadczyły liczne skótki i szczeżuje, które żłobiły w piasku charakterystyczne bruzdy, Nazywaliśmy je żabami, chociaż były małżami, więc zwierzętami znacznie niższymi. Teraz ich prawie wcale nie ma. W latach młodości naszych rodziców kamień znajdował się daleko w korycie, prawie na środku rzeki. Kiedyś wydarzył się przy nim nieszczęśliwy wypadek. Utonął chłopak, mieszkaniec wsi. Tam, gdzie się, to wydarzyło nie było głęboko, tylko do kolan. Była niedziela, a on nad rzeką znalazł się sam.

To był naprawdę wielki kamień ... I to nie on wędrował... Kiedyś woda znowu go odstłoni.

D. Technika – Mierzvice Stare (Zawody)

I. Smolarnia (majdan)

Największym zakładem produkcyjnym niezwiązanym bezpośrednio z rolnictwem, jaki istniał w Mierzwicach, bez wątpienia była smolarnia. Nie wiemy, kiedy została zbudowana. Być może jeszcze w dziewiętnastym wieku. Podstawą jej istnienia były okoliczne lasy i zapotrzebowanie na artykuły pochodzące z lasu, ale odpowiednio przetworzone. Od bardzo dawna w lasach egzystowali smolarze, albo węglarze, a ich profesje zależały od produktu, jaki swoją działalnością tworzyli. Oczywiście chodziło o węgiel drzewny, który otrzymywano w mielerzach od bardzo dawna, a który miał liczne zastosowania, a najważniejsze w procesie wydobywania żelaza z rud darniowych. Smolarze produkowali: smołę, dziegieć, a z popiołu potaż, który był potrzebny do wyrobu



Fot.52. „Metry”. Takimi szczapami ogrzewano komorę destylacyjną

prochu, a więc również do jego produkcji musiał być włączony las. Lasy, jak nam się wydaje, zawsze były, albo królewskie, albo carskie, albo państwowe. Gospodarskie zajmowały niewielkie obszary, bo rolnicy uprawiali, nawet bardzo liche grunty. Pod zalesianie przeznaczano rzeczywiście bardzo złe ziemie, a poza tym kondycja lasów gospodarskich była wyjątkowo zła.

Grube pokłady wiórów powstałych w wyniku rąbania, tak zwanych „metrów” i karpiny wskazywały na długotrwałe istnienie smolarni.

Szczególnie było to widoczne od strony piaszczystej drogi prowadzącej od wsi w kierunku Klepaczewa i Serpelic. Smolarnia zwana Majdanem mieściła się na placu aktualnie użytkowanym przez Ośrodek Bankowców. Głównym obiektem smolarni był wielki piec zakończony kopułą i kominem. Zlokalizowany w północno-zachodniej części placu, w pobliżu krawędzi wzgórza. W dole, równoległe do krawędzi doliny płynął strumyk zwany Rzeczką. Pod kopułą znajdowała się komora, w której poddawano suchej destylacji sosnową karpinę. Palenisko znajdowało się od strony wsi, dostęp do niego blokowały wielkie żeliwne drzwi, a wejście mieściło się w specjalnym, obmurowanym ceglami dole. Palono suchymi sosnowymi szczapami, które nazywaliśmy „metrami”, bo długość takiej szczapy wynosiła jeden metr. Leśnicy z upodobaniem przygotowywali w lesie w ten sposób drewno opałowe. Staszek Szymański twierdzi, że pamięta stojące obok tego pieca urządzenie wykonane z błyszczącej blachy, w postaci dużego walca połączonego rurami z komorą destylacyjną. Prawdopodobnie tu otrzymywano



Fot.53. Tu kiedyś była smolarnia

terpentynę z części lotnej substancji powstających w wyniku suchej destylacji karpiny. Głównymi produktami otrzymywanymi w smolarni była terpentyna i węgiel drzewny, a ubocznymi dziegieć i smoła, a właściwie pak drzewny. Na rzeczce zbudowano z drewnianej cembrowiny coś w rodzaju studni, nadbudowano ją wieżą z drewnianych słupów. Na jej szczycie znajdowało się stanowisko robotnika, który przy pomocy kołowrotu i dwu naprzemiennie zamocowanych wiader przelewał wodę z rzeczki do drewnianego koryta odprowadzającego ją do cylindra. Zdaje mi się, że używano jej do chłodzenia urządzenia. Wtedy lata były znacznie wilgotniejsze, niż obecnie, a zimy mroźne i śnieżne, poziom wód gruntowych wysoki i w rzeczce nigdy nie brakowało wody. W różnych miejscach doliny znajdowały się źródła oferujące zabłąkanym podróżnym czystą i smaczną wodę. Od strony lasu dolina Rzeczeki była mocno zabagniona. Ślady dawnej świetności można oglądać do dzisiaj. Suche lata i prawie bezśnieżne zimy nie są w stanie odbudować wystarczająco wysokiego poziomu wód gruntowych. Strumyk ledwie cieknie, a są okresy, że wcale nie płynie. Jest jeszcze inna różnica. W okresie wiosny prawie wcale nie słychać kumkania żab. Dawniej były ich tu krocie. Okolice Majdanu umiłowały zaskrońce. Spotykało się je tu często. W odróżnieniu od żab zaskrońce są tu nadal, a może nawet jest ich więcej. A to, dlatego, że znikli rolnicy, którzy użytkowali okoliczne łąki. Teraz prawie ich nikt nie kosi, a więc kryjówek jest sporo i zaskrońce mają się zupełnie dobrze. Gorzej z żabami. Lubią czyste wody, w których mogą złożyć skrzek. Wody były zanieczyszczone chemicznie i żaby ginęły. Teraz wykańczają je jeszcze samochody. Szczególnie dobrze, to widać na wiosnę, kiedy płązy ze wszystkich stron zbiegają w kierunku starorzeczy nad Bugiem i po drodze muszą przekraczać dość ruchliwą szosę. Nie zawsze potrafią skorzystać z przepustów biegnących pod jezdnią, więc giną. No tak. Miało być o smolarni, a skończyło się na żabach. Na usprawiedliwienie warto zauważyć, że często szukały schronienia wewnątrz cembrowiny. Nie była szczelna, szparami dało się przecisnąć, a poza tym studnia wykorzystywana była tylko sporadycznie. Istniała pełna koegzystencja. Wracamy do smolarni.

Karpinę razem z pniakami pozyskiwano w lesie z sosen ściętych przynajmniej przed siedmioma laty. Do smolarni przywożono ją w postaci rozdrobnionej i oczyszczonej z piachu i kamieni. Wszystkie roboty wykonywano ręcznie, a przy jej pozyskiwaniu pracowało kilku młodych mężczyzn. Byli to mieszkańcy Mierzwic. Nie trzeba nikogo przekonywać, że praca należała do tych wyjątkowo ciężkich.

W czasie zimy smolarnia nie pracowała. Drewno służące do ogrzewania i, to poddawane destylacji, musiało być suche. Najlepszym okresem pracy była późna wiosna, lato i wczesna jesień. Najważniejszym produktem był węgiel drzewny i terpentyna. Dawniej węgla używano do produkcji prochu, w



Fot.54 Ten korzeń sosny mógłby być karpiną

hutnictwie. Kowalom też był potrzebny do rozgrzewania palenisk w kuźni. Potem okazało się, że dobrze pochłania różne szkodliwe gazy, a to za sprawą porowatej struktury. Pochłanianie, to proces powierzchniowy. Węgiel drzewny ma bardzo dużą powierzchnię czynną. W wojsku wykorzystuje się go do napelniania pochłaniaczy masek przeciwgazowych. Eksperymenty z gazami bojowymi, a w szczególności z chlorem, jakie przeprowadzili Niemcy, na Francuzach i Anglikach zmusiły wojaków do poszukiwania środków obrony przed truciznami. Wtedy jeszcze nie grillowano. To wynalazek znacznie późniejszy. Przełom dwudziestego i dwudziestego pierwszego wieku. Dziegciu używano do dezynfekcji i odkażania. W wiejskich szkołach smarowano nim drewniane podłogi. Używano go w charakterze pyłochłonu. Podobno mikroorganizmy go nie znosiły. Dziegciem zwalczano wszawice i choroby skóry, a więc działał antyseptycznie.

W czasie wojny smolarnia pracowała pełną parą. Niemcy potrzebowali aktywowanego węgla i terpentyny. Inne produkty też cieszyły się znacznym zainteresowaniem. Została zlikwidowana już w czasach komunistycznych. Zdaje nam się, że na początku lat pięćdziesiątych poprzedniego wieku. Ostatnim właścicielem był Władysław Monsjol. Zdarzały się pożary. Najczęściej zapalały się w komorze destylacyjnej zebrane gazy i karpina. Też należała do materiałów



Fot.55. Współczesny wygląd miejsca po dawnej smolarni, od strony Rzeczki

łatwopalnych, ponieważ wysycona była żywicą. Przynajmniej jeden pożar smolarni pamiętam. To było, gdzieś około roku 1948, albo 1949. W pewnym momencie zobaczyłem słup czarnego dymu, który wznosił się aż do chmur. Wiatru nie było. Strażacy przypędzili do remizy konno, to ci, którzy zobowiązani byli do stawienia się, podczas alarmu ze zwierzętami. Szybko zaprzężono dwójkę koni do wozu, na którym stała zamocowana ręczna sikawka, a po jednym do dwu beczkowsów wypełnionych wodą.

Strażacy do pożaru mieli blisko. To tylko jeden kilometr drogi pokrytej kocimi łbami. Trzeba zauważyć, że bruk we wsi został ułożony w okresie międzywojennym. Kończył się przed rzeczką. Dalej była zwyczajna, piaszczysta i kręta droga leśna. Pożar szybko ugaszono, ale widok nie był przyjemny. Przed wojną również smolarnia się czasem paliła. Potem trzeba było naprawiać komorę destylacyjną i cały piec. Na szczęście pożar nigdy się nie rozprzestrzenił, ani na skład drewna opałowego, ani na hałdy karpiny.

Jak wiele rzeczy w naszym życiu opisane budowle należą do przeszłości, umarły razem z mieszkańcami, którzy tu pracowali, albo tylko oglądali z daleka, z drogi. Nic nie ocalało poza miejscem, w którym funkcjonowała. Na początku przyszedł las, sam, nikt go nie sadził. A potem zabudowano domkami kempingowymi. W czasach średniego Gomułki, po zelektryfikowaniu wsi zbudowano tu ośrodek wypoczynkowy bankowców. A więc wzgórze

posmolarniane zawłaszczyli bankowcy, ziemia należała do Państwowych Lasów. Została wydzierzawiona na 99 lat. W tej chwili ośrodek podupadł, ponieważ w wolnej Polsce zabrakło pieniędzy na takie instytucje. Wokół też wiele się zmieniło. Na Zaskiepiu (tak nazywa się półwysep w pętli Bugu) wyrósł las, dawniej było pastwisko porośnięte rachityczną trawą. Pasyły się na nim krowy, a raczej udawały, że się pasą, bo jedzenia nie miały. Na północno zachodniej stronie były wielkie plaże, na których wypoczywały, podczas południowej sjeisty, częściej stały w wodzie, tu bardzo płytkiej. Tylko denerwowały wczasowiczów coraz tłumniej odwiedzających zakole, ponieważ brudziły czysty piasek. Krowy opuściły Mierzvice. Sowieci osuszyli poleskie bagna, wody Muchawca skierowali do Prypeci. Klimat się osuszył. Bug przestał zalewać półwysep, więc zawłaszczyły go sosny. Nikt ich nie sadził, tylko Pan Bóg. Łąki przylegające do byłego Majdanu zamieniły się w dzikie ostępy zarośnięte olchami, krzakami i innymi roślinami uwielbiającymi bardziej wilgotne środowiska. Właściciele wymarli. Piaszczysta droga pod koniec Peerelu otrzymała nawierzchnię asfaltową i stała się szosą.

Zapewne kopiąc fundamenty pod domki natrafiano na grube warstwy humusu wytworzonego ze zbutwiałych wiórów, może znajdowano jakieś fundamenty, a może wykopywano bryłki czarnego paku przemieszanego z ziemią... To dawne czasy. Budowniczości też już pewnie odeszli z tego świata.

II. Kuźnia

Ongiś zawód kowala na wsi i w małych miasteczkach należał do najbardziej cenionych i prestiżowych. Kowale wykonywali narzędzia i różne okucia z żelaza, a nawet w pewnym okresie trudnili się wyrywaniem zębów, zanim narodził się zawód cyrulika. W zamierzchłych czasach poprzez kucie uszlachetniali surówkę, otrzymywaną w dymarkach, bo żeliwo wymagało



Fot.55. Tu stała kuźnia

długotrwałego kucia, aby mogło stać się żelazem, jak je popularnie nazywano. Poprzez długotrwałe kucie surówka się uplastyczniała, zatracala wrodzoną kruchość i nadawała się do wyrobu narzędzi. Zamieniała się w stal węglową. W Mierzvicach zapewne istniała kuźnia od bardzo dawna. Jej początki giną w mrokach przeszłości.

Najstarszy zapis o obecności kowala w Mierzvicach pochodzi z roku 1662. A oto jego oryginalna treść spisana z Kroniki Parafii Sarnaki przez Grzegorza:

„Tegoż dnia 8 Ibris [września]... żona imieniem Wowda Denisa [?] Kowala z Mierzvic oddała dzięki Bogu i Matce Jego Najświętszej i teź jej dziecię chorobą wielką a bardzo ciężką złożone, będąc

w poniedziałek z mej perswazji, aby na dzień Narodzenia Panny Przenajświętszej nieśli je do kościoła i w domu je zaraz ofiarowali na to miejsce. Gdy to uczynili, otrzymali pociechę, że dziecię zdrowe zostało. Co wpisałem zaraz In perente memorial. Ja X. Stanisław Rosochaci P.S.”

Odkąd pamiętamy kuźnia zawsze była na końcu wsi, w pobliżu szkoły, przy drodze prowadzącej do Bużki, Klimczyc i dalej. Dawniej droga była piaszczysta, chociaż w okresie międzywojennym we wsi położono bruk, który kończył się w pobliżu kuźni. No cóż! Nasza pamięć, to tylko siedemdziesiąt kilka lat, sięgała dalej dzięki opowiadaniom rodziców, a nawet dziadków. W dzieciństwie matka Andrzeja przyjaźniła się z córką kowala - Zosią, a jej mama od urodzenia mieszkała w pobliżu kuźni, a to przesuwając historię o kilkadziesiąt lat.

Skąd dywagacje o dawniejszej lokacji tutejszej kuźni? Otóż, podczas uwłaszczenia, na podstawie ukazu carskiego z 1863 roku zostały utworzone działki: szkolna na potrzeby tutejszej szkoły oraz kowalska przyporządkowana kuźni, którą zarządzał kowal. Ponieważ kuźnia była posadowiona na gruntach przypisanych Nowym Mierzwicom, więc i działka kowalska znajdowała się na gruntach tej wsi. Krótko mówiąc działka siedliskowa z domem kowala, jego budynkami gospodarczymi oraz kuźnią znajdowała się na gruntach należących administracyjnie do Nowych Mierzwic. Sprawa jest trochę bardziej skomplikowana, bo, jak się okazało, dopiero, podczas pierwszego scalania gruntów, lewostronną część Mierzwic Starych od kapliczki na skrzyżowaniu, do drogowskazu na drodze prowadzącej do Kózek włączono do Mierzwic Nowych. Grunt przeznaczony pod uprawę znajdował się w pasie przyległym do działki siedliskowej, a kawałek znajdował się w innym miejscu. Być może, kiedyś został zakupiony przez właściciela kuźni, niestety ta kwestia nie jest jasna.

Dość zagadkowo jawi się historia Hackiwicza uciekiniera z Mielnika. Młody mężczyzna uciekał przed poborem do carskiego wojska, w którym służba trwała dwadzieścia pięć lat, więc była długa i uciążliwa, zwłaszcza, że imperium wikłało się w ciągle wojny, nieustannie rozszerzając terytorium lub tłumiąc opór podbitej ludności. Uciekinier z zawodu był kowalem. Kupił włókę ziemi, o szerokości około czterdziestu metrów i ciągnącą się do samego Rozwadowa. To prawie cztery kilometry. Nie wiemy, od kogo? Musiało, to być już po uwłaszczeniu. Również nie wiemy, z kim się ożenił? Jego pra-prawnuczka Józia Wojtulewicz też nie wiedziała. Na pewno zapoczątkował nową gałąź Hackiewiczów. Dwa czy trzy klany, o tym nazwisku już w okolicy egzystowały. Nie wiemy czy zbudował kuźnię, czy też podjął pracę w istniejącej. Po ojcu odziedziczył połowę tego majątku Błażej, jego syn. Nikt z jego potomków nie kontynuował zawodu. Pamięć po tamtym incydencie pozostała w przydomku, jaki ten odłam Hackiewiczów zdobył. Potocznie nazywano ich Kowalukami lub Kowaluczkami. Gniazdo nie było zbyt liczne. Zamieszkiwało chatę zbudowaną w najwyższym punkcie Mierzwic Starych. Szczególnie ubogie w męskich potomków. W dodatku jeden z ostatnich



Fot.56. A tu mieszkał kowal

mierzwickich przedstawicieli, tej gałęzi miał same córki, a drugi umarł w stanie bezzennym, więc przydomek przeszedł do historii. Przydomki istnieją tylko w określonym środowisku i giną przy jego zmianie lub zgonie ostatnich przedstawicieli płci męskiej.

Ciągle otwarte jest pytanie? Kiedy w Mierzwicach została otworzona kuźnia? Jest ślad z siedemnastego wieku. Zapewne kowale funkcjonowali wcześniej to jeden z najstarszych zawodów uprawianych przez mężczyzn. Znamy ostatniego



Fot.57. Kuźnia 1985 rok. Widok od strony domu mieszkalnego. Stoi Stanisława Radzikowska bratowa Piotra, ostatniego kowala

kowala i jego poprzednika. Ostatnim był Radzikowski Piotr, a jego poprzednikiem Jan, ojciec Piotra. Właściwie Jan przekazał władzę nad kuźnią dwom swoim synom Piotrowi i Stanisławowi, których wcześniej przysposobił do zawodu. Ostatecznie w kuźni pozostał Piotr. Jako ciekawostkę można powiedzieć, że Jan miał jedenaścioro dzieci, oczywiście nie wszystkie się wychowały. Czy na nich kończy się rodowód kowali w Mierzwicach? Właściwie na to pytanie znamy odpowiedź. Tak.

Kuźni i kowali w Mierzwicach nie ma. Możemy zapytać, od kiedy kowale w Mierzwicach zaczęli egzystować? Tego też nie wiemy. Być może ojciec Jana też był kowalem? Skąd ta rodzina przyszła...? Kiedy się tu osiedlili...? Byli katolikami.

Pewne ślady można znaleźć, jak twierdzi Grzegorz, w archiwum Parafii Sarnaki. Ojcem Jana był Michał, który do Mierzwic przybył samotnie z poznańskiego. Prawdopodobnie został ściągnięty przez zarządcę majątku tu istniejącego. Zapewne poprzedni zmarł i nie zostawił następców. Tu się osiedlił i ożenił z Joanną, z Jodłowskich, być może pochodzącą z Olendrów, bowiem tam liczne klany Jodłowskich egzystowały i, jak nam się zdaje, dalej egzystują. Z tego związku narodził się Jan. Na Podlasie przybył również brat Michała, też kowal, ale osiedlił się za Bugiem, w jednej z tamtejszych miejscowości. To dawałoby odpowiedź na część wcześniej postawionych pytań. Jest jeszcze jedna wątpliwość: poznańskie było pod zaborem pruskim, a Podlasie pod rosyjskim, czyli dzieliła je granica. Oba państwa wobec siebie nie były wrogię, to ułatwiało emigrację. Stamtąd na tereny Rosji przenosiło się wielu rzemieślników.

Kuźnia miała jedno pomieszczenie. Wyglądem przypominała szopę. Ściany zrobiono z balików. Nie było stropów. Dach kryty blachą. Drzwi przypominały wierzeje. Wejście znajdowało się od strony ulicy. Z lewej strony okno. Wewnątrz, przy ścianie południowo-zachodniej było duże, odkryte palenisko. Obok paleniska zainstalowano pokaźnych rozmiarów miech, napędzany siłą ludzkich mięśni przy pomocy odpowiedniej dźwigni i łańcucha z uchwytem dla dłoni. Poruszanie miechem wymagało sporej kondycji. Na środku stało wielkie kowadło, a po bokach mniejsze. Pod ścianą przy wejściu zainstalowano wielką półmechaniczną wiertarkę, wykorzystywaną do wiercenia dużych otworów w grubszych szynach czy innych elementach. W kuźni przede wszystkim robiono

różne narzędzia rolnicze. Często robiono je w całości od podstaw, potem już to były tylko naprawy. Tutaj też się ostrzyło lemiesz do pługów, klepało siekiery, kuto wozy, obciążano stalowymi szynami koła. Wszystko na gorąco. Często stalowe elementy łączyło się przez szwejsowanie. Był to rodzaj spawania bez użycia spawarki. Tutaj podkuwano konie. Podkowy wykonywał kowal ze stali. Czasem konie je gubiły. Wtedy zbierało się je na szczęście, wieszalo nad drzwiami wejściowymi we własnych mieszkaniach.

Dawniej kowale wykuwali bretnale, to długie gwoździe o przekroju kwadratowym z wielkim łbem. Służyły do łączenia belek. Wykuwano mniejsze zwane hufnalami, albo ufnalami, robiło się wrzeciądze i potężne zawiasy, do nich haki, jako zawieszania. Wykuwano charakterystyczne krzyżyki wbijane w lico dłuższej belki drewnianego krzyża często stawianego na cmentarzach.

Prawdziwe kowalskie żniwa zaczynały się przed żniwami i nazywały się w kowalskim slangu sierpówką. Po prostu do kowali zgłaszało się mnóstwo, klientów zamawiających sierpy, jako podstawowe narzędzie żniwne. Jeszcze w czasach tuż powojennych, do Mierzwic ściągali tłumy interesantów zza Bugu, gdzie prawie wszystkie zboża żęto sierpem. Pierwszy autor tego tekstu też próbował posłużyć się tym narzędziem, nawet nieźle mu szło, ale prace zostały nagle przerwane, kiedy udało mu się ostrugać kawał małego palca, aż do samej kości. Sierp rzeczywiście był ostry. Pamiątkę tamtego wydarzenia ciągle nosi ze sobą w postaci pokażnej blizny.

W pobliżu kuźni i w samej kuźni chętnie spotykali się mężczyźni, aby nie tylko wykonać, jakiś obstalunek u kowala, ale również, aby przedyskutować najciekawsze wydarzenia w polityce. Wtedy telewizji jeszcze nie było, nie było elektryczności i świat był znacznie prostszy. Postęp jeszcze nie zaszalał w obyczajach. Wszystko robiło się tradycyjnie. To już tylko historia. Ostatni kowal umarł przed laty. Kuźnię rozebrano, bo nikomu już nie była potrzebna Rolnicy zginęli, konie też. Nawet kur we wsi nie ma. Nie pieją koguty, a krowy jeździ się oglądać na fermach. Czasy się zmieniły. Zawód kowala zszedł do historii. Czasem ktoś para się kowalstwem artystycznym, to już nie rzemieślnik, tylko artysta, a jego wytwory są dziełem sztuki. W Mierzwicach takich nie ma.

Żywot kuźni dopełnił się w 1987 roku, kiedy dawny budynek został rozebrany, plac po nim splantowany. Wnętrze już prawie nic nie zawierało. Narzędzia zostały wyprzedane lub złomowane. Na miejscu kuźni znajduje się dobrze utrzymany trawnik z ozdobnymi krzewami i drzewami, a w pobliżu wybudowano dwa domy, które w okresie letnim zajmują spadkobiercy rodu Radzikowskich.

III. Młyny, wiatraki...

Od zamierzchłych czasów wykorzystywano siły natury i zaprzęgano je do służby człowiekowi. Teraz to nazywa się bardzo nowocześnie: wykorzystywaniem energii odnawialnej. Siły natury zostały upodmiotowione i wyniesione na ołtarze Unii Europejskiej. Myliłby się ten, kto uwierzyłby w

bdzury wyplatane przez propagandystów, że to wszystko robi się dla dobra człowieka, a tak naprawdę dla dobra bardzo nielicznej grupy ludzi, którzy z tego procederu czerpią olbrzymie pieniądze i to nie ci, którzy wytwarzają energię, a produkują urządzenia do jej wytwarzania. Stamtąd do naszych nosów dociera zapach bardzo dużych pieniędzy. a mieszkają, przeważnie w bogatych Niemczech, mniej bogatej Francji i jeszcze w kilku krajach. A z tych źródeł ludzie korzystali od zawsze, od momentu, kiedy doszli do wniosku, że ziarna, niektórych traw można rozetrzeć między kamieniami i z tak otrzymanej mąki wypiekać całkiem smaczne i pożywne jedzonko. Potem skonstruowano żarna. To też dwa kamienie tylko już w urządzeniu bardziej skomplikowanym, wydajniejszym i bardziej sterowalnym. Niestety poruszano je ręcznie. Otrzymano mąkę z lepszego roztarcia całego ziarna. Z niej można było upiec ciemny chleb zwany razowcem. Żarna najczęściej wykorzystywano do przygotowywania kaszy. Grubość ziarna zależała od szczeliny, jaką tworzyły ze sobą oba kamienie, z których jeden spoczywał, a obracał się ten, który był na wierzchu. We Fronołowie takie żarna mieli Szymańscy. Jeszcze po wojnie były używane. W Mierzwicach widziałem je u Żychów. Oni na nich mieli mąkę dla własnych potrzeb. Już bardzo dawno zaczęto zagradzać rzeczki i spiętrzać wodę, aby ją potem wykorzystać do napędu kół młyńskich. W okolicy Mierzwic były dwa młyny wodne: na Sarence w Bużce i na Moszczonie w Szerszeniach po drugiej stronie Bugu. Obie rzeczki nie były bardzo zasobne w wodę. Więc zbudowano specjalne zbiorniki, w których można zgromadzić duże ilości wody. Tak było w Bużce i tak było w Szerszeniach. Moszczona miała większy przepływ, niż Sarenka. Używano kół nadsiębiernych, albo podsiębiernych, to znaczy woda uderzała w łopatki z góry, albo z dołu. Nadsiębierne były prostsze w obsłudze, ale wymagały większego spiętrzenia wód. Podczas mrozów młyny wodne już nie mogły pracować.

Przy drodze prowadzącej nad Bug, na przedłużeniu sarnackiej szosy, w odległości, jakieś dwustu metrów od wiejskiej ulicy, na niewielkim wzgórzu królował wysoki wiatrak. którego wieża miała aż trzy kondygnacje, to już była wyższa szkoła jazdy. Budowniczym i właścicielem był Franciszek Demianiuk. Zbudował go w 1935-tym roku, a więc jeszcze w dwudziestym wieku. Franciszek przejawiał wiele talentów biznesowych, jak i technicznych. Prawdopodobnie widział młyn w Mielniku. Zainteresował się jego konstrukcją. Prawdopodobnie stamtąd pozyskał część wyposażenia wiatraka. A jak twierdził jego syn - Tadeusz, że całe wyposażenie zostało wykonane i zakupione od „Ruskich”. To nie znaczy, że od ówczesnego Związku Sowieckiego, bo oni takimi rzeczami sobie głowy nie zawracali, a handel z Polską raczej nie odbywał się na normalnych warunkach. W Mierzwicach „Ruskimi” nazywano wszystkich prawosławnych obywateli Rzeczypospolitej mieszkających na wschód i północny wschód od Bugu. Niektórzy



Fot.58. To nie jest ten wiatrak, o którym opowiada tekst obok

zainteresowani sami siebie tak nazywali. A zatem „Ruskimi” mogli być i prawosławni mieszkańcy Mielnika. Wiatrak został posadowiony na podmurówce kamiennieo-betonowej, na której umieszczono wyprofilowane w okrąg specjalne szyny, po których mogły poruszać się stalowe wałki. Konstrukcja przypominała wielkie łożysko. Dopiero na nim umieszczono odpowiednią platformę i wieżę wiatraka. U podstawy wmontowano wielką dębową belkę, do której mocowano drewniany, o pionowej osi kołowrót, pozwalający na obrót wiatraka w



Fot.59. A to jest ten. Wiatrak dożywał dni swoich

zależności od kierunku dmuchającego wiatru. Kołowrót był przenoszony i kotwiony do specjalnych pali wbitych w podłoże i odpowiednio zabezpieczonych. Jako ciekawostkę możemy powiedzieć, że kilkunastometrową wieżę obracał jeden dorosły mężczyzna. Inną ciekawą konstrukcją były same skrzydła. Przymocowano je do wału składającego się z czterech, zespolonych, drewnianych belek umocowanych w specjalnych łożyskach wmontowanych w przednią i w tylną ścianę wieży. Skrzydła skonstruowano z odpowiednio wyprofilowanych belek. Stanowiły one konstrukcję nośną skrzydeł. Ażurowa konstrukcja, wykonana z bardzo mocnego materiału zespolona z belkami nośnymi wyznaczała profil skrzydeł. Wypełniały je prostokątne płachty wykonane z cienkich listew. Narzędziem, którym się posługiwano przy ich produkcji był topór, a surowcem odpowiednio przycięte pniaki pozbawione sęków. W pobliżu wału zazwyczaj zachowywała się cała pokrywa skrzydła, zaś w części brzegowej regulowano ją w zależności od siły wiatru, wypełniając ją „płachtami”, podczas słabego wiatru, a zdejmując je, podczas wiatrów silniejszych. W przypadku silnych wiatrów stosowano przemyślnie stopery. Skrzydła napędzały kamienie młyńskie oraz walce. Te drugie wykorzystywano do mielenia pszenicy. Na wsi bardzo wysoko ceniono mąkę pszenną używaną do wypieku ciast i przygotowywania wielu potraw mącznych. Chleb wypiekano z mąki żytniej. Razówkę otrzymywano przy pomocy kamieni, a bardziej subtelne odmiany przy pomocy walców.

W dawnych czasach uważano, że wiatraki, a nawet zwykłe młyny są ulubionym miejscem pobytu różnej maści złych duchów z diabłami na czele. Właściwie nic w tym dziwnego. Pracujący wiatrak zawsze był źródłem, różnych, nieraz bardzo dziwnych dźwięków, jeżeli do tego dołączyć wyobraźnię ludzką, to o duchy już było bardzo łatwo. Oczywiście młynarze nic z tych rzeczy nie obserwowali, oni po prostu byli przyzwyczajeni do hałasów, jakie powstawały w pracującym wiatraku, a poza tym byli, to ludzie twardo stąpający po ziemi. W pobliżu wiatraka znajdowały się uprawne grunty rodziny pierwszego autora. Pamięta on z autopsji szumy, jakie produkowały wiatry. Zawsze coś skrzypiało, popiskiwało, a czasem porządnie zawyło. To strugi powietrza omywające skrzydła oraz ruch mechanizmów był źródłem nadzwyczajnych hałasów. Wewnątrz wiatraka było ich znacznie więcej. Wiatr pogwizdywał w różnych miejscach, szumiały walce,

poruszające się kamienie, a poza tym w młynie było sporo miejsc, które doskonale nadawały się na miejsce pobytu nadzwyczajnych i nieproszonych gości. Wzgórze było niewielkie, ale bardzo wietrzne. Tutaj wiatry dmuchały z większą siłą i większą częstotliwością. W wiatraku nic nadzwyczajnego się nie działo, przynajmniej nikt o nadzwyczajnościach nigdy nic nie mówił. Co nie znaczyło, że wcześniej na wzgórzu nie obserwowano nadzwyczajnych zjawisk?

Zaraz po wojnie w Mierzwicach funkcjonowały trzy wiatraki. Oprócz opisanego, na wzgórzu, za tak zwanymi stodołami, od strony południowo zachodniej funkcjonował niewielki koźlak zbudowany i obsługiwany przez Antoniego Karwackiego. Robiono w nim osypkę, a być może i razówkę. Niewiele różnił się od zwykłych żaren. Istniał krótko, bo właściciel zginął tragicznie. Trzeci wiatrak, tuż po wojnie postawiono w pobliżu lasu zwanego Obozem na posesji państwa Osypiuków, na Kolonii Mierzvice. Wykorzystywano „przeciagi”, jakie ukierunkowywała ściana lasu. Najczęściej wiatry wiały z zachodu. Na tych terenach był, to kierunek uprzywilejowany.

Żaden z wiatraków nie przetrwał. Być może, jakieś zdjęcia się zachowały, ale autorzy do nich nie dotarli. W miejscu, gdzie stał główny bohater tego reportażu znajduje się teraz dom mieszkalny. W 1966 roku zmarł budowniczy i właściciel wiatraka. Jeszcze, przez jakiś czas wiatrak stał, pozbawiony najważniejszej części - skrzydeł. One czyniły go wiatrakiem. Wieża jeszcze zdobiła wzgórze w latach siedemdziesiątych. Do niczego już nie służyła, zestarzała się. Konstrukcja nośna, została poważnie nadwątlona przez ząb czasu. Belki po prostu zbutwiały. W 1978 czy 1979, dokładnie nikt tego nie pamięta, przyszła silna wichura i dziadek najzwyczajniej się przewrócił..., dopełnił się jego los.... Tak kończą stare drzewa..., tak też mogą kończyć stare drewniane budowle.... Odszedł, podobnie, jak i jego twórca. Wiemy, gdzie stał. Po pozostałych nie został żaden ślad. Żyje jeszcze kilka osób, które je widziały. Czy pamiętają? Wszystko, tak szybko się zmienia...

IV. Zawody, które umarły



Fot.60. W mleczarni.
Lodzia Szymańska i
Marysia Karwacka -
pracownice

Przed wojną we wsi istniała mleczarnia. Właścicielem był Ejnoch, jedyny Żyd mieszkający z rodziną w Mierzwicach - mleczarz. W niej pracowały dwie młode dziewczyny. Jedną z nich była Lodzia przyszła matka współautora tego tekstu Andrzeja. Główna specjalność mleczarni, to wyrób masła, które w całości przeznaczano na zaopatrzenie Warszawy. Mleczarz skupował mleko z całej okolicy. Mieściła się w już nieistniejącym budynku zlokalizowanym w odległości stu metrów od obecnego przystanku autobusowego w kierunku Serpelic. Zdaje się, że mieszkanie mleczarza mieściło się w głębi. W tej chwili od strony ulicy jest w tym miejscu pusty plac, a dwa okazałe domy stoją z tyłu.

W Mierzwicach w okresie międzywojennym i po wojnie garbował skóry i szyl uprzęże dla koni rymarz Marcin Karpiuk. Nie wiemy, skąd przybył. Ożenił się z wdową Pauliną Rybaczuk. Warsztat garbarski zainstalowany został w obejściu Pauliny. Skóry garbował garbnikami roślinnymi, głównie korą dębową, miękczal je w specjalnym kieracie obsługiwanym przez konia. Tak przygotowane skóry nazywano surówcem. Zdaje nam się, że to słowo należy do żargonu garbarzy. Szyto z niego: lejce, chomąta, uzdy, kantary i inne części uprzęży. Po śmierci ojca w 1952 roku garbarstwem i rymarstwem trudnił się jego syn Mieczysław, ale już tylko dorywczo. Wkrótce opuścił wieś i garbarstwo się skończyło. Rymarstwo należy do zawodów wymierających.



Fot.61. Tu kiedyś pracował rymarz. Widok współczesny

Różne wyroby z drewna, w tym: szufle, szufelki, łyżki, drewniane koła do wozów i inne drewniane części wyrabiał Adam Szewczuk syn Andrzeja i



Fot.62. To też dzieło pana Adama

Praksedy z Zubkowiczów były mieszkańiec Puczyń uprawiający zawód stelmacha. W Mierzwicach wżenił się w rodzinę Mikiciuków. Część domu mieszkalnego zamienił na warsztat. Matka Andrzeja przyjaźniła się z Jadwigą, córką Adama, więc często się odwiedzaliśmy twierdził pierwszy autor. **Bardzo lubiłem przebywać w warsztacie wypełnionym wspaniałymi narzędziami, które, jak mi się wydawało doskonale się nadawały do**

majsterkowania, a ja pasjami lubiłem majsterkować. Wielkie kopańki majster wyrabiał z grubych pni wierzbowych, lipowych lub topolowych. Do ich wykonania potrzebne było miękkie drewno. Koła i inne części wozów wymagały już twardego drewna i tak szprychy robiono z dębu, a jeszcze częściej z grabu. Po śmierci ojca zawód stelmacha jeszcze kontynuował syn, ale to już długo nie trwało. We wsi kiedyś był jeszcze folusznik. Zapewne mało, kto wie, co taki folusznik wykonuje. Z tą nazwą ściśle wiąże się zakład, w którym pracuje folusznik, a więc folusz. W Mierzwicach taki zawód wykonywał Michał Maksymiuk. Jego folusz obsługiwany był ręcznie, składał się z kilku drewnianych młotów oraz specjalnego koryta, w którym układano wełnianą tkaninę przeznaczoną do folowania.

We wsi prawie każda gospodyni potrafiła przygotować tkaninę, począwszy od posiania lnu, aż do końcowego produktu w postaci beli samodziału. To był prawie całoroczny cykl produkcyjny. A więc jedna osoba była rolnikiem, rosarką, prządką, tkaczką i farbiarką. Jeszcze w latach sześćdziesiątych dwudziestego wieku, w Mierzwicach, w kilku domach tkano na krosnach wełniane pasiaki przeznaczone na nakrycia łóżek lub dywany wieszane na ścianach. Były to już prace o charakterze artystycznym.



Fot.3 2. Produkcja walonków

Zaraz po wojnie w Mierzvicach i okolicy osiedliło się kilku mieszkańców Wschodniej Polski, którzy zostali uwolnieni z obozów jenieckich administrowanych przez niemieckich „humanistów” spod znaku hakenkrojca. Teraz te tereny zostały włączone do wielkiego raję zwanego krajem rad. Nie chcieli wracać w swoje strony, rodziny już tam nie mieli. Soso gwarantował im wczasy, w tak sympatycznych miejscach, jak Syberia, albo w innych domach wczasowych popularnie zwanych „łagrami”. Niektórzy przynieśli umiejętności, których, w tej części Podlasia nie znano, to były techniki wytwarzania obuwia z wełny poprzez filcowanie. Produkty nazywano „walankami”, a w poprawnej polszczyźnie walonkami. Zapotrzebowanie na tego typu obuwie, w owym czasie na wsi było wprost niesamowite. Nie było nazwy zawodu w języku polskim i rzemieślnika wytwarzającego tego typu produkty. Najbliższy mu byłby chyba folusznik.

We wsi było kilku ludzi, którzy uprawiali orelkę, a więc byli orylami. Na ogół mało, kto wie, czym się zajmowali? A to zwykły splaw drewna tratwami. Tratwy



Fot.64. Kiedyś uprawiali orelkę

budowano na brzegach rzeki w miejscach zwanych bindugami. Taka binduga istniała już w dziewiętnastym wieku, między Trojanem a Wysokim Łądem. Do dzisiaj, w tym miejscu istnieje obniżenie terenu. Żyje jeszcze kilku ludzi, którzy potrafią wskazać miejsce nad rzeką zwane Bindugą i to jest nazwa własna. Z lasu zwożono nad brzeg rzeki kloce, tu spychano je do wody i tu formowano tratwy, które potem splawiano, aż do Gdańska. Na tratwie ubijano coś rodzaju klepiska z gliny, gdzie paliło się ognisko, na którym przyrządzano jedzenie. Oryle, czyli flisacy spali w specjalnych szalasach zrobionych ze słomy, trzciny lub gałęzi. Warunki były ciężkie. Ci ludzie na tratwach mieszkali po kilka tygodni. Zazwyczaj odbywano jeden flis w ciągu roku. Podczas Pierwszej Wojny Światowej dwie bindugi były w pobliżu mostu. Ale tutaj tratwy rozbierano i przewożono kloce do tartaku we Fronołowie. Niemcy okazali się wyjątkowymi grabieżcami. Nad Bugiem tuż za szosą prowadzącą do Siemiatycz rozłożyła się niewielka wioska o nazwie Binduga. Należy przypuszczać, że kiedyś także tu była rzeczywista binduga.

Nie wiemy czy ktokolwiek wie, czym zajmował się tracz? Otóż z tym zawodem wiąże się obróbka drewna, którą teraz wykonuje się wyłącznie w tartakach. Kiedyś, to robili ludzie ręcznie posługując się specjalną piłą.

Skończyło się zapotrzebowanie na produkty wytwarzane przez rzemieślników, albo zostały przejęte przez fabryki, które robią je masowo, zatem i tanio. Wiele zawodów już przeszło do historii.

E. Strachy, upiór

Mierzvice przed kilkudziesięciu laty stanowiły niewielką, ale bardzo ludną wieś. Należało do niej ponad sześćdziesiąt domów, w których średnio zamieszkiwało po pięć osób. Oczywiście były domy zamieszkałe przez jedną osobę, jak, chociażby znajdująca się pod lasem chatka Jerczaczki, jak na wsi nazywano staruszkę o nazwisku Bartoszek, ale i wiele takich, w których mieszkało nawet i dwadzieścia, więc średnia się zgadzała. Społeczność wiejska żyła swoim życiem skutecznie izolująca się od reszty świata. Szczególnie w



Fot.65. Wiele chałup przykrywała strzecha

zimie, gdy wszelkie drogi zasypywały śniegi i wiosną, gdy zalewały je roztopowe wody. W wielu dziedzinach samowystarczalna. Ludzie się rodzili i umierali. Urodzeń było sporo, ale i pochówków też nie brakowało. Umierały dzieci, ale i wiele kobiet też żegnało się z tym światem. Z każdym mieszkańcem wiązała się, jakaś historia.

W jesieni i w zimie ciemności spowijały wieś przez większą część doby. Lampy naftowe słabo je rozświecały. To okres długich wieczorów i ciemnych poranków. Trzeba je było, czymś zapęłnić, szczególnie wieczory. Gospodynie z sąsiedztwa zbierały się w zaprzyjaźnionych chatkach na „prądkach”. Organizowano je u nas (to wspomnienia pierwszego autora) lub wędrowało się do sąsiadów. Nieodłącznym narzędziem było „kółko” - specjalny sprzęt używany do przędzenia nici - ponadto należało wziąć kądziel: wełny, lnu, konopi lub kłaków. Panie obsiadały izbę dookoła, na ścianie tliła się lampa naftowa, „kółka” i języki furkotały. Opowiadano przedziwne historie wyczytane w popularnych romansach. Celowała w tym starsza panna Marysia Hackiewicz, przez najbliższą rodzinę nazywana „Nianią”. Potrafiła ładnie opowiadać, aż dech zapierało. Słuchałem ich, jak pięknych bajek nie zwracając większej uwagi na miłosną stronę historii. W mojej chacie izba mieszkalna była jedna, więc z konieczności stawałem się wiernym słuchaczem bają. Najciekawsze były gadki mrozące krew w żyłach, o rzeczach niesamowitych, jakie przydarzyły się opowiadającej lub, o jakich opowiadająca słyszała. Na działce Daniluków, Dąbrowskich i Hackiewiczów, w pobliżu naszego domu rosły wyniosłe brzozy podszyte u dołu gęstymi zaroślami wiśni. W lecie gąszcz trudny do przebycia. Znajdowaliśmy tam niewielkie żelazne krzyżyki. Miejsce nazywano Mogiłkami. Rzeczywiście, krzaki kryły groby, których ślad zewnętrzny dawno zaniknął. Prawdopodobnie był to jeden z cmentarzy cholerycznych, powstałych w pierwszej połowie dziewiętnastego wieku. Zaraza została przywleczona z Kaukazu przez wojska carskie, podczas Powstania Listopadowego. Miejscowa ludność wymierała masowo i żywi grzebali swoich krewnych, kuzynów, sąsiadów w bezpośredniej bliskości miejsca zamieszkania. Po prostu, w Mierzvicach nie było, komu wywozić zmarłych na cmentarz pod Grzybów, chowano, więc na miejscu. Obok siebie leżeli katolicy, unici, prawosławni, bo

do takich obrządków należeli mierzwiczanie. Według opowieści pań zawzięcie zwijających włókna wełny, bądź lnu, w eleganckie nitki, na mogiłkach, w nocy, działy się różne rzeczy. Widziano ogniki pelzające przy ziemi, słyszano pojękiwania, westchnienia, szmery i inne dziwne odgłosy. Prawdziwy horror. Słuchałem opowiadań z zaciekawieniem i trwogą. Strach paraliżował wolę niezbyt jeszcze wyrosniętego chłopca. Mogiłki były blisko.

W pobliżu stała kuźnia. Zdarzało się w ciemną noc, słyszeć kucie dochodzące z wnętrza zamkniętego na głucho budynku, którego odgłosy docierały do naszej chałupy. Słyszała to matka i babka. Kowal z rodziną spał, więc, kto to robił?

A, to pewnego razu siostry Kazia i Lodzia wracały z „posiedzinek” u koleżanki. Ciemno, choć oko wykol. Patrzą, a w pobliżu drogi prowadzącej nad rzekę, na przylegającym do niej wzgórzu, stoi czerwony słup ognia. Jest noc i nikt na polu niczego nie pali. Słup jest nieruchomy, jak wycięty z bibuły. Włosy dęba stanęły, ze strachu. Na szczęście we drzwiach już stała matka z lampą i spłoszone dziewczyny znalazły się pod jej opieką. Może ciemności i wyobraźnia uroiła takie nadzwyczajne zjawisko? Widziały je trzy osoby. Teraz to byłoby UFO. Historyjki mroziły krew w żyłach i nie nastawiały bojowo malucha mającego i tak stany lękowe. Inną historię opowiadała Józefowa, którą nazywaliśmy Klimichą, a to od przydomka męża - Klim. Józefowa, to też od imienia męża. A ona była prawdziwą Łotyszką przywiezioną z Łotwy, gdzie jej przyszły małżonek służył w „sółdatach”. Prawie nikt nie używał jej prawdziwego imienia Teodora. Bardzo ją lubiłem,



Fot. 66. Może słup ognia tak wyglądał



Fot.67. To tu „straszyno”. Droga była piaszczysta, bez drzew, w nocy. Strzałka wskazuje Leski Drugie

pięknie opowiadała, jeszcze piękniej śpiewała pieśni ze swoich stron rodzinnych. Były takie rzewne i śpiewane w dziwnym języku. Po polsku też mówiła bardzo ładnie. Teraz snuła swoją opowieść. Pewnego razu, późnym wieczorem jechała wozem z mężem, z Sarnak. Bruku jeszcze nie było. Minęli Nową Wieś (tak nazywano Nowe Mierzvice) i powoli zbliżali się do Drugich Lesek (lokalna nazwa zarośli i przyległych gruntów). Konie zaczęły okazywać niepokój, strzyc uszami, szarpać się. Czyżby, jakieś zwierzę ukrywało się w krzakach? Ciemno, nic nie widać. Chyba jednak nie? Z tyłu za wozem, a może na wozie, usłyszeli jazgot, jakby pięć bab usiadło na rozwórcie i wzajemnie się przekrzykiwało. Niczego zrozumieć nie można. Harmider, szturm, strach odwrócić głowę. Konie pędziły, co sił w kopytach, trudno utrzymać lejce. Czas się zatrzymał. Droga podła, pełna wybojów. Trudno utrzymać konie, a jeszcze trudniej utrzymać się na wozie. Straszno! Po plecach ciurka pot, to też ze strachu. Wreszcie Leski Pierwsze, wszystko ustało, konie się uspokoiły. Po ochłonięciu, zapytała męża: „Józef,

słyszałeś?” „Słyszałem.” Oboje czuli się bardzo nieswojo. A oto inne nadzwyczajne zjawiska z tego samego miejsca. W Leskach i na polach do nich przylegających, w ciemną noc, widywano latające ogniki, miejscowi twierdzili, że po polach lata duch geometry, który niesprawiedliwie wymierzył grunty i teraz pokutuje w miejscach, gdzie ludziom wyrządził krzywdę. Prawdą było, że Leski i pola do nich przylegające były mokre, zabagnione, a nad bagniskami często zdarzało się widywać latające ogniki, przyczyna ich jest naturalna. Ale, jeżeli coś takiego zobaczyło się w ciemną noc i, to w miejscu, o którym opowiadano straszne historie, wtedy łatwo zobaczyć rzeczy, o jakich nikomu się nie śniło. Józefowa opowiadała często o swoich stronach rodzinnych, do których bardzo tęskniła.

W okresie pierwszej wojny światowej we wsi panowała epidemia ospy i czerwonki, a potem przyplątała się grypa hiszpanka. Chorowali na nie masowo ludzie starsi i dzieci. Wiele osób zmarło. Ci, którzy przeżyli ospę, na twarzy nosili charakterystyczne znaki, blizny po strupach ospowych. U nas w rodzinie kilka osób przechodziło chorobę, Teofila, moja babcia, opiekowała się chorymi, szczęśliwie sama uniknęła zakażenia. Mieszkańców dziesiątkowała gruźlica. Wymierały całe rodziny. Tematów do rozmów nie brakło. Bardzo chętnie opowiadano o zmarłych. O nieboszczykach. Na wsi w sposób naturalny przeplatało się życie ze śmiercią. Ludzie nie uciekali od rozmów o umieraniu i samej śmierci. Na swój sposób żyli blisko z tymi, którzy od nich odeszli

Opowiadały prządki o niesamowitościach, jakie działy się w starej chałupie, która stała na końcu wsi na działce Sokołowskich. W chałupie mieszkał Krudzio. Był bardzo biedny i ciężko mu się żyło. Co robił? Z czego żył? O tym nie mówiono. Wreszcie zszedł z tego świata i w chacie, w nocy zaczęły dziać się bardzo dziwne rzeczy. Drzwi otwierały się same. Coś przestawiało sprzęty. Coś niesamowicie hałasowało. Podobno do chaty przychodził Krudzio i takie wyczyniał harce. W chałupie próbowali spać najtęższe wsiowe zuchy. Żadnemu nie udało się przespąć nocy. Najodważniejsi uciekali. Krudzio nie dawał spokoju. Zgodnie z obyczajem, odkopano trumnę, ucięto głowę i położono w nogach. Od tego momentu wszystkie sensacje skończyły się i w domu zapanował spokój. Wydarzenia miały mieć miejsce, gdy nasi dziadkowie byli jeszcze zupełnie młodymi ludźmi.

Opowieści o „mierzwickim upiorze” można znaleźć w kilku czasopismach. Relacje powstały na podstawie opowieści przekazywanych z ust do ust. Miedzy źródłem, a rzeczywistymi zdarzeniami stało kilku ludzi, którzy dziwną historię przekazywali z pokolenia na pokolenie. Od sześćdziesięciu lat nie ma już żadnego świadka owych wydarzeń. Prawda jest bardziej prozaiczna. Mieszkańcy Mierzwic nazywali swojego „upiora” Krudziem, pod takim przydomkiem funkcjonował we wsi za życia, a w literaturze znany jest, jako Frelek. Nie wiemy, skąd ta nazwa się wzięła? Grzegorz Daniluk współautor tego tekstu od kilkunastu lat interesował się słynnym mierzwiczanielem. Przewertował wszelkie możliwe dokumenty zgromadzone w parafii Sarnaki oraz w gminie. A oto jego

relacja. Krudzio, to człowiek – legenda, poruszający, mu współczesnych, żyjący w przekazach naszych dziadków, a potem rodziców. Nic nieznacząca postać dla współczesnych mieszkańców Mierzwic, którzy prawie nic o niej już nie słyszeli.

Niewiele o tym człowieku można dzisiaj powiedzieć. Jedynym dokumentem, jaki istnieje, to akt zgonu z 1906-tego roku. Z niego wynika, że urodził się w 1841 roku na Ukrainie we wsi Żurawliowka, a zmarł w dniu 17 lipca 1906 roku. Jego śmierć zgłosił Piotr Wasilewski – robotnik leśny oraz Michał Maksymiuk miejscowy rolnik, najprawdopodobniej ówczesny sołtys. W owym czasie Mierzvice, już od ponad roku należały do Parafii Sarnaki. Krudzio został pochowany na cmentarzu w Sarnakach, założonym i użytkowanym od 1855 roku. Miejscem ostatniego zamieszkania, a także śmierci był dom istniejący wówczas między gajówką, a domem Teodora Sokołowskiego, należący do Lasów Państwowych wybudowany dla straży leśnej. Nasze pokolenie jeszcze pamięta istniejącą piwnicę, zbudowaną z czerwonej cegły, która znajdowała się pod domem. Obecnie po tych budowlach nie pozostał żaden ślad.

A oto treść aktu zgonu: Zachowano oryginalną pisownię.

Akt nr 75/1906. "Działo się w osadzie Sarnaki osiemnastego (trzydziestego pierwszego) lipca tysiąc dziewięćset szóstego roku. Pojawił się Piotr Wasilewski, robotnik trzydzieści dziewięć lat mający i Michał Maksymiuk gospodarz rolny trzydzieści osiem lat mający, obydwaj z Mierzwic Starych i oznajmili nam, że dnia wczorajszego o godzinie ósmej wieczorem zmarł w Mierzwicach Starych Szymon Nowosow vel Nowaczuk wdowiec sześćdziesiąt pięć lat mający, urodzony we wsi Żurawliowka a zamieszkały w Mierzwicach Starych. Po naoicznym przekonaniu się o śmierci Szymona Nowosow vel Nowaczuka akt ten sporządzony i przeczytany wobec zgłaszających osób został."

Z opowiadań naszych rodziców, którzy go nigdy nie widzieli, ale pamiętali relacje swoich rodziców wynikało, że Krudzio zamieszkiwał Mierzvice od dawna. Podobno wspominał Powstanie Styczniowe, a wtedy miał 22 lata. Mówił po ukraińsku i po prostemu, czyli po chachłacku.

Prawdopodobnie był robotnikiem leśnym, albo dworskim, Potem siedział na komorze, własnego mieszkania nie miał. Dorywczo łowił ryby. Łączyły go wspólne interesy łowieckie z Jędrzejukiem Leonem (Lewkiem) i Danilukiem Józefem (Nawyszłem). Byli sąsiadami.

Kiedyś był żonaty. Żona wcześniej zmarła, ponieważ nikt ze współczesnych mu sąsiadów jej nie wspominał. Chyba jej nie pamiętali. Miał córkę Franciszkę, która wyszła za mąż, za Eliasza Chalimoniuka. Zmarła w 1899 roku pozostawiając po sobie dwie córki. Prawdopodobnie przy porodzie młodszej Anny. A więc Krudzio okazał się jej dziadkiem. Po osiągnięciu wieku dojrzałego Ania wyszła za mąż za Franciszka Rurkę z Chłopkowa.. Młoda rodzina osiadła w Mierzwicach.

Za życia Krudzio uchodził z szalawilę. Podobno wszystkie psy na jego widok uciekały w pole, a te na łańcuchach boleśnie wyły, próbując się uwolnić z uwięzi. Wyraźnie go się bały. Źle odnosił się do kobiet. Żadna nie mogła liczyć na dobre słowo. Starły się go unikać. Był wulgarny i w jego mowie gęsto

pojawiały się przekleństwa. Teraz zapewne uchodziłby za człowieka wyzwolonego. „Elyty” często używają grubego słowa uważając to za normalność, a nawet rodzaj nobilitacji. Nie stronił od gorzały. Bali się go na weselach i zabawach. Potrafił niejedną zepsuć.

Najciekawsze opowieści krążyły po jego śmierci. Podobno straszne rzeczy zaczęły się dziać w domu, w którym mieszkał. Słyszano szurgot przesuwanych mebli, odgłosy kłótni i pijackich zabaw, straszne przekleństwa, i odgłosy nieziemskie. W domu straszyleso. Sołtys zarządził urzędowe warty społeczne dla potwierdzenia szerzonych wieści. Niestety zagadka nie została rozwiązana, niepotwierdzona, ani niezaprzeczona. Wartownicy uciekli jeszcze przed seanssem, albo, tak się popili, że niczego nie mogli rozpoznać, bo się pospali. Coś się jednak działo, bo sąsiedzi słyszeli, a może, to wartownicy rozrabiali?

Podobno niespokojnie było i u wdowy, którą za życia odwiedzał, a która odmówiła mu swojej ręki. Opowiadała, o tym jego wnuczka, którą w roku jego śmierci mogła już mieć siedem lat, w takim wieku jeszcze zbyt wiele się nie pamięta, być może, czegoś dowiedziała się od swego ojca Eliasza. Znaliliśmy ją obaj, ponieważ zmarła dopiero w 1981 roku, a była częstym gościem matki pierwszego autora. Prawdopodobnie, jakiś czas po pogrzebie, kilku miejscowych chłopów zmówiło się, w ścisłej tajemnicy przed księdzem i służbą cmentarną, i pod osłoną nocy odkopali trumnę ze zwłokami Krudzia, odkryli wieko, szpadlem odcięli głowę nieboszczyka, i położyli ją w nogach, jak to się w takich przypadkach dawniej robiło. Następnie trumnę zasypali ponownie. W tym momencie zakończyły się sensacje w domu nieboszczyka, i we wsi nastąpił spokój. O spokoju mówiło wielu, więc, jakieś ziarno prawdy w tym musiało być.



Opowieści o wyczynach i charakterze zachowania się Krudzia jeszcze krążyły bardzo długo w Mierzwicach, aż do czasu, kiedy poumierali ludzie, którzy go osobiście znali, a ci ostatni poumierali w latach pięćdziesiątych ubiegłego wieku. Legenda Krudzia jeszcze podtrzymywana była przez następne pokolenia w dużym stopniu skonfabulowana. W aktach kościelnych, poza tym, co napisaliśmy wyżej o akcie zgonu nie ma żadnej innej wzmianki, natomiast w aktach gminnych mieszkańców Mierzwic Szymon Nowosow vel Nowaczuk w ogóle nie istnieje. Można to sprawdzić w Państwowym Archiwum Akt Nowych w Lublinie, gdzie historyczne dokumenty Gminy Sarnaki zostały zdeponowane.

Czy rzeczywiście takie zdarzenia miały miejsce? Bohaterowie uczestniczący w spektaklach byli przekonani, że tak. Wiele „dziwnych” zjawisk potrafimy wytłumaczyć racjonalnie. Mają podłoże naturalne, ale są zjawiska, z którymi nauka sobie nie radzi. O wielu takich słyszymy i współcześnie. Światło elektryczne, powszechna motoryzacja, wiele zmieniły. Ludzie odsunęli się od przyrody, blichtr cywilizacji osłabił te więzi. W telewizji, internecie można

zobaczyć rzeczy, tak straszne, że dawne strachy, to po prostu dziecinne igraszki. Nasza cywilizacja, na każdym kroku, produkuje horrory. Nowe techniki też czasem zachowują się dziwnie. Opowiadał znajomy, bardzo racjonalnie myślący człowiek historię, której nie da się racjonalnie wytłumaczyć. a było to tak? Pewnego jesiennego popołudnia siedział na narożniku i przeglądał, jakiś tekst naukowy, robił notatki, bardzo się w niego angażował, bo dotyczył trudnego problemu. Za oknem świeciło słońce. W pewnym momencie usłyszał za plecami, jakiś harmider, jazgot, ktoś się śmiał. Radia nie miał, telewizora też, komputer wyłączony. Z zewnątrz nie docierały żadne głosy, bo mieszkanie miał wyciszone. Obejrzał się. Za plecami na oparciu narożnika zobaczył ekran monitora z uśmiechniętą, pięknie wystrojoną starszą panią. Znał ją, bo czasem, odwiedzała jego żonę, ale to dość dawne czasy. Ekran powoli przesunął się po oparciu narożnika. Trwało to z pięć minut. Wreszcie przesunął się do końca oparcia i znikł. Potem okazało się, że starsza pani zmarła, a rodzina nie powiadomiła znajomego o jej śmierci. Opisane wydarzenie miało miejsce w dniu jej pogrzebu. Nie zrobił zdjęcia, chociaż aparat fotograficzny miał w zasięgu ręki. Najprawdopodobniej zdjęcie by niczego nie pokazało. Znajomy był święcie przekonany, że obrazy, które widział pojawiły się jego mózgu, były rodzajem projekcji, a nie miały przełożenia na rzeczywistość. Oczywiście rodzi się pytanie, dlaczego pojawiły się w jego mózgu akurat wtedy?

Jeszcze krótką, inną opowieść współczesną. Przed kilku laty dobry znajomy Andrzeja wyprawił się samochodem do Warszawy. Miał tam załatwić kilka ważnych spraw biznesowych. W pewnym momencie silnik samochodu zgasł, a działo się to, w pobliżu Kałuszyna. Żadne zabiegi nie były w stanie pobudzić go do aktywności. Wtedy „komórki” jeszcze nie były podstawowym środkiem łączności. Pomocy drogowej nie mógł wezwać. Chciał, jakoś dostać się do najbliższego zakładu naprawy pojazdów. Z trudem udało mu się odwrócić samochód w kierunku Siedlec. Zrobił to zupełnie podświadomie. Nacisnął starter. Silnik natychmiast zaskoczył. Z Warszawy zrezygnował. Bez najmniejszego problemu dojechał do Siedlec. Mechanika samochodowego też nie odwiedzał. Okazało się, że w momencie awarii nagle zmarł jego brat, we własnym mieszkaniu, w Siedlcach. Przypadek? Być może! Niemniej bardzo dziwny! I jeszcze jedna historia. Tym razem żartobliwa. Jest noc, godzina około dwudziestej czwartej. Dziewczyna wraca do domu, musi przejść w pobliżu cmentarza. To jedyna droga, która prowadzi do domu. Bardzo się boi. Zawsze unikała samotnych wizyt na cmentarzu, a teraz przejście w pobliżu cmentarza było dla niej naprawdę wielkim przeżyciem. Idzie. Wtem zauważyła elegancko ubranego mężczyznę wychodzącego z furtki prowadzącej na cmentarz. Poweselała. Zrobiło jej się raźniej. „Czy mogę pani towarzyszyć?” - zapytał nieśmiało nieznajomy. „Ależ proszę bardzo” - odrzekła. Idą, on nic nie mówi i ona też zachowuje milczenie, wreszcie nie wytrzymuje, i rzecze. „Podziwiam pana. Pan, nie boi się tak po nocy spacerować po cmentarzu?” „Proszę pani, jak żyłem, to też się bardzo bałem.”

F. Mogiłki

Mogilki, to dziwne słowo. W słownikach współczesnego języka polskiego już nie figuruje. Nasi wieszczowie w poezji używali słowa mogiła, mogiły w sensie grób, groby. Słowo archaiczne, ale również dostojne, tajemnicze owiane legendą niezwykłości i rzeczy nieziemskich. To grób, który kryje zwłoki kochanka, kochanki, w tym dobrym znaczeniu, powstańca, żołnierza, kogoś nieznanego, ulokowany w miejscu przypadkowym, odludnym, omijanym w godzinach nocnych przez przypadkowych wędrowców, często owianym złą sławą przerażających zdarzeń. Cmentarz, to ziemia poświęcona, w której chowa się zmarłych według określonego rytuału, w obecności księdza i wielu bliskich, i znajomych, z modlitwą, i wielkim szacunkiem. Mogiłki, to najczęściej cmentarze, które powstawały nagle, w chwili pomoru, zarazy, wielkich katastrof, wojen, w przypadkowych miejscach, w ziemi niepoświęconej, a zmarłych chowano bez ceremoniału pogrzebowego i bez trumien.

Mogilki, to nazwa i miejsce w Mierzwicach Starych znane nielicznym, starszym mieszkańcom wsi. Młodym i przyjezdnym, osiedlonym we wsi lub mających tu tylko domy, do których przyjeżdżają w wakacje czy weekendy nie kojarzy się z żadnym miejscem. Nic dziwnego, żaden ślad po nich nie pozostał. Zapewne nikt im już o nich nie mówił. Główna część mogilek mieściła się na



*Fot.69. Mierzvice Stare.
Strzałka wskazuje lokalizację
„Mogilek”*

działce Bronisława Daniluka zwanego „Broniem” i południowo- wschodniej części działki Teodora Daniluka przylegającej bezpośrednio do działki Bronisława. Cmentarz zaczynał się w pewnej odległości od ulicy naprzeciw drugiego domu stojącego po prawej stronie od skrzyżowania wiejskiej ulicy z szosą prowadzącą do Sarnak i ciągnął się, jakieś, osiemdziesiąt metrów w kierunku rzeki. Miejsce dobre, bo do wody daleko i groby były suche. W bezpośrednim sąsiedztwie stał mały, już nieistniejący domek Karoliny i Teodora Daniluków. Robiło wrażenie opuszczonego.



*Fot.70. Ten plot biegnie
przez środek dawnych
„Mogilek”. Widok
współczesny*

W czasach naszego dzieciństwa ten teren był niezagospodarowany. Z rzadka rosły grube brzozy, a w podszyciu bujnie się pleniły dzikie wiśnie dające ciemne, niewielkie, kwaśne owoce, nadające się na doskonałe soki i syropy. Smak i barwa były nie do podrobienia. Akurat te nie owocowały zbyt obficie. Zdaje nam się, że tych owoców jednak nikt nie zbierał, prawdopodobnie uznając, że miejsce do zbioru jest całkowicie niestosowne. Na cmentarzach nie zrywa się kwiatów, nie zbiera runa, owoców. Być

może brzozy zabierały im światło, pokarm i mimo obfitego kwiecia na wiosnę, w lecie owoców zbyt wiele nie rodziły. W bogatszych domach wiśniowe soki

wykorzystywane były do kompilacji napitku zwanego „tata z mamą”. Do tego potrzebny był gorzelniany spirytus, który się mieszało z sokiem wiśniowym w proporcji pół na pół. Aby uzyskać właściwy bukiet, barwę i smak pożądane było, aby mieszanka przebywała w jednej butelce około dwu tygodni. W wielu gospodarstwach wiśnie rosły w pobliżu budynków w nasłonecznionej części podwórza. Na polach często obrastały tak zwane kamienice, to znaczy, kupy kamieni, które powstawały ze zbieranych głazów licznie zalegających chłopskie pola. Tutejsze grunty były kamieniste.

Jako dzieci, czasem tam chodziliśmy, teren nie był ogrodzony i nikt nam nie zabraniał się bawić. Po drugiej stronie mieliśmy przyjaciół, rówieśników w osobach Kazi i Tadzika Dąbrowskich. Mieszkali ma górze przylegającej do Mogilek. Ich gospodarstwo oddzielały pokaźnej wielkości, krzaczaste czeremchy dające nam mnóstwo kryjówek nadających się do różnych zabaw. Właściwie, to nie zdawaliśmy sobie



Fot.71. To też dawne „Mogilki” teraz płot skrył się z lewej strony. Widok współczesny

sprawy, że mogilki są cmentarzem. Znajdowaliśmy tam czasem żelazne krzyżyki kowalskiej roboty, zagrzebane pod liśćmi, nawet je ustawialiśmy pod drzewami. Rodzice, ani dziadkowie nie opowiadali żadnych historii związanych z tym miejscem. Oczywiście, w nocy tu miało straszyć, ale takich miejsc we wsi i w okolicy było bardzo dużo, a sama nazwa mogilki nic nam nie mówiła. Teraz, jako dorosły człowiek, stojący u swego kresu, doświadczony kilkudziesięcioletnim życiem, zdaję sobie sprawę, że temat związany z historią mogilek traktowano, jako rodzaj tabu, o którym nie należało się rozwodzić. Właściwie, nawet zrozumiałem, dlaczego? O czym postaram się w dalszej części tego tekstu opowiedzieć. Zapewne niewiele osób przetrwało kataklizm, a przeżycia były tak ciężkie, że nie chciano do niech, nawet we wspomnieniach wracać. A więc nie opowiadano. Nie znano przyczyny ich nieszczęścia. No cóż przyszło morowe powietrze i wybiło ich bliskich..., sąsiadów... Na cmentarz grzebalny nie było, komu wywozić zmarłych, tylu ich było, więc chowano blisko swego miejsca zamieszkania. Zmarłych znajdowano wszędzie, w mieszkaniach, na podwórzach, na polach, w ogrodach. Wiedzieli, że zaraza mieszka w zmarłych i trzeba ich szybko ukryć w ziemi, aby się nie wydostawała do żywych, jeżeli żywi chcą przetrwać. Modlili się. Na krzyżach często umieszczano suplikację OD POWIETRZA, GŁODU, OGNIA I WOJNY, WYBAW NAS PANIE. Powietrze, to zaraza, zazwyczaj towarzyszy wojnie, podobnie, jak ogień i głód. Nikt nie potrafił powiedzieć, kiedy ten cmentarz powstał? Dawniej na wsi budowano tylko groby ziemne z kopczykiem ziemnym i drewnianym krzyżem, często bardzo masywnym, najczęściej wykonanym z sosny. Nierzadko w wierzchołek pionowej belki wbijano żelazny krzyżyk wykuty przez kowala. Podobno wcześniej na grobach zataczano sporej wielkości kamienie dla ich

oznakowania, zastępowały współczesne pomniki. Krzyżki znajdowane przez nas były czarne, ale nieskorodowane. Przetrwały swoje drewniane podstawy, nie znajdowaliśmy żadnych kamieni. Według ustnego przekazu zostały wykorzystane do budowy obory na posesji Stanisława Tomczuka. Nie wiemy czy oborę budował Stanisław czy jego teść Hackiewicz. Obora została zbudowana w okresie międzywojennym już w latach trzydziestych. Część kamieni wzięto z mogilek, nikt się już nimi nie interesował, a zatem nikt nie pamiętał, jakie groby pod nimi się znajdowały. Zapewne żadnych rozpoznawalnych grobów już nie było. Zatem można pokusić się o oszacowanie czasu powstania cmentarza. Według naszych szacunków musiał powstać w przedziale czasowym 150 -180 lat. Niestety, nie mamy żadnych informacji, co o mogiłkach wiedzieli nasi dziadkowie. Nie wiemy czy nasi dziadkowie jeszcze widzieli drewniane krzyże?

Zarazy, morowe powietrze, jak nazywano pandemie, dziesiątkowały ludność Podlasia. Często w odstępach kilku czy kilkunastoletnich. Pierwszy opis zarazy na Podlasiu znajdujemy w Kronice Parafii Sarnaki z 1657 roku sporządzony przez księdza Stanisława Rosochackiego, który objął parafię po zamordowanym przez szwedzkich żołdaków czy też kozaków księdzu Wojciechu Strusu, plądrujących Podlasie. Ze Szwedami przyszła zaraza. W Kronikach ksiądz nie określa rodzaju choroby, prawdopodobnie nie potrafił jej nazwać. A oto, co pisze ksiądz Rosochacki (zapis oryginalny) o zastanych wydarzeniach:

Ja ksiądz Stanisław Rosochacki pleban tego miejsca nastąpiwszy... na wioskę Sarnaki dla grzechów naszych ciężkich powietrza srogiego w roku tymże w miesiącu październiku dnia 2 octobra, gdy mi nadspodziewanie może przyszło samotnemu zostawać między zapowietrzonymi przez niedziel ze 4 w codziennym strachu wielkim, gdzie wszyscy ludzie wymarli, ledwie osób pięć albo coś więcej zostało się. Że tedy Xtimis diebus tego miesiąca octobris post festum św. Łuca [św. Łukasza] dostało się i mnie samotnemu, już było extremy laborare od godziny w ciężkiej gorączce i zawrocie głowy bez pamięci z dwiema bracią.

Przyszła mi na pamięć szczególna protekcja Matki Miłosiernej miejsca tutecznego do obrazu jej w wielkim ołtarzu zostającego od lat kilkuset 4 i pięćdziesiąt w tym kościele sarnackim, gdzie decembens lecto ledwie się jej opiece oddałem i z bracią moją chorą leżącą i obiecałem Mszą Św., by i chory tudzież odprawić prędko, teje nocy do siebie przyszedłszy po odprawieniu pacierzy kapłańskich, oraz szedłem do kościoła bardzo chory o kiju, z Wojciechem bratem moim młodszym chorym także. I sam przystąpiwszy do Mszy Św. Ledwie co mogłem czytać u ołtarza św. i... przyszedłszy do kanonu zaczynając: *Te igitur et* zdrowym zostałem i z tym, co mi służył. Po Mszy Św. Bogu i Matce Jego Przenajświętszej w tym kościele zostającej, oddawszy dzięki zwrócony do domu, zastałem i trzeciego zdrowego.

Z innych informacji wynikało, że wiele wiosek i miasteczek wymarło tak, że nikt nie pozostał przy życiu. Podlasie opustoszało. Nie ma dowodów, że zaraza ominęła Mierzvice, wówczas zamieszkałe przez Rusinów należących do świeżo utworzonego kościoła unickiego. Tak czy inaczej ich cerkiew mieściła się w Mielniku. Według pani Joanny Korch, podczas „potopu” Polskę nawiedziła

dżuma, którą Szwedzi przywlekli ze Skandynawii. Ksiądz Stanisław Rosochacki opuszcza parafię sarnacką w 1697 roku. Jego zapisy kronikarskie są najbardziej obfite i treściwe. Oczywiście ta zaraza nie spowodowała powstania cmentarza w Mierzwicach znanego pod nazwą Mogiłki. Nie mamy żadnych informacji, gdzie ówczesnych zmarłych pochowano.

Cholera przywędrowała do Polski dopiero około 1817 roku. W Siedlcach, w pobliżu kolumny z krzyżem przy Ulicy Sokołowskiej, podczas wykopów pod budynek natrafiono na grób zawierający kilkaset szkieletów młodych mężczyzn niewschodniego pochodzenia, bez typowych obrażeń wojennych. Archeolodzy stwierdzili, że były to ofiary zarazy, być może wśród żołnierzy francuskich. A oni znaleźli się w Siedlcach raczej w 1913 roku. Nie mamy wiedzy czy choroba, na którą zmarli, to była cholera. Nie mamy pewności, skąd ją przywleczono. Może to być pozostałość po wojnach napoleońskich.

Na Podlasiu przywędrowała z wojskami carskimi skierowanymi z Kaukazu do stłumienia powstania listopadowego w 1831 roku. Na cholere zmarł książę Konstanty namiestnik carski na Polskę oraz rosyjski generał Dybicz. Jest wielce prawdopodobne, że w tym czasie zagościła cholera w Mierzwicach niszcząc wiele istnień ludzkich. Podczas powstania listopadowego na Podlasiu stoczono wiele bitew, więc tędy przemieszczały się armie ze wschodu.

Leczono miejscowymi, mało skutecznymi sposobami. Wymierało do sześćdziesięciu procent populacji. W Mierzwicach najwięcej było unitów, ale pojawili się też katolicy należący do parafii sarnackiej. W kronikach parafialnych nie ma najmniejszej wzmianki o epidemii. Z innych źródeł wynikało, że epidemia była i narobiła spustoszeń. Dużo ludzi wymarło w Konstantynowie, w Kornicy, w Hołowczycach. Druga fala epidemii cholery o równie dalekosiężnych skutkach miała miejsce w 1855 roku. W kronice jest wspomnienie, że w tym roku założono nowy cmentarz pod Chybowem i wspomniano również między wierszami o zmaganiach się Sarnak z cholera.

Wśród mieszkańców Mierzwic krążyła opowieść, o jakichś podróżnych, którzy zatrzymali się w miejscowej karczmie. Nie mieli pieniędzy, aby zapłacić za nocleg i jedzenie, więc, jako zapłatę zostawili swoje wierzchnie okrycia. Okazało się, że z nimi do Mierzwic przywędrowała cholera, mogło to być w 1855 roku. Z Mierzwic nie mamy żadnych relacji o przebiegu choroby. Cholere już wtedy dawano się leczyć przede wszystkim przez zapobieganiu odwodnieniu. Tam, gdzie nie potrafiono tego robić żniwo śmierci było obfite. Wiemy tylko tyle, że nieboszczyków zwożono wozami zaopatrzonymi w gnojówki wyścielone słomą lub grochowinami, a potem zsuwano do grobów. W jednym grobie chowano wszystkich zmarłych w tym samym czasie z jednej rodziny. Zdrowi kopali groby i zwozili zmarłych. Nie robiono trumien, bo nie było, komu tego robić, podczas zbierania zmarłych starano się ich nie dotykać. Zabierano tak, jak byli ubrani. Do grobu się nie wkładało, a sypchało. Zaraza szalała kilka tygodni. Groby oznaczano małym nasypem i kamieniami. Krzyże zapewne postawiono później.

Na Podlasiu takich cmentarzy cholerycznych było bardzo dużo.

G. Kąpieliska

Nazwa tego rozdziału jest trochę przewrotna, bo przez kąpielisko na ogół rozumiemy eksponowaną turystycznie miejscowość, położoną w atrakcyjnym miejscu: nad morzem, nad jeziorem, a nawet rzeką, z licznymi pensjonatami, restauracjami, kawiarniami, salami dancinowymi z pięknie zagospodarowanymi plażami i całą infrastrukturą z tym związaną, oferującymi wczasowiczom, i kuracjuszom: spanie, jedzenie, wypoczynek, i rozrywkę na wysokim poziomie. Nasze kąpieliska, to jedynie miejsca w rzece Bug, które wykorzystywaliśmy, jako dzieci i młodzież zażywając w nich w miarę bezpiecznej kąpeli, robiliśmy to, w sezonie prawie codziennie, a nawet kilka razy dziennie. Wtedy byliśmy najczystsza częścią, mierzwińskiej społeczności, bo woda w rzece w owym czasie rzeczywiście była czysta i nie powodowała żadnych schorzeń u kąpiących się. Zdarzało się czasem siorbnać pokaźny haust bużańskiej wody. Nic się nie działo. Zazwyczaj należało po wyschnięciu tylko wytrześć piasek z włosów, też był czysty i niebrudzący. W owym czasie w szkole obowiązywała moda, a la Yul Brynner, amerykański aktor absolutnie tysy. Dziewczęta raczej nie brały udziału w kąpielach. Pierwszy autor tej relacji nauczył się pływać zaraz po tym, jak nauczył się chodzić, skoro tylko przełamał strach przed opuszczeniem rodzinnego gniazda i o własnych siłach sam dotarł nad rzekę, oczywiście w towarzystwie oddanych kolegów i przyjaciół.



Fot.72. Za powalonym drzewem było kąpielisko. Tędy płynęła rzeka

Nikt go nie uczył pływania. Te umiejętności nabywało się własnym przemysłem i wytrwałością. Często używano się wspomnienia w postaci pływaków, które robiło się z sitowia. O materiał było łatwo, bo rosło w różnych zacisznych zastoiskach na rzece, a w szczególności obfite jego źródła pochodziły z nad jeziora, z Trojana. Konstrukcja pływaków była bajecznie prosta. Należało sporządzić dwie wiązki sitowia przycięte na długość nie większą, niż czterdzieści centymetrów o średnicy dwudziestu, przewiązać je w kilku miejscach mocnym sznurkiem i połączyć tak, aby między nimi zmieścił się tors pływaka. Ręce i nogi powinny mieć pełną swobodę ruchu. Nikt z dorosłych nas nie pilnował, bo na wsi ludzie nie mieli czasu na zajmowanie się takimi sprawami. Rodzice oddawali nas pod opiekę Opaczności Boskiej i to w zupełności wystarczało, bo utonąć nie było. Rzeka była, jakby drugim domem, w którym w lecie spędzaliśmy dużo czasu. Jako ciekawostkę warto wspomnieć, że wśród dziewcząt zamieszkujących Mierzvice i Kolonie potrafiła pływać tylko Krysia Bogdaniukówna, moja najlepsza przyjaciółka. Pierwsze kąpielisko, które zawsze będę wspominać z łezką w oku, mówił Andrzej - autor wspomnień – było „Na Szybowym”, bo tak nazywał się właściciel kilkunastohektarowego gospodarstwa przylegającego do Bugu. Mieściło się w odnodze rzeki z leniwym prądem omywającym na płyciźnie

opisany wcześniej kamień, a tu tworzącej trzymetrową głębinkę przylegającą do czystego i wysokiego brzegu, doskonale nadającego się na skocznię, do nurkowania. Nurkowaliśmy zawzięcie. Właściwie miejsca do pływania było niewiele, ale tu nie chodziło o pływanie, najważniejsze było nurkowanie, bo głębinka otoczona była ze wszystkich stron pływaczami. Od strony głównego nurtu oddzielała ją wyspa ze wspaniałą plażą wypełnioną czystym, żółtym piaskiem, w dodatku osłonięta od północy i wschodu zaroślami krzaczastej wierzby. Z kąpiele korzystaliśmy już od początku czerwca, chociaż do Świętojanowych święceń dzieliło jeszcze ponad trzy tygodnie. Zdarzało się, że ekipa przybiegała na przerwę, bo szkoła mieściła się kilkaset metrów od wspomnianego kąpieliska, po drodze się rozbiegała, dawała kilka nurków i migiem wracała na lekcję, czasem zdarzały się potknięcia, które skutkowały łapą, stanem w kącie lub „kozą”. Po lekcjach obowiązkowo wszyscy chłopcy wędrowali „Na Szybowe” do swego ulubionego kąpieliska.

Podczas zimowych wojaży po zamrożonych bajorkach też zdarzało się temu i owemu zuchowi wykąpać się w zimnej wodzie pod załamany lodem. To nie były celowe kąpiele, ale zdarzały się. Aby uniknąć nieprzyjemnych kontaktów z rodziną, często suszyliśmy się przy ognisku. Też nie byłem „morsem”, ale najwcześniejszą kąpiel zaliczyłem 27 marca w bajorku, jakie powstało na łące po stopniu się śniegu. Wydawało mi się, że woda była ciepła. Miałem wtedy osiem lat, to do rozumu było jeszcze daleko. Na szczęście nie zachorowałem, a nawet nie miałem najzwyklejszego kataru.



Fot.73. Bużysko Sadzawki

W ciągu kilkudziesięciu lat rzeka przesunęła się o kilkadziesiąt metrów na północny wschód. Wyspa stała się częścią stałego lądu, a nasze „kąpielisko” powoli przekształca się w bużysko. W tej chwili jest zabagnioną zatoką, do której wpada strumyk, który dawniej nazywaliśmy, po prostu Rowkiem, a który odprowadzał wody ze źródeł zasilających bużyska zwane Sadzawakmi. Brzeg zarósł i stał się niedostępny, a właściciel przyległego gruntu z Szyby zamienił się w Hackiewicza. Użytkownicy kąpieliska w większości już wymarli, niektórzy wyjechali. Obecnie prawie nikt nie pamięta, że w tym miejscu, kiedyś byli ludzie, którzy tu zażywali kąpiele.

Drugie miejsce, które cieszyło się niezwykłą popularnością wśród mieszkańców, a zwłaszcza letników zamieszkujących w lecie Mierzvice, leżało w połowie wsi, które w popularnym slangu nazywało się „Na Polikartowym”, a to, dlatego, że do rzeki przylegała działka Karwackiego Polikarpa mieszkającego prawie w środku wsi. Działka była wąska i po obu stronach miała sąsiadów, a nazwę nadali



Fot.74. „Na Polikartowym” też było kąpielisko

wiejszy użytkownicy kąpieliska, wiedząc, że środek znajduje się na brzegu należącym do pana Polikarpa nazywanego Polikartem. Jakoś to się przyjęło i miejscowi doskonale wiedzieli, o co, w tym wszystkim chodzi. Przyjezdni szybko się uczyli i też z nazwą kojarzyli właściwe miejsce. Jeżeli chciało się bezpiecznie popływać, to się wędrowało „Na Polikartowe”. Brzeg był łysy, wysoki, stromy, zarosnięty rachityczną trawą z uwagi na piaszczystą glebę. Obok biegła droga. Przy brzegu koryto stanowiło pewnego rodzaju rynnę o gładkim i przewidywalnym dnie i głębokości wystarczającej do pływania. Głębokość jej rosła w miarę przesuwania się w górę rzeki. Pływacy w zależności od umiejętności pływackich startowali z punktu leżącego wyżej lub niżej koryta. Bystry nurt bardzo pomagał w pływaniu z prądem, w drugą stronę już za bardzo pływać się nie dało, chyba, że trafił się silny pływak, który potrafił pływać kraulem. Środek rzeki zajmowała płycizna nadająca się do bezpiecznego brodzenia. Nigdzie nie kończyła gwałtownym i głębokim spadkiem i nikomu nie zagrażała. Dzieci mogły się tu wyżywać. Podczas dłuższej suszy część jej zamieniała się w piaszczystą łachę. Obecnie jest tu solidnych rozmiarów wyspa.

Tutaj Bug zachowuje się inaczej, bo koryto bez przerwy przesuwa się w kierunku południowo-zachodniej krawędzi doliny. Próbowano powstrzymać rzekę budując kamienną główkę, ale rzeka szybko się z nią uporowała. W tej chwili o obecności kamieni świadczą zwary, charakterystyczne warkoczki, które



Fot.75. Nadbużańska droga gruntowa prowadząca między innymi do „Polikartowego”

wytwarza prąd napotykający podwodne przeszkody. Dawniej koryto rzeki znajdowało się kilkadziesiąt metrów dalej w kierunku północno - wschodnim. Teraz wysoki brzeg, na którym rosło kilka polnych gruszek dających cień wypoczywającym wczasowiczom pochłonęła już zaborcza rzeka. W zasadzie nikt tu się nie kąpie, a nawet rzadko spotyka się spacerowiczów. Czasem ktoś pokusi się na spacer po łasze, o ile pokona przybrzeżną

głębinkę. Też się znacznie wypłyciła. Główny nurt przeniósł się poza płycizny i wyspę, i jest bliżej osłowskiego brzegu (to od Osłowa). Zapewne za kilka lat łąd powróci, a rzeka popłynie korytem bardziej przesuniętym na drugą stronę. W czasach naszej młodości nad samą rzeką Zygmunt Rybaczuk, a wcześniej jego rodzice uprawiali na poletku przylegającym do rzeki brukiew, a więc ziemia musiała być niezła. W tej chwili całe pole zalało się w korycie rzeki. Ówczesny brzeg znajdował się tam, gdzie teraz jest prawy brzeg wyspy.

W Mierzwicach mieszkało kilku „specjalistów”, którzy mogli traktować wodę, jako swój drugi, naturalny żywioł, w którym czuli się doskonale. Na pewno takim „specjalistą”, był Mietek Karpiuk i Antek Kaleńczuk. Obaj potrafili przepłynąć rzekę pod wodą z jednego brzegu na drugi bez wynurzania się, aby tylko głębokość była wystarczająca. Nieraz demonstrowali te umiejętności na zakręcie rzeki w



Fot.76. Antek i Mietek potrafili tu przepłynąć rzekę pod wodą

po bliziu Mierzwic. Misio Sztukiewicz, siedlczanin, potrafił przyplłynąć z prądem z Trojana do mostu. Na szczęście korzystał z asekuracji w postaci kajaka, w którym płynął ktoś z przyjaciół pływaka.

W latach sześćdziesiątych powstało wiele ośrodków wczasowych w lesie, w okolicy Mierzwic, wzdłuż drogi prowadzącej do Serpelic. Domkami kempingowymi zabudowano wąski pas lasu ciągnący się wzdłuż drogi prowadzącej z Mierzwic, do Serpelic. Zabudowa ciągnęła się ponad półtora kilometra, aż do Wysokiego Łądu. Wczasy nad Bugiem cieszyły się dużym powodzeniem. Przez dwa wakacyjne miesiące przewijało się tu kilka tysięcy ludzi. Bug należał do



Fot.77. Na Zaskiepiu była plaża i woda

głównych atrakcji. Na Zaskiepiu zorganizowano kąpielisko. Plaża już istniała, bo północny i zachodni brzeg półwyspu pokrywał w miarę czysty piasek i było go bardzo dużo. W owym czasie, Zaskiepie był mierzwickim pastewnikiem pokrytym nędzną trawą, na którym próbowało się wyżywić stado krów należące do miejscowych gospodarzy, Trawa nędzna, więc krowki znaczną część czasu spędzały w wodzie lub na plaży. Zawłaszczyły najbardziej zachodnią część półwyspu. W Bugu dno tu było muliste i bardzo nierówne. Koegzystencja między krowami, a wczasowiczami była tak dobra, jak sowietów z Amerykanami. Po wschodniej stronie rosło trochę sosen, a w korycie prawdopodobnie przebywały ryby, o czym wiedzieli, niektórzy wędkarze, których kilku zaplatało się między wczasowiczami. Wody na cyplu były płytkie, a podczas niskich stanów wynurzały się wielkie piaszczyste łachy. Dzieciaki miały frajdę. Trzeba tylko pilnować, aby nie chciały w sposób niekontrolowany wchodzić do wody. Po zachodniej stronie cypla na dość silnym nurcie, czyszczącym dno z mułu, wytyczono kąpielisko dla dzieci i osób bardziej zaawansowanych. Oznakowano je bojami i odpowiednio rozpiętymi linami. Nad bezpieczeństwem kąpiących się czuwali ratownicy. Był to krótki okres, kiedy nad rzekę przyszedł profesjonalizm i próbowano ją ucywilizować. Na usługach ratownika była łódka z wiosłami na



Fot.78. Ta część rzeki okazała się prawdziwym topieliskiem

dulkach. Stał maszt. W czasie jego nieobecności wieszano czarną flagę. Ratownik jeszcze miał gwizdek, którym dawał sygnał, jeżeli, ktoś z korzystających z kąpieliska wyszedł poza wyznaczone ramy. Wyższa cywilizacja na kąpielisku dość szybko się skończyła, z uwagi na poczynione oszczędności.

Zaskiep nie był szczęśliwym kąpieliskiem. Oprócz pływaczni na środku cypla wiele niebezpiecznych pułapek kryło się po północno-zachodniej stronie półwyspu. Prawdopodobnie w dzień znajdowały się tu wychodne kurzawki, takiej dziwnej skały, która w stanie bezwodnym przypomina granit, a po nawodnieniu tworzy łatwo wyplukiwaną breję. W miejscach jej występowania nurt rzeki wyplukał jamy o stromych brzegach. Były one pułapkami, nawet dla bardzo dobrych i wytrwałych pływaków. Takich pułapek było kilka w północnym i północno zachodnim korycie rzeki omywającym Zaskiep i to za plażami, które kusiły piaskiem i pływaczni do nich przylegającymi. Największe żniwo zbierała rzeka w niedzielę, kiedy nad Bugiem zjawiali się niedzielni wczasowicze. Była taka jedna, kiedy rzeka pochłonęła w ciągu jednego dnia kilka osób, a zaczęło się wcześniej rano. W pewnym momencie nad brzegiem rzeki pojawił się ojciec pewnego chłopaka. Ojca chłopca znał Andrzej. *Podobno utonął mój chłopak? Ni to rzekł, ni to zapytał? Chyba nie! Słyszałem, że utonęły dwie dziewczyny.* Okazało się, że chłopak też utonął. Do wieczora jeszcze zdarzyło się kilka utonięć. To była naprawdę czarna niedziela. Trudno zrozumieć, dlaczego wcześniejsze utonięcia nie odstraszyły następnych? Ten rok był szczególnie obfity w takie wydarzenia. W dwa tygodnie po feralnej niedzielni nad rzekę przyjechał samochodem pan w średnim wieku, w towarzystwie trzech pań. Dwie wyglądały na dziewczyny, a trzecia na ich matkę. Pan na pewno nie był ojcem dziewcząt, a pani nie była jego żoną. Zdarzenie opowiedział Andrzejowi naoczny świadek, który z rodziną w owym czasie przebywał na plaży. Oczywiście, pan nieźle pływał i zapragnął nauczyć tej sztuki towarzyszące mu nadobne panie.

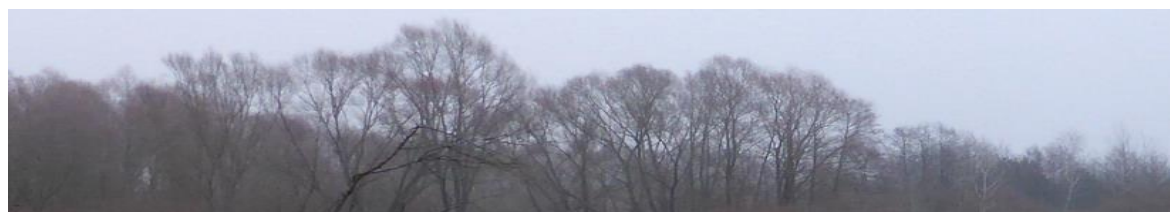


Fot.79. Wody stawały się coraz żyźniejsze

Zaczął od starszej, nawet nieźle szło, być może pani trochę potrafiła pływać, z córkami było znacznie gorzej. Nauka trwała dość długo i wszystko przebiegało pomyślnie. Cała czwórka doskonale się bawiła. Dziewczyny próbowały być samodzielne. Wyszły na środek rzeki. W pewnym momencie dziewczęta straciły grunt po nogami, zaczęły tonąć. Na ratunek rzucił się pan i matka. Wypchnął dziewczyny na płytszą wodę. Na ratunek również pospieszył z materacem znajomy. Dziewczyny i matkę udało mu się wyciągnąć przy pomocy materaca, którego kurczowo się uchwyciły. Niestety pan zniknął pod wodą i więcej się nie pokazał. Głębia okazała się rozległa, a prąd dość bystry. Na nieszczęście znajomy nie potrafił pływać. Nad rzeką został samochód. Żadna z pań nie miała prawa jazdy. Pana wyłowiono po kilku dniach dwa kilometry od miejsca tragedii. Niestety kąpielisko na Zaskiepiu zbierało obfite żniwo. W sumie utonąło tu, podczas kilku sezonów kilkadziesiąt osób. Na pamiątkę nieszczęścia ustawiano krzyże. Ostrzegaly również tablice. Miały ostrzegać. Nie zawsze to im się udawało, to nie było dobre miejsce. Rzeka zawsze zabierała ofiary. Uważano ją za bardzo zdradliwą. Tam zostawali. Swoją przykrą przygodę przeżył tu również Grzegorz, drugi autor tych wspomnień. Na

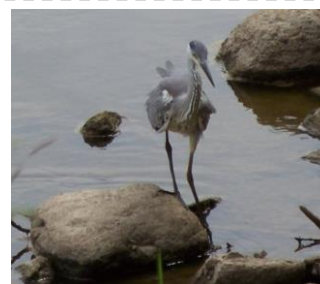
szczęście nie zakończyła się tragicznie.

Niedbała gierkowska rewolucja przemysłowa spowodowała niesamowite straty w polskiej przyrodzie, ucierpiał i Bug. Budowano zakłady przemysłowe, ale zapomniano o infrastrukturze. Na takie drobiazgi, jak oczyszczalnie ścieków zabrakło pieniędzy. Spuszczano je nieoczyszczone do rzek. W dodatku zaczęto stosować masowo nawozy sztuczne. W większości splukiwały je deszcze do rzek. Krzna największy lewobrzeżny dopływ Bugu stała się jednym wielkim rowem kloacznym. Drugim podobnym była Leśna niosąca brudy z hajnowskich zakładów chemicznych wpadająca do Bugu z prawej strony w pobliżu Brześcia. Na Muchawcu sowieci wybudowali zaporę, skąd czerpali wodę dla trzystutysięcznej aglomeracji brzeskiej Nadmiar poprzez Kanał Królewski odprowadzano do Prypeci. Do Bugu zrzucano nieoczyszczone ścieki komunalne i przemysłowe. W bużańskiej wodzie częste kontrole sanepidu znajdowały pałeczki koli i innych mikrobow chorobotwórczych. Rzeka nie nadawała się do



Fot.80. Dawne plaże zarosła bujna roślinność

kąpieli. Ludzie przestali tonąć w Bugu. Znikły piaszczyste plaże, a pojawiły bagniste, szare łachy. Brzegi pokrywała bardzo żyzna gleba. Zaczęły gwałtownie zarastać, nie tylko różnymi gatunkami wierzby, ale i innymi gatunkami drzew, których tu dawniej nie było. Rośliny znajdowały pomyślne warunki rozwoju. Na brzegach pojawiły się bujne chwasty. Wśród których królowały dorodne pokrzywy, trawy, łopiany. Rzeka stawała się coraz bardziej niedostępna. Nadbrzeżne zarośla swoim bogactwem coraz bardziej upodabniały się do tropikalnych dżungli, oczywiście roślinność była inna. W rzece płynęła czarna, nieprzezroczysta woda. Na płycznach nie dawało się zobaczyć najmniejszych śladów dna. Znikły małże, żab też było mało. Podziwialiśmy czaple, które nie umierały z głodu, więc łowiły ryby. Musiały je zobaczyć. Obok szarych pojawiły się białe i chętnie tu zaczynały gniazdować. Klimat się ocieplił i bardzo, osuszył. W zimie spada mało śniegu. Bug zamarza, ale pokrywa lodowa bywa cienka i krótko pokrywa rzekę. Rzeka niesie, nawet na wiosnę, stosunkowo niewiele wody. Półwysep Zaskiep od dłuższego czasu nie jest zalewany. Skorzystały z tego sosny. One nie przepadają za nadmiarem wody, nie lubią zlewanych terenów, za to, uwielbiają słabe, piaszczyste, dobrze przepuszczalne gleby. Z nadbużańskiego pejzażu znikły krowy. Łąk też nikt nie kosi. Pastwisko zagospodarowały sosny. Same się zasiały. Wody też się oczyszczają. W Brześciu działają oczyszczalnie ścieków. W naszych rzekach też. Powoli wracają piaszczyste łachy. Bug się odbudowuje, staje się takim, jakim był.



Fot.81. Czaple żyją, więc muszą łowić ryby

H. Kataklizmy

Początek Mierzwic ginie w pomroce dziejów. Zapewne powstały, jako, osada leśna posadowiona na wysokiej nadbużańskiej skarpie. Pisane źródła z 1533 roku wymieniają ją, jako wieś królewską mającą, kilkadziesiąt domów, które sklasyfikowano, jako chaty dymne i kurne. Mieszkańcy uprawiali ziemię, ale również trudnili się wyrobem węgla drzewnego i innych produktów otrzymywanych z lasu. Źródła są skąpe. Zapewne, podczas najazdu szwedzkiego wieś wymarła przetrzebiona przez obce wojska, ale i zarazy, które one przywlokły. Nie obcy był głód.

W pierwszej połowie dziewiętnastego wieku pojawiły się Mierzvice Nowe, a istniejące Mierzvice otrzymały dla rozróżnienia przymiotnik Stare. Rodowody wsi z przymiotnikiem nowe są bardzo podobne. To efekt wojen napoleońskich i praw, jakie rozprzestrzeniały. Tu było Księstwo Warszawskie. Wszystkie powstały, w tym samym czasie. Akurat Mierzvice Nowe posadowiono w odległości około jednego kilometra od Mierzwic Starych, na najslabszych gruntach ówczesnych dóbr należących być może do starosty drohickiego. Fronolów powstał, jako stacja kolejowa na linii Siedlce - Czeremcha zbudowanej w 1905 roku. Kolonie Mierzvice pojawiły się już w wolnej Polsce, po reformie rolnej w 1926 roku, na ziemiach dawnego majoratu Mierzvice.

*Mierzvice, jak większość wsi po tej stronie Bugu składała się z chałup krytych strzechą, ustawionych szczytem do wiejskiej drogi. Tak wyglądała chałupa dziadków Andrzeja i pradziadków Andrzeja i Grzegorza.. Późniejsze domy już stawiano frontem do ulicy. Wszystkie budynki gospodarcze też kryto słomą. O pożar było łatwo, bo wokół znajdowało się mnóstwo materiałów łatwopalnych. Źródłem nieszczęścia mogła być zwykła nieostrożność, albo uderzenie pioruna. W przeszłości przy chatach rosły wysokie drzewa zwane chatnikami. Jak wierzono, były siedzibą dobrych duchów chroniących chaty, a tak naprawdę pełniły funkcje piorunochronów. O skuteczności może zaświadczyć fakt sprzed lat. Przy domu naszych dziadków rósł wyniosły świerk, w który, według ich relacji przynajmniej dwa razy uderzył piorun. Dom ocalał. Ostatnie takie wydarzenie miało miejsce w lecie 1947 roku. W tej chwili już nie ma świerka, ale jest odgromienie, które powinno zabezpieczyć dom przed wyładowaniami atmosferycznymi. Prawdopodobnie, ani razu nie uderzył w nie piorun od momentu zainstalowania. **Przy domu moich kuzynów w Mierzvicach** - twierdził Andrzej **rosła wyniosła, gruba sosna, z gęstą koroną na szczycie, którą nazywano paroslakiem. W słowniku języka polskiego nie ma takiego słowa. Może pochodzi od parasola.** Rzeczywiście sosna przypominała rozłożony parasol. Częściowo chroniła dom. Sosna rosła na piachu, więc głęboko zapuściła korzenie, nie dała się przewrócić. Wichry jej nie zmogły. Zginęła pod ciosami siekiery.*

Autorzy nie mają żadnych informacji o pożarach nękających wieś przed Pierwszą Wojną Światową. Na Nadbużańskie Podlasie wojna przyszła dopiero

w sierpniu 1915 roku. Od razu weszła bardzo ostro. Bug stanowił pokaźną przeszkodę w ruchu wojsk. Rosjanie próbowali się bronić wykorzystując naturalną barierę, jaką stanowiła rzeka. Sierpień, to zazwyczaj miesiąc, w którym poziom wód na polskich rzekach jest bardzo niski. Prawdopodobnie najniższy w ciągu całego roku. Artyleria strzelała przez rzekę. Na efekty nie trzeba było zbyt długo czekać. Zapaliły się domy w środku wsi. Zapewne Niemców we wsi nie było, bo i po co?. Wypaliło się od Karwackich i Maksymiuków, aż po Hackiewiczów. Spłonęło kilkanaście domów. Nie wiemy, skąd się zaczęło. Zapewne nikt chatup nie ratował, bo życie było milsze, niż najcenniejszy dobytek. Przez kilka dni Mierzvice znalazły się na linii frontu, w samym jego sercu, może nie tyle walk, co zniszczenia. To była największa pożoga, jaką zafundowała mieszkańcom wojna. Chyba od kul nikt nie zginał. Gnębiły choroby i niedostatek, i one siały spustoszenie. Zaczęła się okupacja. Wkrótce okazało się, że „kulturalni” Niemcy są zachłannymi złodziejami. Kradli, co tylko się dało, a w szczególności drewno z lasów. Po wojnie wieś się bardzo zmieniła. Pogorzelnicy odbudowali swoje domy. Wszystkie zwrócone były frontem do drogi z dużymi oknami, kryte dachówką, z ozdobnymi gankami. Jak na owe czasy, bardzo nowoczesne. Lśniły jasnością świeżych ścian i uporządkowanymi obejściami. W lecie przyjmowano wielu letników z Siedlec, a nawet z Warszawy. Mierzvice stawały się ciekawym miejscem, chętnie odwiedzanym przez mieszczuchów. Oczywiście przyciągała czysta rzeka, świeże powietrze i gościnni gospodarze.

Następny pożar, jaki nawiedził Mierzvice, a zapisał się w pamięci starszych mieszkańców, zniszczył stodołę u naszego stryjecznego dziadka Stefana Daniluka noszącego miejscowy przydomek Szyszko. Nie wiemy, skąd się wziął. Całą rodzinę nazywano Szyszami. Stodołę odbudowano jeszcze przed wojną. Była jedyna w swoim rodzaju. Stodoły, jak i inne budynki gospodarcze budowano z solidnych bali, a tu z bali zrobiono tylko szkielet i na tym szkielecie umocowano dwuspadowy dach pokryty strzechą. Ściany powstały z nieobrobionych desek bitych obok siebie i na łączeniach przykrytych opołami. Taką konstrukcję nazywano redlówką, To była pierwsza budowla tego typu we wsi. Opoły to zewnętrzne części pnia ciętego na deski lub bale – kanciaki, w tartaku, czy też ręcznie przez traczy.

W naszym dzieciństwie burze były zjawiskami przerażającymi. Po każdej, gdzieś na horyzoncie widziało się słup dymu palących się budynków, a w nocy krwawe luny. Po każdej burzy strażacy mieli pełne ręce roboty. Znamy kilka przypadków, kiedy piorun uderzył w kupkę zboża i też ją zapalił.

W Mierzvicach od pioruna spaliła się jeszcze jedna stodoła. Burza należała do tych łagodniejszych. Utworzyła się w godzinach południowych. Takie burze nazywamy termicznymi, chmury tworzą się szybko, mają niewielki zasięg, towarzyszą im silne wyładowania atmosferyczne, ulewy są gwałtowne i trwają kilka minut. Zazwyczaj uderza kilka piorunów i chmura szybko się rozpada. Zapaliła się stodoła u pana Jodłowskiego. Niewiele dało się uratować. Iskra

wyładowania atmosferycznego zazwyczaj od razu wytwarza szeroki front ogniowy. Dzięki temu pożar rozprzestrzenia się bardzo szybko i jest trudny do ugaszenia. Zwłaszcza, że do przyjazdu strażaków zawsze upływa trochę czasu.

Kilkakrotnie paliły się lasy w pobliżu Nowych Mierzwic i przy torach kolejowych. Przyczyną była lekkomyślność ludzka lub iskra z komina parowozu. Raz spalił się dom, było to w sierpniu 1952 roku. Dom zamieszkiwali letnicy z



Fot.82. Tyle zostało z domu, który, kiedyś zamieszkiwali Kołtuniakowie

Warszawy. Prawdopodobnie przyczyną byli oni. Gospodarze, państwo Kołtuniakowie, w tym czasie pracowali na polu, za lasem, jakieś dwa kilometry od domu. Nawet nie wiedzieli, że dom ich się spalił, ponieważ zza lasu nie było widać pożaru, a powiadomiono ich później, w zasadzie po jego ugaszeniu. Mienie ukryte na strychu próbował ratować brat gospodyni razem z nimi zamieszkujący dom. **Ten pożar widziałem na własne oczy-**

opowiadał Andrzej. Pierwszy raz byłem w bezpośredniej bliskości pożaru, widok palącej się strzechy ciągle mam przed oczyma – twierdził. Wiatru nie było, uratowano budynki gospodarcze pogorzalców i sąsiednie gospodarstwo przylegające bezpośrednio do gospodarstwa Kołtuniaków. Stodoły stykały się ścianami. Spalił się tylko dom. To było duże przeżycie, wtedy miałem piętnaście lat - mówił. Z Mierzwic ze dwa razy oglądaliśmy nocny pożar Osłowa. Tamte pożary były straszne, bo paliły się stodoły wypełnione zbiorami. Wiehcie palącej się słomy spadały w pobliżu zabudowań mierzwickich. Na szczęście nic się nie zapaliło. Podobno pożary osłowickie powstawały w wyniku podpalenia. Podobno?

Z piorunami było kilka wydarzeń w okolicach Mierzwic Pewnego rodzaju świadkiem był pierwszy autor tego wspomnienia. Na polu Piwoniego w Rozwadowie widział parę zabitych koni leżących w zaprzęgu. Zabił je piorun podczas orki. Burza zaskoczyła oracza. Była jedną z tych niewinnych burz termicznych, o których pisaliśmy. Na szczęście w nieszczęściu, oraczowi nic się nie stało, tylko zginęły konie. Mieszkaniec Mierzwic Tadeusz Jędrzejuk zbliżał się do kępy drzew, w jedno uderzył piorun. Nie poraził go, ale huk tak go ogłuszył, że bardzo pogorszył mu się słuch, który i tak miał osłabiony. I tak miał szczęście. Znamy dwa przypadki pojawienia się pioruna kulistego. Jeden uderzył w gajówkę w Uroczysku Fronolów. Przez komin wpadł do kuchni, szyber był odsunięty i rozładował się na metalowej płycie. Nikomu z domowników nic się nie stało i dom też ocalał. I drugi już tragiczny. Incydent miał miejsce na Kolonii Mierzvice w gospodarstwie państwa Radzikowskich. Piorun w postaci ognistej kuli wpadł do kuchni przez komin. Szyber też był odsunięty. Ze strugą powietrza powędrował do otwartych drzwi wejściowych prowadzących na ganek. Na miejscu zginął brat właściciela domu i letnik, który przyszedł po truskawki. Obaj stali w przejściu oparci o framugę. Chmura była niewielka i wyładowań kilka.

Chmury termiczne są małe i zazwyczaj nie tworzą komórek burzowych. Nie ma wyładowań wewnątrz chmury, tylko między chmurą a ziemią.

I. Zwyczaje, które zaginęły

Mierzvice dawne, a współczesne, to dwa zupełnie inne światy. W dawnych było bardzo dużo ludzi, wszystkie domy zamieszkałe, we współczesnych jest wiele pustych, których mieszkańcy wymarli lub wyjechali, nieraz bardzo daleko. Są domy, które „żyją” tylko w weekendy i w okresie wakacji. W niektórych mieszkają emeryci, którzy wybrali ciche i spokojne życie na wsi. Mieszkają często w nowych domach, albo gruntownie przebudowanych już wcześniej istniejących, przekształconych zgodnie z duchem czasu. W dalszym ciągu powstają nowe. Teraz domów jest znacznie więcej, a wieś zatraciła dawny charakter ulicówki. Prawie nie ma budynków gospodarczych. Znikają stodoły, chlewy, chlewiki, obórki, kurniki. Koguty nie pieją i nie zawiadamiają gospodarzy, że już czas wstawać, nie słychać gdakania kur obwieszczających światu, że przed chwilą narodziło się jajko. Nie słychać rżenia koni, krowy też się nie odzywają. Na wiosnę żaby prawie nie kumkają, a śpiewy ptaków są anemiczne. Niektóre opuściły lasy i pola, i przeniosły się do miasta, ale tam ich też nie słychać, bo jazgot ulicy wszystko tłumi. Bez elektryczności nikt już nie potrafi egzystować. Od telewizji trudno się oderwać.

Jest kilka młodych rodzin, które zamieszkały na wsi, ale pracują w mieście, dojeżdżają. We wsi są tylko cztery rodziny utrzymujące się z rolnictwa, jako głównego źródła. Pola zostały zalesione. Trzy wsie splątały się w okolicach kaplicy. Są tu Mierzvice Nowe, Kolonia Mierzvice i trochę dalej Mierzvice Stare. Leśna zabudowa za kaplicą, to Mierzvice Nowe, coś w rodzaju mini enklawy kaliningradzkiej. Listonosz tu ma naprawdę poważny orzech do zgryzienia. Łamigłówa, jak w największym mieście świata, w Tokio, gdzie ulice nie mają nazw. Największy galimatias jest od strony kolei. Na szosie z Sarnak, Mierzvice Stare zaczynają się zaraz za Leskami Pierwszymi, najmniej wątpliwości budzi wjazd od strony Serpelic. Tam Mierzvice zaczynają się już od Wysokiego Łądu. W tej chwili prawie wszędzie panuje tradycja telewizyjna i internetowa, wszędzie szaleje postęp, w niektórych miejscach nawet bardziej. Nastąpiła, jak mówią nasi przyjaciele ze wschodu, urowniłowka. Świat stał się globalną wioską. Więc zwyczaje, o których chcemy mówić zachowały się jeszcze w pamięci ludzi starych, o ile nie muszą się zmagać z alzhajmerem czy starczą demencją. Niektóre rzeczy zapamiętaliśmy z naszego dzieciństwa, a niektóre z opowiadań rodziców i dziadków, którzy już dawno pożegnali ziemski padół, i przenieśli się do szczęśliwego świata, w którym nie ma bólu i łez.

Dawniej na wsi czas odmierzały wschody i zachody słońca, one narzucały określony rytm pracy i wypoczynku. Drugim czynnikiem bardzo ważnym w życiu rolnika były pory roku. Rytm przyrody wciskały się w każdą cząstkę życia dawnych mieszkańców wsi. Wiosna, lato, jesień i zima. Zaczniemy od zimy i zakończmy na zimie. Najpiękniejszym świętem związanym z wiosną była Wielkanoc zarazem najważniejsze święto obchodzone przez chrześcijan, to pamiątka Zmartwychwstania Chrystusa. Zanim zaczynało się świętowanie

Zmartwychwstania należało przeżyć Wielki Post. Zaczynał się od Popielca, jeszcze w zimie, ponieważ Wielkanoc jest świętem związanym z wiosenną pełnią Księżycy i zawsze przypada w pierwszą niedzielę po wiosennej pełni, a ta przypada różnie, od pierwszego dnia wiosny astronomicznej do dwudziestego trzeciego kwietnia, wtedy jest najpiękniejsza. Ale Popielec zawsze wypada, podczas astronomicznej zimy. W tym dniu w kościele posypywano głowy popiołem. Ta tradycja zachowywana jest nadal. Od tego obrzędu powstała polska nazwa uroczystości. W tym dniu obowiązywał ścisły post jakościowy i ilościowy. Byli tacy, którzy ograniczali nawet picie wody. Jadano jeden, bardzo skromny posiłek dziennie. Wielki Post zawsze był okresem wielkiej pokuty. W domu gospodynie śpiewały pieśni wielkopostne, a wieczorem, albo rano również śpiewano Gorzkie Żale. W dawnych czasach post traktowano bardzo poważnie. Wszystkie garnki, w których przyrządzało się potrawy musiały być starannie wyszorowane, aby w żadnym nie pozostały najmniejsze drobiny potraw gotowanych przed postem. Ścisły post praktykowano w piątki, środy i soboty. W pozostałe dni używano okraszania roślinnej w postaci oleju, który otrzymywano z siemienia lnianego. Ówczesny olej prawie wcale nie przypominał współczesnego. Był surowy, a więc go nie rektyfikowano, a gorzkawy smak nadawały mu fuzle. Ziemniaki często jadano bez okraszania lub kraszono przesmażoną śmietaną. W powszechnym użyciu była soczewica, groch, fasola, gryka, proso. Z mąki gryczanej sporządzanej w żarnach wypiekano gryczanniki, bardzo popularne były bułeczki tworzone z tartej marchwi i mąki pszennej, nazywano je marchwiakami, w wielu domach częstą zupą była gruszcanka gotowana z suszonych ulegalek z dodatkiem makaronu. To trochę przypominało zupę owocową. Na miedzach rosły polne grusze, które obficie rodziły małe, twarde gruszki. Zbierało się je pod gruszami i cienką warstwą rozsypywało na strychu. Tam powstawały gnilki, które były już smaczными owocami, ale najlepiej smakowały w postaci wysuszonej. Zazwyczaj w każdej rodzinie sporo przygotowywało się tego specjału. W wielu rodzinach gruszcanka należała do podstawowego dania. Wypiekano też małe bułeczki drożdżowe nadziewane duszoną, kiszoną kapustą z grzybami, marmoladą z jabłek lub śliwek, czasem podrobami, jak się zabiło świniaka. Kapusty uprawiano dużo. Każda gospodyni miała w komorze wielką bekę tego warzywa.

Hucznie obchodzono palmową niedzielę. Starsze dzieci starały się wstać, jak najwcześniej. Poprzedniego dnia w tajemnicy przed domownikami przygotowywało się kilka wierzbowych witek z baziami, które miały posłużyć do palmowania przyjaciół, rodzeństwa, które zasnęło. Najwięcej przyjemności sprawiało wypalmowanie sąsiadki, a wyglądało, to mniej więcej tak: wchodziło się do mieszkania i do łóżka ze śpiącą dziewczyną, zadzierało się kołdrę, i tak przygotowane ciało delikatnie się uderzało przyniesioną palmą, najchętniej w środek ciała, wołając: „Palma bije, nie zabije, młode koćki, stare kije, pamiętajcie chrześcijanie, że za tydzień Zmartwychwstanie”. Czasem palmowało się przez kołdrę. Zazwyczaj wystraszone dziewczę zrywało się z łóżka

i uciekało do drugiej izby. Zabawa była przednia i wszyscy okazywali radość. W Wielkim Tygodniu przygotowywało się do świąt i ciała, i duszę. Dorośli i młodzież uczestniczyli w rekolekcjach i odbywali spowiedź. We wsi budowano wielkanocne huśtawki. Były to poważne instalacje. W ziemię wkopywano dwa wysokie słupy przywiezione z lasu, zabezpieczano je podporami, na specjalnej osi zawieszano hołoble zakończone drewnianą ławą. Na szczycie słupy łączono, kapturem. Huśtawki miały zazwyczaj kilkanaście metrów wysokości. Budowano jedną lub dwie. Najczęściej u Radzikowskich, w pobliżu remizy, u Kazimierza Daniluka, u Dumnych, w pobliżu gajówki. Huśtano się pojedynczo lub parami. Specjaliści potrafili tak rozbijać huśtawkę, że hołoble dotykały kaptura. Przed wojną huśtawkę zbudowano na podwórzu miejscowego kowala. Jeden z synów spadł i złamał sobie rękę. Ojciec się strasznie zdenerwował i w pierwszy dzień Wielkanocy huśtawkę zrąbał. O innych przypadkach historia milczy. Być może nie było. Oprócz huśtawek budowano niskie karuzele zwane krętakami. Tutaj wypadków nie było, najwyżej zakręciło się w głowie.

Od Wielkiego Piątku przy grobie Chrystusa pełnili warty strażacy. Każdy uważał za wielki honor uczestnictwo w takiej straży. W Mierzwicach prężnie działała Ochotnicza Straż Pożarna i ochotników do straży przy Grobie Pańskim zawsze było dużo. Z Wielkanocą związane było święcenie pokarmów. Dawniej święcono wszystko, co znalazło się na stole, podczas wielkanocnego śniadania.

Na rezurekcję wyjeżdżało się wczesnym rankiem, strojnymi furami, załadowanymi po brzegi, Rezurekcja należała do najważniejszych nabożeństw w świątyni. Msza trwała przynajmniej dwie godziny przy nabitym do granic wytrzymałości kościele. Ludzie stali w wielkim tłoku, ale panowała wzorowa dyscyplina. Rezurekcję rozpoczynała uroczysta procesja z Najświętszym Sakramentem ukrytym w bogato zdobionej, złocistej monstrancji, niesionej przez proboszcza, w asyście najbardziej dostojnych obywateli parafii. Przy dźwiękach wszystkich dzwonów i dzwonków obchodziło się kościół trzykrotnie, na pamiątkę trzydniowego pobytu Chrystusa w ciemnicy. Ważny był powrót do domu. Wierzono, że gospodarz, któremu udało się powrócić, jako pierwszy, zagwarantowany miał dobry urodzaj i pomyślność w gospodarstwie przez cały rok. Konie ciężko pracowały, a woźnice robili wszystko, aby do wsi wjechać na czele peletonu. Wiele zależało od startu, bo wozów było zatrzęsienie i wyjazd z „parkingu” nie należał do łatwych. Oczywiście wszystko robiono w granicach zdrowego rozsądku i wyścig traktowano z przymrużeniem oka.

Przy stole spotykała się cała rodzina. Śniadanie poprzedzała modlitwa, spożywanie posiłku zaczynało się od święconki. Główną potrawą zawsze były jaja gotowane na twardo.

W drugi dzień świąt był „lany” poniedziałek. Można było bezkarnie oblewać się od samego rana. Wykorzystywano różnorodne narzędzia. Często oblewano wodą, wprost z wiadra, to już był bardzo mokry śmigus. Najbardziej cierpiały dziewczyny, będące ulubionym obiektem śmigusowania. Niejedna, w tym dniu przebierała się kilkakrotnie, ale i chłopcy namiętnie polewali się wzajemnie.

Oszczędzono starszych mieszkańców wsi.

Do ważnego zwyczaju świątecznego należało malowanie jajek i eksponowanie ich w różnych miejscach mieszkania. Zajmowały honorowe miejsce na stolach. Jajka malowano tworząc niewymyślne, jednobarwne „byczki” bez jakichkolwiek wzorków oraz kolorowe kraszanki. Te rzeczy przygotowywało się już w czasie Wielkiego Postu. Niektóre pisanki, jak je nazywaliśmy, były bardzo ładne, do ich przygotowania potrzebny był воск i specjalny pisak zrobiony z okucia sznurowadła oraz różne barwniki. Najczęściej posługiwano się naturalnymi, które można znaleźć w gospodarstwie. Były doskonałym prezentem wielkanocnym. Jajka często stawały się miejscowym środkiem płatniczym. Na przykład za jajka kupowało się lody.

W maju pod krzyżami, kapliczkami zbierali się mieszkańcy wsi na nabożeństwach majowych. Uczestniczyło w nim dużo dzieci i kobiet. Mężczyźni rzadziej zaszczykali je swoją obecnością. Grzesiek modlił się pod krzyżem u Sokołowskich, a potem w wielkim, nowym spichrzu, a Andrzej pod kapliczką Świętego Jana na skrzyżowaniu drogi mierzwickiej z sarnacką. W owym czasie drogami, wieczorową porą, nic nie jeździło, więc nikt, nikomu nie przeszkadzał. Trzecim miejscem był krzyż przed domem Szyszów na środku wsi. Przed nabożeństwem dzieciaki figlowały. Ulubioną rozrywką chłopaków było wkładanie za kołnierze dziewczętom chrabąszczy, które zazwyczaj łowiło się, podczas jasnego dnia, kiedy te owady smacznie spały, podczepione do liści. Po zachodzie słońca latały ich całe chmury. Chrabąszcze krzywdy nikomu nie robiły, tylko drapały swymi odnóżami delikatną skórę dziewczątek. Celebransem nabożeństwa była Sokołowska Kazia lub Kowaluczkowa u Grześka i Broniowa, jak nazywano Paulinę Daniluk, u Andrzeja. Nie wiemy, kto przewodniczył nabożeństwu u Szyszów, bo nigdy tam w nim nie uczestniczyliśmy i nic na ten temat nie słyszeliśmy. Wszyscy uczestnicy nabożeństwa zakopywali się po uszy, w stare kapoty, bo chłód i komary ostro dobierały się do skóry. Oczywiście, wszyscy poza przewodniczkami siedzieli na ziemi. Przez cały maj nabożeństwom towarzyszyły koncerty żab, które docierały do wsi z rozlewisk nad Bugiem, a były tak głośne, że nie dawało się ich nie zauważyć. To też już tylko historia, bo w tej chwili we wsi żab się nie słyszy. Atmosfera majówek, bo tak je nazywaliśmy, zostawiła bardzo miłe wspomnienia z naszego dzieciństwa i chętnie do nich wracamy.

Pod koniec kwietnia, albo na początku maja, a po ustąpieniu wód powodziowych z doliny rzeki, wypędzano krowy na wypas. Zazwyczaj mieszkańcy wsi wynajmowali pastucha, który pilnował stada, a pastewnik znajdował się w zakolu rzeki zwanym Zaskiepiem. Pastuch otrzymywał za swoją pracę ustalone wynagrodzenie. Podczas pasionki kolejno gospodarze dawali mu całodzienne utrzymanie i pomoc w postaci podsutki. Każdego ranka mógł budzić śpiochów okrzyk: WYGANIAAAAJ!, który był sygnałem dla właściciela, że należało wypędzić krowy z obejścia na ulicę. Krowy, to inteligentne zwierzęta, szybko się uczyły ludzkiego języka i rozumiały, co się do nich mówiło.

Rozpoznawały swoje podwórka i podczas powrotu najczęściej trafiały do swoich właścicieli bez specjalnych zabiegów. To też zdarzenia historyczne, bo we wsi jest tylko trzech gospodarzy, którzy mają krowy.

Bardzo ważnym świętem na wsi były Zielone Świątki, czyli Zesłanie Ducha Świętego. Rzeczywiście były zielone. W przeddzień zdobiło się obejścia, ulice, domy i mieszkania zielonym tatarakiem po ich uprzednim, starannym uporządkowaniu. Cała wieś pachniała nie tylko kwiatami czeremchy, lilaka, czy jaśminów, ale wszędzie unosił się zapach tataraku.

Po Zielonych Świątkach obchodziło się ważną uroczystość zwaną święceniem pól. Robiono ją w dniu powszednim, który zamieniał się w święto. Była to procesja, podczas której ksiądz święcił pola. Najdłuższa zaczynała się od krzyża na Nowych Mierzwicach przy domu Kuleszów. Tam był pierwszy ołtarz. Potem procesja szła przez Nowe Mierzvice do drogi biegnącej przez las w kierunku Kolonii Mierzvice. Wierni śpiewali Litanię do Wszystkich Świętych. Drugi ołtarz był przy krzyżu na skraju „Obozu” w pobliżu gospodarstwa Władysława Maksymiuka. Dalej procesja szła drogą przez Kolonie do Mierzwic Starych. Trzeci ołtarz robiono przy krzyżu stojącym na zakręcie drogi łączącej Kolonie z Mierzwicami Starymi, albo przy figurce Świętego Jana. Następnie procesja szła przez całe Mierzvice Stare do czwartego ołtarza ustawionego przy krzyżu na posesji Sokołowskich. Cała trasa wiodła przez wioski, lasy i pola, i wynosiła około czterech kilometrów. Mierzvice Nowe i Stare ustrojone były tak, jak w Zielone Świątki. Procesje były organizowane w drugiej połowie czerwca. Wtedy pokazywały się pierwsze owoce, które nazywaliśmy czereśniami, o bardzo soczystych, kwaskowatych, czerwonych owocach. Na przetwory się nie nadawały. Matki gotowały z nich najwyżej kompot. Nam bardzo smakowały. Botanicy zaliczyli je do wiśni o dzwicznej nazwie „szklanki”, ogrodnicy do chwastów bez wartości handlowej. W tej chwili znajdują się prawie w zupełnym zaniku. Obecnie pól nie ma, w zasadzie zostały tylko na Kolonii, od strony Mierzwic i na Gnoiskach oraz śladowe ilości w obu Mierzwicach. Praktycznie nie bardzo jest, komu je święcić, bo i procesja nie dałaby się zorganizować, byłaby bardzo krótka.

Późną wiosną i latem zaczynały się najpoważniejsze prace we wsi. Zaczynał się okres zbiorów, który angażował całe rodziny. Pierwszym poważniejszym zbiorem były sianokosy. Rzeczywiście trawę kosono ręcznie, tak zwaną, gołą kosą. Umiejętność poprawnego koszenia baq swoistą sztuką. Kosa musiała być do tego celu starannie przygotowana. Zaczynało się od klepania. Do tego służyło specjalne kowadelko wbijane w pniak, zwane babką i młotek o płaskim bijaku. Przed sianokosami i, podczas ich trwania rankiem lub wieczorem po całej wsi rozchodził się charakterystyczny dźwięk. To było powszechne klepanie kos. Łąki były naturalne. Oprócz trawy rosły na nich różnorodne zioła. Szczególnym aromatem wyróżniało się siano z łąki na Trojanie. Wielką frajdą stawało się spanie na sianie przywiezionym z Trojana. Po sianokosach dzieci z męską częścią rodziny chętnie przenosiły się ze spaniem na siano. Z tamtych

czasów pozostały niezapomniane wspomnienia, chociażby, takie, jakich doznał Stefek Burczymucha w znanym wierszu, jakiego uczyliśmy się w szkole.

Potem przychodziły żniwa, to był najcięższy okres w życiu mieszkańca wsi trudniącego się rolnictwem. Tak było dawniej. Pierwszym zbożem, jakie zaczynało kosić było żyto. Do tego celu służyła kosa z kosiskiem odpowiednio oprzyrządowanym. Umieszczano na nim ważny element, zwany grabkami. On gwarantował, że zboże po skoszeniu będzie równo odkładane na tak zwanej ścianie, skąd je odbieraczka zbierała i wiązała w snopy, które potem ustawiało się w kopki dla przeschnięcia. Po zakończeniu żniw na polu zostawiało się dożynek w postaci kilkunastu nieskoszonych kłosów, które się odpowiednio przystrajało polnymi kwiatami. Robiono, to tylko po zakończeniu żniw żytnich. W owym czasie chleb wypiekano wyłącznie z mąki żytniej, zresztą znacznie smaczniejszy, niż, jak, to się robi teraz, z pszennej. Żniwa zawsze zaczynało się w sobotę.

Przed wojną: owies, jęczmień, a także pszenicę żęło się sierpami.

Po zwiezieniu żyta do stodół, rano słyszało się wydobywające się z wielu stodół charakterystyczne walenie. To wielu gospodarzy młóciło żyto cepem. Ponieważ potrzebna była mąka na chleb, którego już od jakiegoś czasu brakowało. Nazywało się to przednówkiem. Jest takie przysłowie -powiedzenie, o jakiejś ważnej sprawie, że jest prosta, jak konstrukcja cepa, a to nie jest, aż tak do końca prawdziwe. Bijak podłączony jest do rękojeści przy pomocy wiązania kardana. Robiono go z tak zwanego surówca i być może ten pomysł został wprowadzony w życie przez nieznanego wynalazcę znacznie wcześniej, niż został wynaleziony przez matematyka Gieronimo Cardano, włoskiego uczonego, i potem zastosowany w technice. Cep stanowił przez długie lata podstawowe narzędzie, z którym nie rozstawał się rolnik przez jesień i znaczną część zimy. Chyba tego narzędzia nie znali na Bliskim Wschodzie i w Afryce, bo tam jęczmień i pszenicę młócono poprzez przepędzanie, przez rozścielone zboże, na odpowiednim klepisku, zwierząt takich, jak: krowy, woły czy osły. One wyduszały kopytami z kłosów ziarno, które, potem wytrząchano i czyszczono. Młócenie cepem, to dopiero pierwszy etap pozyskiwania ziarna z kłosów. Zanim otrzymało się ziarno na siew, a więc najlepsze i trochę gorsze do spożycia, to też trzeba było wykonać wiele czynności. Do czyszczenia, na początku, korzystano z naturalnie wiejącego wiatru, a potem zbudowano proste maszyny, które nazywano wialniami lub młynkami. Technicznie się różniły. Młynek używany był też do czyszczenia, a nie do mielenia. Było to urządzenie znacznie prostsze, niż wialnia. Siewy wykonywano po święcie Matki Boskiej Siewnej, teraz to Święto Narodzenia Najświętszej Marii Panny, czyli po ósmym września. Oczywiście siało się z płachty i ta czynność wymagała sporych umiejętności. Potem należało, to przykryć specjalnymi bronami. Niektórzy po zakończeniu siewów na ostatnim polu z drobnej słomy wysypywali wielki krzyż. Wrzesień, to miesiąc kopania kartofli, oczywiście robili, to motykami. Na początku z jednym szerokim zębem, potem z dwoma węższymi, wreszcie z trzema wąskimi i dość długimi.

Najwydajniej pracowało się trójzębną. Często dzieci paliły ogniska, w których pieczono ziemniaki. Październik, jak sama nazwa wskazuje, był miesiącem października. Prawie na każdym podwórku pracowały łamaczki i przecieraczki obsługiwane przez gospodynie, które przygotowywały włókno lniane lub konopne do przędzenia, co się robiło w długie zimowe wieczory.

Zima zazwyczaj zjawiała się na Podlasiu już w listopadzie, w tym też czasie. zaczynały się przygotowania do świąt Bożego Narodzenia, obrosłych swoistą tradycją. W wielu domach zaczęto przygotowywać ozdoby na choinkę. Robiono je z różnych materiałów. Ważne były kolorowe papiery i bibułki, wydmuszki jajek. Zazwyczaj w przygotowanie ozdób zaangażowane były dzieci i młodzież oraz babcie, a więc wyrabiano różnorodne łańcuchy, bogato zdobione postacie: aniołów, Świętej Rodziny, świętych Mikołajów. Pod choinką powinna również być szopka sklejona z różnych materiałów. Do świąt intensywnie przygotowywali się kołędnicy. Potrzebne były akcesoria. Najprostsze w przypadku gwiazdorów. Gwiazdę robił im, ktoś z dorosłych, bo to była bardzo ciekawa konstrukcja. Gwiazda zawsze była okazała, kolorowa, musiała się obracać, a w środku powinno być bezpieczne miejsce na świeczkę. Kołędnicy nie używali specjalnych strojów i gwieździe towarzyszyły tylko kołеды. Z gwiazdą chodziły najmłodsze dzieci często w towarzystwie kozy, to jeden z kołędników przebierał się za kozę. Potrzebna była stosowna maska i strój, czasem niosło się na kiju atrapę koziej głowy. Inni kołędnicy chodzili z tak zwanym „wierciochem”. Żadnych strojów też nie używano, a główną atrakcją był „wiercioch”. Robiono go w kształcie walca oklejonego półprzezroczystym pergaminem. Z przodu był spory otwór, w którym kolejno pokazywały się postacie tradycyjnej szopki przyklejone do drewnianej obręczy ze starego rzeszota lub sita obracającego się wokół pionowej osi. Znacznie bogatszą ofertę przedstawiali szopkarze. Oprócz pięknie wykonanej szopki wszyscy kołędnicy byli ubrani w bajecznie kolorowe i bogato zdobione czapki, lenty z okazałymi pagonami. To nie były stroje pastuszków, a raczej żołnierzy. Szopce towarzyszyła inscenizacja jasełek, które szopkarze odgrywali w każdej chałupie, gdzie zostali przyjęci. Najokazalej prezentowały się „herody” To już była dość długa inscenizacja, pełna: niepokoju, strachu i niepewności. Małe dzieci bardzo ją przeżywały. Dziewczyny chowały się po kątach, bo towarzyszyły jej różne psikusy, nie zawsze odpowiadające zaatakowanym. We wsi psy podnosiły rwetes, jakby na mieszkańców napadły hordy Tatarów. Centralną postacią był król Herod, towarzyszyło mu dwóch marszałków, diabeł kusił Heroda i domowników, Żyd bawił wszystkich, anioł ostrzegał, a potem przyniósł wyrok za niegodziwość króla, wykonał go kat przy pomocy śmierci. Halabardnicy obsługiwali kurtynę. Największy postrach budziła śmierć i diabeł. Głównym reżyserem był Stanisław Hackiewicz zwany Kowaluczkiem. Pod jego kierownictwem przygotowywano przedstawienia i stroje. Dziewczeta chodziły z tak zwanymi „krakowiakami”. Do występów przygotowywała je Rozalia Daniluk, popularnie zwana Bronczychą, ponieważ była żoną Bronisława.

Wiele zwyczajów wiązało się z samą wigilią, którą przygotowywano wieczorem 24 grudnia, była to bardzo uroczysta kolacja, składająca się z postnych potraw. W zasadzie była jedynym i pierwszym posiłkiem, jaki w tym dniu jadano. Oczywiście wieczerzę jadano po ujrzeniu pierwszej gwiazdki, co nie zawsze było łatwe do spełnienia, bo często niebo bywało pochmurne. W tym dniu zwierzęta też dostawały bogatsze jedzenie. Do chałupy gospodarz przynosił snop najdorodniejszego zboża, który ustawiał w kuchni, stół wigilijny zaściewano sianem i dopiero na siano kładziono biały obrus. Na talerzu kładło się opłatek. Wigilię zaczynano od wspólnej modlitwy prowadzonej przez głowę rodziny. Następnie dzielono się opłatkiem i składano sobie życzenia, organista przynosił opłatki przed świętami, a wśród nich jeden barwny przeznaczony dla zwierząt gospodarskich. Na stole wigilijnym podawano potrawy postne robione na oleju z ryb, grzybów, kaszy, grochu i makaronu, suszonych owoców. Często królował czerwony barszcz z buraków. Gospodynie starały się, aby na stole było dwanaście dań. Dawniej jadano ze wspólnej misy. Na wigilię zazwyczaj podawano oddzielne talerze. Po wigilii zapalano świece na choince i przy niej śpiewano kolędy. Zazwyczaj ktoś z rodziny uczestniczył w pasterce. Najczęściej chodziło się na piechotę, a do kościoła było ponad siedem kilometrów, często zaśnieżonej drogi. To był duży wysiłek i wyrzeczenie. Po świętach zaczynały się święte wieczory. W tym czasie nie wykonywało się żadnych prac niekoniecznych w gospodarstwie. Trwało to do Nowego Roku. Z Nowym Rokiem wiązało się kilka ważnych wróżb. Jeżeli w Nowy Rok pierwszą osobą, jaka nawiedziła rodzinę była kobieta, to krowa powinna urodzić jałoszkę. Nie wiemy, jaka była sprawdzalność tej wróżby. W okresie świątecznym do Trzech Króli w szkole uczniowie pod kierunkiem nauczycieli wystawiali jasełka, ta tradycja pochodziła jeszcze z czasów przedwojennych. W czasie wojny była zarzucona, ale zaraz po przeniesieniu szkoły do nowego budynku, po opuszczeniu go przez Niemców, została wznowiona. Przedstawienia cieszyły się wielkim powodzeniem. Pierwszy autor zagrał rolę pastuszka jeszcze przed pójściem do szkoły, w czasie wojny. Jego dom sąsiedował ze szkołą, więc łatwo aktora ściągnąć na salę teatralną. Na końcu długiego korytarza ze stolików budowało się scenę, na której grali aktorzy. Widzowie zajmowali miejsca na korytarzu, na rozstawionych ławach. Nigdy nie zawiedli, zawsze było ich bardzo dużo.

Przed wojną jasełka wystawiano w szkole, regularnie, każdego roku i różne pokolenia uczniów w tym brały udział. Po wojnie, jeszcze w latach czterdziestych ta tradycja była kontynuowana.

W zimie na drogach wszelki ruch zamierał, ponieważ spadały obfite śniegi, a nie było zwyczaju odśnieżania dróg. Oczywiście kursowały sanki ciągnięte przez konie. Były, to sanki wyjazdowe, ozdobne, specjalnie przeznaczone do przewozu osób do kościoła, na wesela, zabawy, przywoziło się nimi księdza. Znacznie powszechniejsze były zestawy składające się pary sanek, zwanych zajdkami. W większości gospodarstw funkcjonowały takie zestawy. We wsi było kilka sanek stalowych kowalskiej roboty, które służyły do zimowych zjazdów

dzieciom i młodzieży. Używano również drewnianych, okutych stalową szyną. Młodzież robiła małe saneczki do jazdy w pozycji stojącej. Płozy wycinało się ze sztachet i okuwało starymi rączkami od metalowych wiader lub grubszym drutem. Takie sanki robili nasi rodzice i ich rodzice też, a więc tradycja stara. Odpychało się okutym kijem, zwanym mlonem, wkładając go między nogi. Oczywiście, bardzo na tym cierpiały spodnie zawodników. Doskonale jeździło się na nich po lodzie. Całe pokolenia wykorzystywały zamrożone rozlewiska na nadbużańskich łąkach. Do starej tradycji należało zjeżdżanie z górki na wiejskiej drodze w Mierzwicach Starych. Jedna zjeżdżalnia leżała na stoku zaczynającym się koło murowanki (w pobliżu studni przylegającej do drogi), a druga z tak zwanej Światuchy zaczynającej się w najwyższym punkcie wiejskiej drogi i biegnącej, w kierunku Rzeczek, czyli obecnej gajówki. Tam wykorzystywano zajdki. Zjazd zawsze był zbiorowy. Na sankach mieściło się z dziesięć osób, obojga płci. Sanki wykładano sztachetami pozyskanymi z przygodnych płotów. Z przodu siadał „kierowca” mający pod nogami małe sanki opisane wyżej. Kierował nogami. Na końcu „toru” ze zmarzniętego śniegu robiono skocznę, która gwarantowała skoki sięgające dziesięciu metrów. U podnóża rozwijana prędkość była już znaczna. Autorzy nie słyszeli, aby na tym torze wydarzył się jakikolwiek i kiedykolwiek wypadek.

Wszystkie wydarzenia, jakie opisaliśmy w tym rozdziale, są już historią, a nawet niewiele osób może się pochwalić, że rzeczywiście je sobie przypomina.

Spis treści

A. Fronolów 1905 – 1948.....	3
B. Jeszcze Fronolów i jego okolice.....	19
C. Pomniki (przyrody).....	38
D. Technika – Mierzvice Stare (zawody).....	51
E. Strachy, upiór.....	63
F. Mogiłki.....	69
G. Kąpieliska.....	73
H. Kataklizmy.....	79
I. Zwyczaje, które zaginęły.....	82

Koniec